JEDY[illegible]

czyli

WALKA UCZUCIA Z RACHUBĄ.

Powieść z epoki tegoczesnéj

przez

Walerego Wielogłowskiego.

W Krakowie.

Nakładem Wydawnictwa dzieł katolickich, naukowych i rolniczych.

1858.

Czcionkami K. Budweisera i Sp.

I.

Dom szlachecki w ziemi sandeckiéj.

Ślicznyto kraj, owe podtatrzańskie wzgórza, po których rozsiane wioski wyglądają jakby wieńce na skroniach weselnic. Tam i powietrze czystsze i niebo jaśniejsze, a zaprawdę gorętsze uczucia, bo jeżeli pogodę zaćmi przelotna chmurka, to spadłszy deszczem, ucieknie potokiem i pędzi na niziny, rozlać się w rzekach, lub się téż w martwém utopić jeziorze. Co do mnie, to przekładam góry nad płaszczyzny! Może dla tego, iż na płaszczyznie więcéj widzieć ziemi, a na wzgórzach nieba; a może się do rodowéj uśmiecham kolebki? — Ale to pewne, że kto zamieszkał przez jakiś czas w górach, to zstępuje na płaszczyznę, jakby na Jozafata dolinę.

W takiéj téż-to okolicy, blisko Nowego Sącza, mieszkał szczęśliwy p. January z żoną swoją Barbarą, i tam spędzili pół wieku, a lat blisko trzydzieści zgodnego w małżeństwie pożycia.

Wioska o cztérech folwarkach stawiała państwa Januarów w rzędzie zamożniejszéj szlachty; że zaś tak po mieczu jak i po kądzieli byli z całém Sandeckiém zkolligaceni, więc używali w okolicy powagi patryarchalnéj.

Proszę-no było widzieć, co się tam działo w dniu 19. Września, lub 4. Grudnia! To taki był zjązd, jak na elekcyą króla! Powozy, półkrytki i bryczki; a młodzież na rumakach i szłapakach ciągnęły ze wszech stron, a każdy się spieszył, aby zjechać na termin i nie chybić dnia ani godziny, a nie opuścić przy-tém kolejnego kielicha. — Bo podług tradycyjnego obyczaju (który już dzisiaj ze szkodą stósunków towarzyskich idzie w zapomnienie), nie wolno było pominąć dnia imienin osób poważniejszych, bez złożenia im życzeń osobiście, albo téż listownie.

Ale powszechnie tak się praktykowało, iż na imieniny męża, zapraszała żona krewnych, przyjaciół i sąsiadów, a nawzajem

mąż odwdzięczał się festynem w dniu imienin żony. Miała więc racyą pani Barbara liczyć na wzajemność męża, bo nigdy ją w tém nie zawiódł, gdyż był po staropolsku gościnnym i kochał ludzi, a tém bardziéj miłował ród swój, który dla niego był, jako dla starszego w rodzinie, z wszelką rewerencyą. Pan January bliższych lub dalszych stopni pokrewieństwa wcale nie obliczał, bo wszyscy wedle ciepłomierza jego miłości na jednym stali gradusie. Jeżeli zaś szanowni państwo z Podgornego *) mieli serca do przyjaźni skłonne, to im nikt obojętném nie odpłacał uczuciem, bo kto żył, to ich kochał; a wszyscy (jak to mówią) duszęby za nich oddali. Trzeba tu nadmienić, iż obok serdeczności, pan January był zawsze wesołego a nawet złotego humoru; śmiał się grubo i szczerze, a cieszył każdym swych gości dowcipem i do potęgi rozumu lub trafności go podnosił. Dość na tém, że pomimo najwyższéj przyzwoitości, jaką się ten dom odznaczał, i pomimo surowości obyczajów, taka tam panowała swoboda, iż sobie hulała dusza bez kontusza i zapomniała, że się znajduje na padole płaczu.

*) Tak się ich wieś nazywała.

Zapyta mnie może czytelnik, gdzie się goście mieścili, i sądzi, że pan January, kupiwszy te dobra, może od kamery, zastał już jaki zamek po dawnych hetmanach lub wojewodach?... Bynajmniéj!... Majątek ten od dwóchset lat dziedzicznie spadał z ojca na syna, a teraz dopiero wyjdzie zapewne z imienia, bo pan January nie ma potomstwa z linii męzkiéj, ale tylko córkę jedynaczkę, o któréj nie omieszkam powiedzieć we właściwém miejscu.

Otóż co do umieszczenia gości tak było: iż pomimo szczupłości domu, zwykle do stu osób lub więcéj zjeżdżało się na imieniny państwa albo na uroczyste święta, ale pan January wcześniéj przewidując ten napływ osób życzliwych, tak sobie radził, iż z najbliższych chat wieśniaczych zwołał do siebie gospodarzy, a oczywiście wiernych lenników dworu i potraktowawszy ich palanką *), do nich się odezwał:

„Moi Gazdowie! oto będzie w tych dniach „u mnie uciecha, bo mi się zjeżdża przy„jacielstwo, a trudnoć na to zimno usłać „im pokotem przy płocie, albo pod płotem, „tylko trzeba, aby się państwo w cieple „wyleżało. Usłużcie mi w téj potrzebie,

*) Wódka.

„a oczyściwszy izby białą glinką i umaiwszy „cetyną *), przyjmijcie państwo na nocleg, „aby im było i ciepło i wygodnie.

No, będzie tak, Wielgomożny Panaczku, (rzekną gazdowie), niech się tam Oni nie frasują, bo my już nostroimy, co trza będzie i państwo się na nas nie pożalą.

Jakoż, stało się wszystko wedle umowy, i niechby się całe Sandeckie zjechało, to nietylko we dworze, ale i we wsi rozszerzały się gościnne ściany i pomieściły goszczących. Za to téż pan January nie żałował suszyc z lasa, i leśniczemu nakazał, aby wcześnie takowe opatrzył, odznaczył, i w odwdzięczeniu za usługę, życzliwym wydał wieśniakom.

Państwo Januarowie pędzili żywot swobodny, i nic im po ludzku do szczęścia nie brakowało, bo mieli błogosławieństwo Nieba w nagrodę wiary, bojaźni i miłości Bożéj; mieli przyjaźń ludzką, a obok tego dostatek, bo długu ani grosza, a przy czystych wioskach pięćdziesiąt tysięcy złotych reńskich gotowego grosza. Przecież bywały chwile, w których pan January, zmarszczywszy czoło, pociągał to jednego, to dru-

* Gałęzie świérkowe.

giego wąsa i myślił, albotéż zerwawszy się nagle ze stołka trzepnął palcami i wzniósł do góry ramiona.

Cóż ci to Janusiu? Zapyta P. Barbara.

Ej, nic, odrzeknie pan January, tak sobie téż myślę.

Ale kiedy widzę, iż cię coś trapi: powiedz mi, to ci się ulży. —

No, cóż Jejmości będę mówił?... Czasem mi przyjdzie na myśl, iż przecież szkoda, że nie mamy syna! — Komu-to dostanie się w puściznie i ta przyjaźń ludzka, którą się wpośród braci szlachty zaszczycamy?... Komuż i te wioski, które odbudowałem i ulepszyłem w gruntach, a upiększyłem sadami i rzędami szpalerów z samych włoskich orzechów?... Mój Boże! ze śmiercią naszą wszystko się skończy. — Wieś wyjdzie z imienia; jakiś zięć zechce zaprowadzać zmiany na swoją modę,... popsuje, poprzewraca i nie zostawi ani śladu méj pracy. — A potém,... myślisz Jejmość, że to tak łatwo o zięcia? — Jużcić łatwo, bo każdy sobie na jedynaczkę zęby ostrzy, wiedząc, iż będzie ciepła. Ale cóż mi z tego?... Ja wręcz Jejmości powiem, że ja za byle kogo dziecka nie wydam, i przebierać będę! — Na żadne głupie romanse nie pozwolę, ale dopóty

szukać muszę, dopóki nie natrafię na człowieka, któryby mi się nadał. — Żadnego furfanta nie chcę, ani filgranowego hołysza; choćby panicza nie dopuszczę, coby to udawał magnata, i we łbie miał trociny, a w kieszeni płótno. Ja chcę albo magnata, albo przynajmniéj szlachcica gniazdowego, coby jego rodzina od dziada i pradziada znaną była z dawności rodu i cnót obywatelskich. I żeby mi tam w rodzie żadnéj plamki nie było, czyto zdrady, czy podłości, czy broń Boże oszustwa lub nieuczciwego nabycia majątku albo lichwy. Potém wymagam, aby był zdrów i dziarski, a także i nauki porządnie ukończył, iżby sobie poradzić umiał czy w cyrkule, czy w sądzie. Wreszcie musi mieć majątek! Bo cóż z tego, że my mamy, to wystarcza może na jedynaczkę, ale jakby się im sypnęły dzieci, to na kilkoro byłoby za mało. Takiego zaś, o jakim ja myślę, to dotąd nie widzę, i ani wiem, gdzie go szukać?! Bo powiedzże Jejmość sama, czylibyś dała córkę za którego z tych, co tu bywają?... No, mówże Jejmość!!

Zapewne mój mężu, iż i ja nie widzę, rzeknie pani Barbara. Ale mi téż boleśnie, iż się tém tyle trapisz. Gdybyś się był z inną ożenił, tobyś był miał może

potomka, i byłbyś szczęśliwym! — (ociera łzy).

Ej Basiu, Basiu! co téżto takie głupstwa pleciesz!! Kiedyto z tobą nigdy o niczém pomówić nie można, bo się zaraz kwilisz i do siebie bierzesz, a Bóg widzi, że ja wolę Ciebie, niż dziesięciu synów. Kto wie, jakąbyśmy z nich mieli pociechę? Możeby tylko było zmartwienie. Spojrzyj na dzisiejszą młodzież, co, jak mi Bóg miły, że nie wiedzieć jakiéj jest płci, a uznasz dopiero, jak to Opatrzność mądra, iż nas od podobnych lalek uchroniła!! Nito do korda, ni do pługa, ni do krzesła,... więc do czegóż? — do kanapy, ćmić cygaro, a zapijać herbatą i marzyć o niebieskich migdałach. Co tam, wie Bóg, co robi! No, moja Basiu! nie rozrzewniaj się,... pocałuj mnie i zgoda. Wszystko będzie dobrze! przecież się i zięć znajdzie, i wnuki będziem kołysać... No utul się, utul, bobym się i ja rozmazał, a to mężczyznie tylko w bardzo rzadkich zdarzeniach przystoi. Ale cóż robi Zosia?... dla czegóż ją ciągle męczysz tém czytaniem?... Niech dziewczyna pobiega, poskacze, pobrząka sobie czasem na tym fortepianie!... Ja lubię muzykę, a ona już gra nie źle. Mogłaby się téż kiedy popisać przy gościach, bo talenta dodają uroku panience. — Przecież nie dziecko! rok już ośmnasty.

Ale co mówisz Janusiu! siedmnasty dopiero, i ledwie zaczęła! Gdyby ci się kiedy takie słowo przy gościach wyrwało, toby było nie dobrze, boby każdy rozgłaszał jéj metrykę. — Nigdy się lat panienki nie liczy.

Ej moja Basiu, co tam z tego przyjdzie? czy rok więcéj, czy rok mniéj? Żeby to kroć jeden mniéj było posagu, toby dopiero szkodziło, bo nie jedenby odskoczył. Przecież wiesz, iż w takim żyjemy wieku, iż nie w zęby pannie patrzą, jeno w worek. A w posagu naszéj córki, to jeśli się kto nie spodziewa przybytku, to pewno wie, że nie będzie ubytku, bo choć fortuna skromna, ale jak na dłoni.

Ale dobrze, więc ma siedmnasty, lecz i to już jest wiek, w którym panna zaczyna być podlotkiem. — Oho! za roczek albo za dwa to jéj już do szczęścia kanarek w zielonéj klatce nie wystarczy. Dziewczyna do lat dziewięciu bawi się drewnianą lalką a po dziewięciu do czternastu choduje z miłością kwiatki, potém już pielęgnuje ptaszka, jakby towarzysza, który jéj śpiewa,

kłóci się i dzióbie. Ale późniéj, moja Basiu, to już zamiast grać kanarkowi na pozytywku, wolałaby sama gruchać i wabić i kwilić, bo taka jest wola Boża i naturalny w świecie porządek. U naszéj Zosi to się wiek dziecinny przedłuża i tém lepiéj! jednak nie ufaj Basiu, a przyglądaj się pilnie i śledź, bo miłość jak złodziéj, lada kiedy się do serca zakradnie, i potém pustoszy.

O to jestem jeszcze spokojną mój Janusiu! (rzecze pani Barbara).

II.

Zosia.

Panienka, która się na wsi pod skrzydłem roztropnéj matki wychowa, a z daleka od miejskiego gwaru trzyma, to ma w całym swym układzie, a nawet w prostocie tyle wdzięku i uroku, że każdy znawca serc ludzkich przekłada tę wsi wychowankę nad wiele jasełkowych piękności stolicy. Jest w niéj coś swojskiego i rodzinnego, i rzekłbyś że to lilija, która wyrosła na ojczystéj niwie. Ruchy jéj ciała nie są zapewnie gibkie ani elastyczne, i nie trafia tak zgrabnie nóżką na ostre bruku kamyczki, jak miast wychowanka. Nie wpłynie tak posuwisto do salonu jak łódź do znajomego sobie portu i nie znajdzie tam rychło dla siebie miejsca.... Ale cóż z tego?... kiedy ładna, świeża, dobra, bogata i będzie doskonałą

żoną i obywatelką bo w przykładzie tych cnót wychowana. Co do mnie to przyznam, iż gdybym miał syna, tobym go swatał na wsi, i obrałbym mu taką Zosię, z któréj nie obwiał jeszcze uliczny wicher pyłku świeżości i dziewiczych wdzięków, a wolę téż taką lękliwą sarneczkę smukłą z natury, jak wysznurowaną Silfidę, u któréj nie odgadniesz, co się naturze winno, a co dziełem sztuki?...

Zosia, jak to już wiemy, zaczęła siedmnasty roczek, a więc przestała być dzieckiem, a jeszcze nie była liczoną między panny na wydaniu. — Rodzice jéj byli wysokiego wzrostu, więc i ona wystrzeliła w górę, niby młoda jodełka w gęszczy sandeckich borów — Piękne, duże, a czarne oczy, miotające jasny promień życia, były główną ozdobą twarzy, któréj wdzięk mniéj się na surowéj regularności rysów, jak na miłéj onych harmonii zasadzał. Klasyk, porównywając ją z antykami greckiemi, byłby się może posunął do jakiéj krytyki; lecz romantyk, który kobiety nie porównywa z kamiennemi posągami ale z aniołami, przyznałby, że Zosia jest piękną, bo się piękna dusza na jéj twarzy maluje i miałby zupełną racyą; jakoż i ja się z nim zgadzam. Kiedy jednak poważyliśmy się w oczka jéj spojrzyć i ładną

jéj twarz upieścić słowami pochwały, to już dodajmy, że obok wdzięków, prześliczną miała kibić ciała, a rączkę tak małą i białą, a nóżkę tak drobniuchną, iż temi kształtami usprawiedliwiała polskie swoje pochodzenie. Z resztą była ona ożywioną;... może i wesołą,... ale nie!... tego nie powiem, bo czasem długa a czarna rzęsa, całunem zaćmiła wzrok jéj pełen wyrazu, a przez jéj pogodne czółko przesunęła się ciemna chmurka, i wkrótce się utopiła w dwóch splotach hebanowych włosów, które jakby ramy do ślicznego obrazu, twarz jéj zamykały. — Dla czego zaś przesuwała się owa chmurka na tle porannéj zorzy?... to się może czytelnik o tém późniéj dowie.

Rozmowa z Zosią była przyjemną i łatwą, ale nie można było przenosić jéj na szerokie pole nauki w któréj nie celowała, bo nie życzyli sobie rodzice mieć córki uczonéj, ale raczéj nauczonéj niezbędnych wiadomości. Otóż dopóki rozmowa toczyła się po polsku i o dziejach ojczystych, albo o polskiéj literaturze, to szły rzeczy gładko, a Zosia przytaczała nawet wiele ustępów z poetów naszych; ale co francuzczyzna, to szła zająkliwie, a w innych téż językach wcale ona nie była biegłą. I nie dziw, bo

cały zapas nauki wyczerpnęła z jednéj guwernantki, nie przedstawiającéj zapewne obfitego źródła wiadomości. Pan January sam rozpowiadał o trybie edukacyi swéj córki, więc tu jego słowa wiernie powtórzymy:

„No! bo przyznaj mój zacny dobrodzieju,
„iż się nie na wiele przyda kłaść w głowę
„dziewczynie te niepotrzebne androny i zrobić
„z niéj uczonego błazenka?

Tak więc zrobiłem: Udałem się do starego Sącza do panny ksieni prosząc aby się dowiedziała o jakiéj guwernantce, którąby przy nauce nie była zbyt drogą, a także nie robiła mi w domu wielkich ceregielów. — I akurat! we dwa miesiące przyjechała z Krakowa nauczycielka, Polka, przyzwoita, z nauką i talentem, bo nietylko expedyte z nót grała, ale nawet kwiatki wcale ładnie umiała oddać na papierze. No, i była przez pięć lat, to jest od początku do końca potrzebnéj nauki. Potém wziąłem Czeszkę dla muzyki na rok jeden i basta. Więcéj nie potrzeba, a coby jeszcze brakło, to już sama czytaniem książek dopełni. — Mam doświadczenie, że jak kto pannę przeuczy, to jéj wieczne panieństwo gotuje. — Naprzykład weźmy państwa X....! posłali

swoją córkę na pensyą, wyuczyli języków i wszelkich nauk, kazali ją ćwiczyć w tańcach,... ubierali, stroili, pokazywali, obwozili, sami rozum swéj córki podziwiając, a przed ludźmi wysoko stawiając, i cóż z tego?... Siedzi! Albo państwo Y... mają trzy córki, ładne i nawet posażne, ale że i one przemądre, więc także siedzą. Boto u kobiety zbytni rozum to tak zawadza jak zbyt długa suknia, w któréj ani około gospodarstwa biegać, ani się krzątać około spraw domu nie można, tylko się jak pijanemu nogi w tém plączą. Moje takie jest zdanie i wedle niego postępowałem, a także i drugim postępować życzę.

Takie miał pan January wyobrażenia o wychowaniu panien; wszakże tych zasad nie podzielała w całéj rozciągłości szanowna jego małżonka, bo pragnęła iżby jéj córka górując między rówiennicami cnotą, wdziękami i wzrostem, dopisała im i nauką. — Nieraz więc był o to swar między małżeństwem: Pani Barbara ze wszystkich stron zachodziła około męża, aby na parę lat przynajmniéj sprowadzić w dom guwernantkę Francuzkę, albo Szwajcarkę. To się więc panu Januaremu łasiła i przymilała, to jedwabnemi głaszcząc go słowy, trafiała w

słabszą stronę mężowskiego serca; lub wreszcie próżność ojcowską chciała w nim rozbudzić. Ale ani rusz;... szlachcic górski, to jak kozioł uparty, tak, że choć w sercu byłby miękki, to w głowie jest twardy. — Na nic więc prośby żony, na nic są jéj fortele, bo pan January rzekł sobie, że nie, i na tém koniec!!

Nie tyle zaś ojcu chodziło o język francuzki, do któregoby wreszcie nie miał odrazy, (choć sam nim nie władał,) jak o zachowanie swojskich obyczajów, o których nietykalność bardzo był troskliwym. Dla tego broniąc się w tém oszańcowaniu, łatwo mu było zwyciężać natarczywe zachody swéj żony. Nie wiedział biedak iż tę fortecę jego przekonań i niezłomnych zasad, najmniéj spodziewana bomba rozburzy.

III.

Kulig.

Jak mi kto dzisiaj powié, że się dobrze bawił, to nie uwierzę, bo o takich zabawach jakie były dawniéj to już młodsze pokolenie nie ma wyobrażenia.

No, gdziesz się bawiłeś? zapytam. Może chodziłeś stępa w kontradansie, alboś się utrząsł w polce? Może wśród balu wypaliłeś na schodach cygaro, bo bez tego ani rusz! umarłbyś gdybyś ciągle ogniem nie oddychał;.. i mówisz, żeś się ubawił? — Winszuję, — ale nie zazdroszczę. — Gdybyś był żył za moich czasów i kulig zapamiętał, a utańcował się mazura tak że ci nóg nie stało, a nakochał się tak, że ci aż serce spuchło, tobym uwierzył, żeś się ubawił, i że nasyciłeś rozkosznego ducha. Powiadasz, że to cywilizacya wypędziła z pomiędzy

naszego społeczeństwa kuligi? mylisz się, bo grzech tylko, a nie oświata zaciera narodowy obyczaj, grzech wprowadza cudzoziemskie podrygi, grzech wypędza zpośród nas swobodę, prostotę, miłość wzajemną, uprzejmość i serdeczną ochotę, a wprowadza w to miejsce, fałsz, obłudę, przymus i uprzywilejowane nudy, które się dzisiaj jakby przez szyderstwo zabawą nazywają. Przychodzisz do salonu jak wymustrowany żołnierz na paradę, i tam rozpoczynasz rolę twoją lichego aktora lub tylko figuranta. Odgrywasz dramat niezgrabnéj uprzejmości, fałszywéj przyjaźni, udanéj wesołości, obłudnego zachwytu, a sam oszukany gospodarstwa gościnnym układem, wzajem ich oszukujesz wdzięcznym twym wyrazem, i chwaląc śliczny wieczór, złorzeczysz mu wewnątrz, boś się unudził, uziewał w kącie, a utęsknił za twoją poduszką, za cygarem i za szlafrokiem, z któremi się rodzisz, żyjesz i starzejesz. Tak to jest, a chociażbyś mi chciał zaprzeczać, to nie potrafisz, bo ci w oczy patrzę i czytam w duszéj twéj potwierdzenie méj prawdy. — Otóż posłuchaj opisu kuligu, który szlachta sandecka wyprawiała w dom państwa Januarów. —

Już się miały kończyć zapusty, bo to

było w Lutym, a w owym roku nie całe sześć tygodni liczono karnawału. Szlachta obniosła się wieścią, iżby się w liczny zebrać kulig! matrony ułożyły między sobą kto z kim ma stanąć w parze, i jak ma być przebrany. Zajęto się natychmiast przygotowaniem strojów! — Dostojniejsze panie ogłoszono z prawa starościnami, a poważniejsza szlachta na starostów zaproszoną była. — Młodego zaś pana Stanisława, który dopiero z Krakowskiéj wrócił akademii, jednomyślnie okrzyknięto panem młodym, w parze z piękną panną Pauliną, ubraną za pannę młodą. Reszta paniczów i panien stanowiły orszak weselny druchen i drużbów, a ustawiano ich dowolnie wedle ich życzenia i sympatyi. Zabrano w rekwizycyą wszystkich żydów w krawieckim kunszcie biegłych, tak w Sączu, Wiśniczu jak i w Dobczycach, aby co prędzéj szyli sukmany, tasiemkami, kutasami i mosiężnemi centkami ozdobne. Niecierpliwsi posłali do Krakowa zakupić gotowe stroje lub one pożyczyć z teatru, a w dziesięć dni wszystko już czekało hasła do ogólnego pochodu. Wieść o zamierzonym kuligu doszła do państwa Januarów na sześć dni przed terminem, a chociaż w gościnnym i zamożnym ich domu tak spiżarnia

jak i piwnica były suto zaopatrzone, to jednak gospodarz wolał przesadzić jak niedosadzić w wygodach, i pojechał furą do Sącza po dwie beczki wina. Jakoż zakupiwszy je, usiadł na nich jak bachus, opierając nogi o mniejszy dla dam słodkiego wina antałek, na przodzie zaś i z tyłu upakowano koszyki z przysmakami, między któremi cykata grała główną rolę. —

Cały kulig zjechał się do wsi K... w dom zacnych państwa M.... M.... Tam ułożono tryb i porządek ogólnego wymarszu. Tam się panie i panowie przestrajali w krakowskie wesele, a w parę godzin stanął już cały zastęp w pogotowiu. Księżyc był w pełni i świecił blaskiem takiéj pogody jaka jaśniała na twarzach kuligowych gości. — Ziemia śniegiem pokryta, lśniła się dyamentami zmrożonych kryształów, sanna była wyborną, — podróż nie daleka. —

Dano znak do wyjazdu,... brzękło tysiąc dzwonków i szereg sanek stawił się przed gankiem!.. Dalejże wsiadać, mieścić się i wieszać, to z brzegu, to na smykach;... słowem jak się dało! — Cały orszak poprzedzała muzyka rżnięta i dęta, zamówiona w Sączu. — Już kapelmistrz na zadatek sutego poczęsnego wychylił parę lampek,

czyli, jak się to mówi wyrazem technicznym, posmarował gardło. Już i reszta kapeli nie była przez państwo M. puszczoną na sucho. Natchnienie więc artystów przelało się w klarynety i smyczki, trąby, waltornie, janczary, a Krakowiak zagrzmiał wśród przestrzeni! Weselnicy wtorują dobranémi głosy, a panie i panienki nucą piosnki zcicha, furmani z harapników wytrzaskują takty, a konie obudzone powszechną ochotą, parskają pianą, rwią śniegi kopytem, i w sążnistym pochodzie skracają odległość.

Przez las się jedzie, a za gołoborzem znak męki Pańskiéj krzyż przy drodze stoi; każdy go uczcił głębokim pokłonem, i zamilkł w światowéj pieśni. — Lecz wraz za krzyżem rozpoczną się krzyki, śpiew pomieszany i serdeczne śmiechy, albowiem chwila uciechy się zbliża;... wieś już błysnęła światłem przez okienka, a wśród niéj dwór tak przyświéca, jak księżyc między gwiazdami.

Im bliżéj dworu tém częściéj furmani z harapów strzelają salwy! grajki miechy nadąwszy na forte, płócami robią, aby podnieść tonu. Dworski stróż bramę przez zamieć rozpycha, psy na łańcuchach szczekają i wyją, kręcą się w ganku chłopcy

i dziewczęta, aby rozświecić czémprędzéj kaganki. Muzyka rzędem stanęła na boku, a sanie pierwszéj pani starościny i pana starosty przed dwór zajechały. Przy świecach osadzonych w srebrnych sabasznikach, stanęli gospodarstwo, a za nimi Zosia. Pan January niby nieświadom niczego, pyta zkąd mu to szczęście?... i zkąd weselnicy?... że może zabłądzili w nocnéj ćmie do dworu? (Bo obyczaj kuligowy każe, aby od razu nie poznano przyjaciół przebranych). Dopiero najpierwszy starosta, występując naprzód, temi się słowy odezwał:

„Prosimy Państwa przyjąć krakowskie „wesele, które tu zajechało po błogosławieństwo, a razem, aby się wspólnie z wa„mi ucieszyć. Oto tu są państwo młodzi, „którym nie odmawiajcie swéj łaski, ani „gościnności!“

Po téj przemowie gospodarstwo oddawszy pierwszemu staroście klucze od śpiżarni i piwnicy, odrzekli:

„Witajcież mi weselnicy! nasz dom tém „rad, w co bogat; a na dowód, że Wam „nie żałuję, składam w Wasze ręce klucze „od kómory i od sklepu, abyście jedli i pili „do syta, a i nas dawnych gospodarstwa „przy sobie obżywili!“

Po téj przedwstępnéj kuligowéj ceremonii zaczęły się oczywiście uściski, powitania, gwar, śmiechy, oględowiny, koncepta i żarty, a muzyka zagrawszy poloneza splotła do łańcucha weselnego obojga gospodarstwa i Zosię, i już się sznur polskiego tańca przesnuł przez wszystkie pokoje, aż się przy biesiadnym stole zatrzymał.

„No, czém mogę wam najprzód służyć? „boście w tych koszulkach przemarznąć mu„sieli (rzecze pan January). Tu jest wódka „czysta domowéj roboty, tu gdańska, a tu„taj wino. Bądźcież sobie radzi, bo je„steście u siebie, a nie wyjedziecie ztąd, „dopóki mi nie wyczyścicie apteczki, pi„wnicy i śpiżarni.“

Domyślam się, że czytelnik przewiduje radość Zosi z téj zabawy. I jabym był tak sądził, ale przeciwnie; Zosia jest więcéj roztargnioną, niżeli wesołą; sili się na uśmiech, a smutna. Proszona do tańca, ociąga się i pląsa bez duszy. Uważają to goście, ale szczególniéj uważa jéj matka, wprawna do psychologicznych na córce spostrzeżeń. Jakiż może być powód złego humoru w tak miłéj i słodkiéj panience?... nikt nie wie i nie odgadnie. Co jednak było widoczném, to że Zosia, która z Pau-

linką żyła w ścisłéj przyjaźni, tą razą przecież mało z nią rozmawia, woli z druchnami parę słów wymienić, i z niemi przestawać. Paulinka boleśnie to uczuła, i biorąc Zosię pod rękę, pytała, o coby jéj chodziło? Czyliby jéj może zazdrościła krakowskiego ubioru? to ona go chętnie ustąpi; a może w gwarze nie dość serdecznie ją przywitała?... więc najczuléj przeprasza... Zosia wymawiała się, że jéj o nic nie chodzi, i że się owszem doskonale bawi, tylko iż ją nieco głowa boli. Pan January zajęty gośćmi o niczém nie wiedział, aż dopiero żona do ucha mu szepnęła, iż Zosia smutna i krzywi się.

— Proszę? (odrzeknie Pan January) ja właśnie z téj zabawy najwięcéj się dla Zosi cieszyłem. —Musi być jakaś przyczyna. — Uważaj jejmość każde jéj poruszenie, a ja téż czasem z boku na nią spojrzę! —

Tańce się już zaczęły — muzykanty i tancerze po wieczerzy nabrali ochoty, mazur szedł posuwisto i trwał już godzinę a pierwsza para nie myśli go kończyć, lecz rozmaite wynajduje zmiany, aż wreszcie tańcują ostatnią figurę z kielichem, przy któréj piją zdrowie państwa młodych kuligowych, to jest Stanisława i Paulinki. Zosia, któréj

wyraz twarzy był zawsze miły i słodki, ukryć nie mogła bolesnego wzruszenia, które zdradziło się spojrzeniem pełném ognia i niechęci. — Dostrzegła to Paulinka i głaszcząc ją wzrokiem i uśmiechem, chciała ją ukoić, ale właśnie podwójny cios sercu Zosi zadała, bo nic boleśniejszego nad litość lub współczucie zwycięzcy. Zosia w dół oczy spuściwszy, usiadła na krześle i zadumana, nie wiedziała iż na nią przyszła koléj do tańca. Tancerz stał przed nią, kłaniał się i nogami szastał, a Zosia jak usiadła, tak i siedzi! — Druchna dopiero przypomniała jéj koléj, i rozbudziła pogrążoną w marzeniach.

Trzeba wiedzieć: iż obok zalet panien na wsi wychowanych, mają one jedną wadę, że myślą za głośno. — Dusza ich do szczerości i prawdy nawykła, zaraz wychodzi na wierzch i to się źrenicami, to usty wymyka, albo w całym układzie maluje. — Jak kocha, to miłości w sercu nie utai, ani obojętnością drażnić nie potrafi, ale jak téż nie lubi, to tak nosek nadmie i tak się zadąsa, iż jéj uczucia innego nie potrzebują tłomacza. W zasadzie, to może i dobrze serce mieć na dłoni, ale w praktyce, to szkoda go na ludzkie wystawiać obmowy, i lepiéj, aby

siedziało, gdzie go Bóg umieścił, to jest: pod piersi pancerzem. —

Matka Zosi śledziła ją wzrokiem, i doszła już tego, iż coś między nią a Paulinką zaszło, lecz co? tego ani matka ani Paulinka nawet nie wiedziały, bo któż zgadnie u panien a nawet u wszystkich kobiet istotny powód zazdrości, kiedy sobie nietylko kochanka, ale czasem lichego strzępka lub świecidełka zazdroszczą.

Zosia wiedziała, o co jéj chodzi, i ja wiem, przeto czytelnika pod tym względem objaśnię.

Pan Stanisław po kilku latach pobytu w Krakowie, powrócił w Sandeckie i zaraz przyjechał w odwiedziny do państwa Januarów. Układ jego więcéj już miejski, ruchy swobodniejsze, rozmowa przyjemna i ubogacona nauką, przypadły do smaku Zosi, która jeszcze tak układnego nie widziała młodzieńca. Wreszcie Staś był ładny chłopiec, brunet, rumiany, ożywiony i dobrego imienia. Lecz że Pan Bóg swe dary w różny sposób rozdziela, przeto dawszy Stasiowi tyle zalet moralnych i fizycznych, odmówił mu majątku; i sprawiedliwie, bo cóżby się z głupimi stało, gdyby nie mieli pieniędzy?!... Staś tedy liczył się do najuboższéj,

ale najprzyzwoitszéj młodzieży, i jeżeli za całą swoją schedę zaledwie lichą znalazłby dzierżawę, to mimo tego powszechnie był cenionym. Wiedzieli o tém bardzo dobrze i pan January i pani Barbara, dlatego była nawet kiedyś o tém między małżeństwem poufna rozmowa, a w niéj utyskiwał pan January nad niefortunnném położeniem Stasia, dodając: „Gdyby obok swych zalet miał majątek, to kto wie?“ A pani Barbara rzekła: „Oj tak, tak Janusiu! tylko mu tego brakuje, bo zresztą cóż mu zarzucić?“ Tak myślili i rozmawiali tatunio z mamunią, ale Zosia z sobą inną toczyła rozprawę: „Co „mi tam z majątku? wolałabym głód cierpieć z mężem, którego kocham, jak opływać w dostatki z innym, który mi się nie „podoba! Ach, gdyby rodzice Stasia znali, „toby innego dla mnie nie szukali męża!“ Tak sobie już marzyła ta młoda Zosia, ta lasowa sarneczka, ten pączek róży, ta Zosia, mówię, którąśmy mieli za tak potulne i dziecinne Boże stworzeńko!!

Pokazuje się więc, że owe chmurki, które się przez jéj piękne przesuwały czoło, to były obłoczki miłosnych marzeń, wspomnień, żalów i trwogi. To zaniedbanie kanarka oznaczało postęp w uczuciach, odbiegają-

cych fikcyi dla rzeczywistości. Obcy byłby to rychléj wyśledził, ale rodzice, jak pierwszymi są zawsze do upatrzenia zalet w swoich dzieciach, tak ostatnimi są w dostrzeżeniu wad lub usterków. A więc téż pan January, acz wiedział, iż miłość do serca córki rychło już zapukać może, to ani przypuszczał, aby już furtkę serca otworem znalazła. Pani Barbara zaś prędzejby się śmierci jak tego spodziewała, i nawet jéj to nigdy przez myśl nie przeszło.

Mazur się skończył i zmieszane szyki w tłum się znowu zgromadziły. Muzyka milczy, a w jéj miejsce gwar się wszczyna. Każdy mówi z tym lub z owym, lub do przyszłych tańców prosi. Młodzież pokrzepia się winem, albo znój ociera z czoła, i chłodzi się w drugiéj sali. Matki chodzą za córkami, poprawiając na nich stroje, przypinają wstążki w splotach, albo haftki w gorsecikach. Daléj siedzi ojców grono, i prawiąc o starych dziejach, starego piją węgrzyna. Zosia siedziała na kraju i czasem tylko zpod swych rzęs zasłony strzeli wzrokiem tu i owdzie, ale spocznie ócz promieniem na ukochanym młodzieńcu. I Staś także niby wszędzie okiem ściga, przecież częściéj tam wzrok niesie, kędy siedzi luba

Zosia. I jak czasem, niby trafem dwa promienie się zestrzelą, tobyś przysiągł, że widziałeś dwóch piorunów pojedynek. Ale po cóż tak z daleka strzelać miłosnémi groty, wszakże wolno wobec ojca, wobec matki, i wobec ludzi pomówić. Przy Zosi jest stołek próżny, więc usiądźmy, rzekł do siebie pan Stanisław. Co mówili, ja wiem tylko, bom z urzędu powiernikiem.

— Pani wydaje mi się być dzisiaj mniéj wesołą, jak zazwyczaj. Mało Pani tańczy! Lękam się, czyli nasz kuligowy zajazd nie jest tego powodem (rzecze Stanisław).

— Oh, wcale nie (odpowie Zosia), owszem dzielę z moimi rodzicami wdzięczność dla osób, które nas przyjaźnią zaszczycają i odwiedzać raczą. Ale jako córka domu pragnę, aby się goście nasi bawili, i dlatego mniéj tańczę, troskliwą będąc o zabawę moich koleżanek, a szczególniéj Paulinki, jako heroiny kuligu. — Bardzo jéj w tym stroju do twarzy. Zawsze jest ładną, ale dzisiaj jeszcze mi się być wydaje piękniejszą.

— Zapewne, iż pannie Paulinie do twarzy jest w tym stroju, ale mnie ona mniéj zajmuje, gdyż....

— Jakto Pana nie zajmuje? Toby bar-

dzo źle było, żeby pana młodego panna młoda nie zajmowała. Ja temu nie wierzę.

— Ależ to tylko kuligowa panna młoda, i jesteśmy jak aktorowie, którzy kochając się na scenie, kłócą się za kulisą.... Przeznaczono mnie przeciw memu życzeniu na pana młodego, więc się poddałem rozkazowi starszych, ale myślą, sercem, uczuciem jestem....

— Przepraszam Pana, ale mi się zdaje, że mnie mama woła, a także muszę iść do Paulinki, bo sama tam siedzi....

I wstała Zosia, a jak strumień wody wśród kwiecistych łąk się snuje i szepce trawkom tajemne zwierzenia, tak Zosia już weselsza, hoża, ożywiona, kręci się i krząta wśród swych koleżanek, i do każdéj słówko uprzejmie przemówi. A pan Stanisław został, wzrok w ziemi zatopił, głęboko się zamyślił, westchnął jeszcze głębiéj i stanął w młodzieży kole.

Już skrzypek dostraja kwinty, która mu się prosi, basista brząka palcem po najgrubszéj stronie, już trąby przedmuchują, odlewają parę, klarynet wstępnéj spróbował przegrawki, a wkrótce razem ucięła kapela poważnego poloneza. Na ten wyzew stają w pary, najprzód dostojna starszyzna, a za

nią się młodzież snuje. Damy solo! zawołano, a wnet jakby wstęga jaka z najpiękniejszych barw utkana, rozsnuwa się w różne zwoje i pierścienie i zawroty. Każda wreszcie wedle myśli i uczucia lub wyboru bierze swojego do tańca, lub wybrana idzie w pary; tak jakby w ptaszków gromadzie, które siedząc na gałęzi, nie zapomną o swych ślubach, lecz zaledwo się zawabią, już jest samczyk przy swéj ptaszce, albo ptaszka przy samczyku.

Zosia musiała żałować, iż tak dorywczo przerwała ze Stanisławem rozmowę. Postrzegła, iż zesmutniał; ale zamiast podzielać jego smutek, cieszyła się nim wewnętrznie; bo panienki, chociaż są tkliwe stworzenia, to z radością patrzą na męczenników miłości i cieszą się duchową boleścią swych ofiar. I nie dziw! niewiasta zawsze uległa i słaba, poddana woli lub tyranii męża, jednę ma w życiu chwilkę, w któréj jest silną i czuje się być panią; chwilkę mówię, w któréj usiadłszy na dziewictwa tronie i otoczona orszakiem wdzięków i uroków, panuje jak królowa nad hołdownikami. Ale ta królowa w obszerném państwie miłości, nie jest surową, ani też kary długiéj nie naznacza. Litość wnet bierze górę i wino-

wajca staje się zwykle pierwszym królowéj ulubieńcem. Tak też było i z Zosią! Już dwakroć opłynęła salę w polonezie, a jeszcze płynie, spuściwszy w dół oczka,... niby nie patrzy,... nie wie kogo wybrać?... ale my bywalcy, co się już znamy na panien fortelach, zaręczyć byśmy mogli, że wié, i że wybierze pana Stanisława. Zgadliśmy! już są z sobą, takty mierzą razem, jakby w znak zgody i uczuciów miary, bo kto zna głębsze ducha tajemnice, to wie że taniec jest także rozmową i jakby próbą wspólnego pochodu. Stanisław rozjaśniony tym szczęścia promieniem, pląsa jakoby fala na srebnym potoku, szumno się suwa, zwija, przytupuje, a okiem pije wdzięki z twarzy swéj kochanki. Oh! gdyby można tak przepląsać wieki w śród miłości i nadziei, to człowiek zamiast pokuty w doczesnéj swojéj pielgrzymce, stałby się ziemskim aniołem i żyłby w nieba przedsionku. Bo taka miłość nie dopuszcza grzechu, ona wykwita nie z ciała lecz z ducha; obok niéj stoją na straży sędziwe cnoty wiary i czystości, które namiętnych nie dopuszczą chuci.

Polonez zakończono, już się każdy kłania, damę swoją wiedzie ku stołkom i ławom, a Pan Stanisław jakoby w zachwycie, nie słyszy i nie widzi, lecz polskiego suwa; aż go dopiero Zosia uprzejmym ukłonem ostrzegła, że już koniec! Spostrzegł się Stanisław, a nawet nieco zmięszał, widząc że wszystkie oczy na niego zwrócone. — Podobno z lekka rękę Zosi ścisnął, i zawiódł do panien grona. Kolleżanki ją wdzięcznym przyjęły uśmiechem, ale czy w tym uśmiechu nie było przymówki lub lekkiego posądzenia?... to niech się same z tego wytłumaczą. Na piękne lica Zosi wystąpił rumieniec, mały wprawdzie ale dostateczny aby się nim zdradziła, dla tego téż czemprędzéj jak mała szczebiotka mówić zaczęła o dalszéj zabawie, i dni następnych kolei. To jednak pewne, iż jako przed chwilą uważano, iż Zosia była smutną, tak znowu nagła zmiana jéj chumoru niektórych dziwiła. Paulinka przeciwnie, która niedawno jaśniała uciechą i zadowolnieniem, zesmutniała, i oparłszy główkę na ręce, dumała przy narożnym w pokoju stoliczku. Zosia do niéj pobiegła i z tkliwością pyta: „Cóż ci to moja droga Paulinko? jakoś smutną jesteś?“ — „Oh, wcale nie, moja Zosiu, tylko trochę mnie głowa boli,“ odrzeknie Paulinka. — „Może ci za gorąco

w tym stroju krakowskim? (zapyta Zosia) to ci dam moją białą suknią, jeszcze w niéj nigdy nie byłam, jest zupełnie świeżą" — „Dziękuję ci Zosiu, (odpowie Paulinka), ale ten strój jest właśnie wygodnym do tańca!"

Mój Boże! jakto łatwą jest każda ofiara, dopóki ona nie dotyczé ducha. Panienki jedna dla drugiéj wszystko poświęcić gotowe, majątek, dyamenty, kwiaty, nawet zdrowie, ale jak przyjdzie do ofiary ducha, i jedna drugiéj ustąpić ma na polu miłosnych uczuciów, to braknie poświęcenia, i do takiéj ofiary próżnoby ją wyzywać! Miłość w sercu kobiety jest więcéj jak prostą skłonnością, jest ona tchnieniem ducha i żywiołem duszy, jest ciepłem serca, światełkiem nadziei, grą wyobraźni i celem pragnienia, słowem jest treścią całéj duchowéj potęgi w kobiecie. I gdyby to uczucie nie było tak silném, toby ród ludzki nie przetrwał i wieku, bo niewiasty bliżéj rozważywszy przyszłe w małżeństwie koleje, (w dzisiejszych szczególniéj czasach) przekładałyby zostać wolnemi anielicami, jak mężów niewolnicami. Dzięki Bogu, iż nad rozsądek, rozwagę i rachubę, miłość jest silniejszą i dla tego mamy żony. Otóż Paulinka Zosi strój krakowski, a Zosia Paulince białą suknią chętnieby oddała, ale

uczuć dla Stanisława i jego wzajemności, żadna się dla przyjaźni nie pozbędzie.

Chodziłoby tu jednak o wyjaśnienie, czy między Paulinką a Stanisławem istniał jaki stosunek miłości? Zaręczyć mogę, że nie! ale to nic nie dowodzi, bo dobrze mówi pan January, że *„miłość jest jak złodziéj, i serce porwie, gdy się kto tego najmniéj spodziewa."* Otóż mógł się pan Stanisław spodobać Paulince w tym krakowskim stroju, a może sama kuligowa komedyja, mogła odrazu zamienić się w rzeczywisty miłosny dramat?!... kto to zgłębić potrafi tajniki serc ludzkich?!!.. Dość na tem, że kiedy Paulinkę główka boli, to i serduszko musi być nieco chore, a któż to serce uzdrowi, jeżeli pan Stanisław nie uleczy go balsamem wzajemności?? Matka Paulinki widząc córkę smutną i zamyśloną, przysiadła się do niéj i zwykłą spowiedź zaczyna: „Cóżci jest? czyliś nie słaba? może ci za gorąco?" — „Nie mamo nic mi nie jest!" — „Może co z Zosią zaszło? powiedz mi kochanie!.. bo i ona jakaś smutna" — „O! zaręczam mamę że nic nie zaszło — ona już wesoła trzepiocze się, rozmawia i wszędzie jéj pełno!" „Więc o cóż chodzi czy ci kto uchybił jakiém niegrzeczném słowem? Może pan

Stanisław?“ — „Oh nie, moja mamo, on ze mną nie mówi i żałuję, iż on jest panem młodym,... wolałabym Jasia, który jest sto razy grzeczniejszym dla swéj druhny!“ — „No, moje dziecko (rzecza matka) nie ładnie się tak dąsać, trzeba być uprzejmą, w obcym szczególniéj domu, bo gospodarstwu i Zosi może to być bolesném, iż się tak kwasisz“ „Oh, co dla Zosi, to jest obojętném (odrzeknie Paulinka) ona tylko zajęta panem Stanisławem.“ — „Ale pfe, moje dziecko, takich rzeczy nie gadaj, bo ani podobieństwa niéma!.. do czego zaś?... pan Stanisław jest przyjemny chłopiec, ale ani dla Zosi, ani téż dla ciebie, a wreszcie Zosia o lalce jeszcze powinna myśleć a nie o amancie, ona młodsza od ciebie, a ty jeszcze nie jesteś panną na wydaniu! — No, jakżebym była rada, aby znowu tańcować zaczęto, boby się kwasy skończyły.“

Kiedy się rozmowa z Paulinką toczyła w jednym kącie pokoju, w drugim znowu Zosia przed matką miała sprawozdanie:

Matka Zosi pyta: „Jakiż jest powód że Paulinka smutna? i dla czegóż jéj nie bawisz? — Cóż zaszło między wami, więc o cóż te fochy?..“ — „Ale nic moja mamo, żadnych niema fochów, tylko mi powiedziała,

że ją głowa boli. Ofiarowałam jéj moją suknią białą i odmówiła. — Matka jéj uważała, że się i ty dąsasz, i z tego zrobią się między nami gniewy!“ — „Bo mnie głowa bolała, moja Mamo, ale już nie boli. Ja zaraz pójdę do Paulinki.“ — „No idź moje dziecko, a zabaw ją, rozerwij, staraj się wszystkim uprzyjemniać pobyt w naszym domu.

Obiedwie panie zaczęły miarkować o co córkom chodzi, ale zwykle matki nie chcą tego rozumieć, czego sobie nie życzą. Myślą iż sprawy unikną gdy się jéj nie domyślą. Biedne matczyska! radeby czasem same przed sobą ukryć rzeczywistość, spoźnić przeświadczenie!

Po długim odpoczynku, znowu się za stół muzykanci tłoczą, lecz nót nie rozkładają, więc zapewne w pamięci nosić muszą tony i w istocie: któżby z nót grał krakowiaka?

„Dalejże państwo młodzi! (zawołają „wszyscy,) tu nam się popiszcie! a pan Sta-„nisław co wrócił z Krakowa, zaśpiewać „nam musi nowe krakowiaki“!

Stanisław wziął Paulinkę, brzęknął podkówkami, zatrząsł kółkami u pasa, koniec chustki w pętelce sukmany zawiesił, a czapkę

podniósł do góry. I potem pannę obwiódł koło siebie, ujął ją całem objęciem, i jedną nogą suwając się dziarsko, drugą się tylko podsadzał, i tak hulał jakby kulał, bo Krakowiak rodowity nie szlifuje po podłodze ani też podryga w tańcu, lecz jakby w krótkim galopie z jednéj nogi susy sadzi a na drugiéj się podpiera. Przed muzyką staje para kołysząc się jak dwie łodzie, przytupując, pobrzękując, a z ducha czerpiąc natchnienie — Bo gdy skończą muzykanci powtórzenie drugiéj części, pan młody musi wyśpiewać, co wysnuł z serca tajników. — Cała starszyzna stoi przy muzyce; pan January ciekawym jest pieśni, a przeto się przybliżył i natężył ucha. Zapomniałem tu dodać, że za pierwszą parą, Zosia z Jasiem tańcowała, ale spokojna, bez gniewu i trwogi, bo zapewne Stanisław coś rzekł mimochodem, co ją całkiem upewniło. Otóż Stanisław tak zaczął improwizować:

„Gdy w Twym domu bawim, Panie January,
„To téż hołd wdzięczności przyjm od pierwszéj pary.
„Twojato gościnność nas tutaj prowadzi,
„Bo wiemy to wszyscy, żeście gościom radzi.
„Niech się więc życzenia spełnią pierwszéj pary,
„Aby w długie lata żył Pan January!!“

I prześpiewawszy, uderzył w podkówki, zlekka damę obrócił, a potém ją puściwszy,

dopóty krzesał ognia, i tupał i wabił, dopóki znowu damy nie ujął i nie uniósł w tańcu.

„Łepski chłopak,“ rzecze pan January, pokrząknąwszy sobie, „konceptu mu nie brak.“ —

Stanisław znowu stanął przed muzyką, i daléj rzecz swoją wiedzie:

„Gdyby kiedy Niebo zlało na mnie dary,
„Podobnejbym żony szukał do Pani Barbary.
„Jéj rzadkie przymioty i wysoka cnota
„Droższą jest od srebra i droższą od złota.
„Niech Bóg pociechami życie Jéj przeplata,
„I niechaj nam zdrowo żyje w długie lata.“

Pani Barbara ukłoniła się uprzejmie na znak podziękowania, i pomruknęła sobie: „Przyjemny młodzieniec i umie się znaleźć.“ Ale po tych strofach przychodziła trzecia, trudniejsza i dla śpiewaka i dla słuchaczów, a szczególniéj dla rodziców Zosi. — Mówię, że trudna dla śpiewaka, bo długo tańczył, a stanąwszy przed muzyką, w górę podniósł oczy, jak gdyby w niebie chciał szukać natchnienia, wreszcie westchnąwszy, zaśpiewał:

„Piękna jest gwiazdeczka na wysokiém niebie,
„Dla wszystkich przyświeca, lecz ciemna dla ciebie;
„Ale gdy miłością kiedyś zajaśnieje,
„To i szczęście twoje na ziemi rozdnieje.
„Patrz więc ciągle w niebo, nie trwaj na przeszkody,
„Wszak promyczek słońca twarde topi lody.“

Odśpiewawszy zaś, obrócił wkoło damę, ukłonił się i zakończył taniec; a obie panienki oczy w dół spuściły, bo Stanisław imienia żadnéj nie wyśpiewał, i krakowiak do każdéj w szczególności i do wielu mógł się zastósować. Muzyka zamilkła, słuchacze także rozeszli się w milczeniu, spoglądając na siebie okiem badawczém, o któréjby Stanisław rzeczywiście myślił. Wreszcie do ojca Paulinki rzekł pan January:

— No, sąsiedzie! dość wyraźnie ci się pan młody o córkę przymówił.

— Przepraszam, rzeknie pan Cyryl, bo o twoją Zosię rzecz idzie.

— Jakże zaś? kiedy przecież z córką twoją tańcował i do niéj przyśpiewał.

— Ale do czegóż, przecież was się wyłącznie ten cały śpiew tyczył. Lecz wszystko jedno, bo hołysz, a tém samém wysokie nasze progi na jego nogi. Miły chłopiec, nauki ukończył, ale cóż z tego, kiedy nikt mu ani grajcara nie da na hypotekę rozumu, tylko na ziemię.

— Oj prawda mój Cyrylku, że dzisiaj kto ma pieniądze, to ma i rozum, a najczęściéj jak kto goły, to i głupi.

Już był ranek i piąta biła na zegarze, a różne tańce z kolei nie podołały znużyć

ochotnych tancerzy. Drabant szedł żwawo, i gdy grano marsza, to młodzież, zamiast szukać w nim spoczynku, podskakiwała na zadatek pląsów. Obie kończyny w łańcuchu drabanta tak się prędko ścigały, jak gęste fale na wzburzoném morzu. Gdy zaś przyszedł obracany, to się młynkiem póty kręcił, dopóki się w wiru pędzie w końcu sali nie zatrzymał. Coraz wzrastała ochota, bo i wina było multum*), i panienki zgrabne, wdzięczne, a także i młodzież dziarska. Światło już dogorywało, a próżno chcieli lokaje nowe pozasadzać świece, nie było na to czasu, bo pod środkowym pająkiem grono tańczących się wiło. Wreszcie tchu brakło w piersiach muzykantom, klarynet fałszywe tony kiedy niekiedy zadymał; waltornie także ochrypły, i jedne tylko basy gęste odznaczały takty.

Wniesiono barszcz w filiżankach, a dla dam bulion i polewkę winną z cynamonem, lecz mało kto w niéj smakował, wszyscy się bowiem rzucili do barszczu. Zapach tego kordyału zaleciał nawet drzémiących starostów, więc i ta zaspana starszyzna

*) Dużo.

krzepi się rodzimym kisem i przytomność w sobie cuci.

„No, spać dzieci!“ zawoła pierwszy starosta, ojciec Paulinki, „dość téj zabawy na początek,.. jutro poprawimy!!“

„Szkoda!“ ozwie się młodzież.

„Nie przepadnie wam reszta, bo mili „gospodarstwo nas nie wypędzają; będzie„cie jutro mieli cały dzień i całą noc ucie„chy! a teraz odpocząć mi po zmęczeniu „i rozejść się na kwatery! Tak wam z u„rzędu mego nakazuję.“

Władza pierwszego starosty w kuligu była nieodwołalną, więc muzyka ucichła, a chłopcy rozhasani, gdzie niegdzie tylko na sucho podkówkami krzeszą, jakby na podzwonne.

Rodziców Paulinki z córką oraz starsze wiekiem matrony z panienkami umieszczono we dworze, oddzielając małżeńskie łoża parawanami i firankami. Kto się zaś nie pomieścił, szedł do oficyny, do młyna i na wieś. Młodzież cała po wsi zapisane miała kwatery, a pachołki ich doprowadzali. Stanisławowi z Jasiem dostała się najbliższa dworu chata, a w niéj czysta izdebka u poczciwych i usłużnych gazdów. Wkrótce wszyscy w snie pogrążeni, krzepili siły do

przyszłéj pohulanki, a we dworze już światła przygasły, bo dnieć nawet zaczynało. Stanisław nie czuł snu potrzeby, i usiadł przy oknie, rozmawiając z Jasiem, któryby wołał tańcować, jak spać pod ustąpioną przez gazdów pierzyną. A więc téż gadu, gadu o tém lub o owém, a może zwierzenia wzajem sobie czynią, gdy raptem z stołka zerwał się Stanisław, i krzyknął: „Jezus, Maryja! gore!!“

— Gdzie gore? Jaś zapyta....

Stanisław nie odpowiada, ale jednym skokiem już przy drzwiach i za drzwiami. Nigdy błyskawica nie przeszyje tak prędko niebiosów przestrzeni, jak Stanisław do dworu przeskoczył odległość, Jaś za nim, gazdowie za nimi. Co się stało? — Firanki płoną w gościnnym pokoju! Daléjże ratować! Już wszyscy przebudzeni we dworskich komnatach, zbiegli się na miejsce pożaru, kiedy Stanisław ręką płomień chwyta, targa firanki, nogą ogień depcze, Jaś nosi wodę, gazdowie spieszą ze śniegu zapasem i wnet cały pożar ugaszony, przedstawia tylko krotochwilną stronę nocnéj maszkarady. Panna Paulina w futrze swego ojca, jak ślimaczek w skorupie pokazuje rożki; pani Cyryllowa w fałdzistém prześcieradle tuszę swoją kryje,

kiedy pan Cyryll w kołdrę obwinięty, z czapką na głowie a z bosemi nogi, rozpowiada przygodę w tak tragicznym tonie, jakoby z Cyda zapamiętał scenę. Gospodarz koi, gospodyni cieszy, mówiąc, iż to „nic nie jest, że wypadek mały,“ a piękna Zosia, strojna jak do tańca, miłym spogląda okiem na swego kochanka, który się stawił pierwszym do ratunku i jeszcze tak jest ubrany, jakby dopiero zakończył drabanta! Oh! bo należy wiedzieć, iż nic nie porywa tak serca niewiasty, jak poświęcenie i odważna ofiara młodzieńca. Widziałem często, iż miłość rozmazana, natrętna, i nudno-tkliwa zmęczy i znuży uczucie, bo wtenczas jest mężczyzna panny ofiarnikiem, a panna jego ofiarą. Niedaleko też zajdzie kawaler ostrygowy na drodze zalotów, bo ręczę, iż gdyby wszystkie przeczytał romanse, i płuca wywzdychał, i karmelkowém słowem pieścił swoję lubą, to z boku zajdzie mu frant szlachcic z odwagą i siłą, stawi się tęgo, kroku nie ustąpi i porwie mu zpod nosa serce i wzajemność panny.

Nazajutrz, a raczéj tego samego dnia z rana około dziesiątéj, schodzili się goście jedni jeszcze w krakowskich strojach, a drudzy przebrani i zasiedli do sutego śniada-

nia, którego trudno opisać, bo też i trudno przeliczyć potraw, na zimno i na gorąco dawanych. Przy śniadaniu toczyła się rozmowa o wypadku firankowego pożaru, do którego ugaszenia tak dzielną przyniósł pomoc pan Stanisław; dziwiono się, zkąd się tak nagle pojawił, a zapytano, czy rąk nie poparzył? Pan Stanisław tłumacząc, iż z okna pierwszy dostrzegł łunę, dodał, iż w pierwszéj chwili nie uczuł oparzenia, a teraz na małe cierpienie nie zważa. Pan January obejrzawszy blizny na ręce, przekonał się, iż obie dłonie wzdęły się pęcherzem. Daléjże szukać waty, oliwy, atramentu, octu i tartych ziemniaków, ale się pan Stanisław od wszelkiéj wymawiał kuracyi, twierdząc, iż dotkliwszą jest boleść moralna, jak fizyczna. Na to zaś żaden z panów ojców nie stręczył lekarstwa, choć każdy dobrze zrozumiał przymówkę. Zosia zpod oczka, ale ze współczuciem spojrzała na Stanisława, a to spojrzenie nie dla rąk obolałych, ale dla serca było balsamem. Wszakże snadź to spojrzenie podchwyciła matka, bo zmarszczywszy czoło, jąknęła jakieś niewyraźne słówko i z żywością poprawiła się na stołku. Ale to i dobrze, bo matka powinna wiedzieć o uczuciach córki, i jeżeli byłoby co

do wyrzucenia Zosi, to chyba to jedno, iż się swojéj do Stanisława sympatyi matce nie zwierzyła. Lecz panny wiejskie są jak dzikie aniołki, które miłości wstydzą się jak grzechu, a ukrywają onéj tajemnice nawet same przed sobą. Mimo tego jestem pewnym, iż się z tego dobra Zosia poprawi, i gdy się kulig rozjedzie, wyzna przed matką, że jéj się Stanisław podoba, a potém powie, że go nawet lubi;... aż w końcu że już na prawdę go kocha. Jaś który wczoraj pannie Józefie druchnie swojéj nadskakiwał, teraz jak w obraz patrzy się w Paulinkę, i zawsze słowem grzeczném ją zaczepi, i przyszłych tańców układa porządek; Paulinka nie wie, czyli to uprzejmość lub też bliskiéj miłości zadatek. W pół wierzy, a w pół wątpi, i baczniéj mu się przygląda, aby samą siebie zbadać, czyby się jéj mógł podobać. Może pozyskałby względy, gdyby nie porównanie z Stanisławem, ale przy nim tyle traci, ile kopija przy pierwowzorze.

Po śniadaniu znów tańce trwają do obiadu, po obiedzie do wieczerzy, a potém do dnia białego. Zapał się wzmaga, siły nie braknie, a wino w starych, w młodych zaś miłość ochotę podnieca. W przestankach, matki córek pilnują jak oka, słuch

i wzrok natężyły w nieustannéj warcie, a szczególniéj téż sama gospodyni, jakby coś zarządzała, ciągle się koło córki kręci. Czy się to na co przyda?... powątpiewać wolno!! Miłość nie potrzebuje mówić słów obfitością, lecz jeden wyraz twarzy, jedno spojrzenie, westchnienie, wystarcza, aby wszystko powiedzieć a nawzajem zbadać także wiele. Zdaje się, że tym kluczem tajemnym odczytywali w sercu młodzi kochankowie wszystkie zaręczenia uczuć wzajemnych, i stałych na przyszłość zamiarów. Co do Jasia to ten wiejski motylek, który nie dawno jako gąsiennica objadał liście i kwiaty, ciągle się między pannami trzepotał, ale z Paulinki jakby z pączka róży chętniejby zbierał miłosne słodycze. Że jednak trzpiota mniéj się każdy boi, i słusznie, więc chociaż się do Paulinki przysiadał i mizdrzył i w rozmowie kwilił, to w matce nie budził trwogi, ani podejrzenia, ani téż w Paulince zajęcia.

Po drugim dniu zabawy ułożono dalszy pochód kuligowy, i stanęło na tém, że się za dni kilka zjechać miano w Limanowéj. Ostatnie śniadanie przed wyjazdem, zwało się Kwindeczowe, tojest d o r e s z t y. Przy téj biesiadzie nie było porządku, chociaż była podwójna wszystkiego obfitość. Starzy

i młodzi pili jakby z rozpaczy, a kolejne kielichy z małemi pomięszane, nie szły we zwykłym ordynku. Wszyscy wnosili zdrowia, nie każdy powtórzył, a gwar się robił i pijana wrzawa. Nikt na miejscu nie dotrwał, wstawał z kielichem i wino rozlewał, a przyjaźń swą zaręczał, ściskał i całował. Pan January w pana Cyryla objęciach kołysząc się, wdzięczności składali affekta, a drużbowie, wzniosłszy gospodarstwa zdrowie, śpiewali pieśń stósowną, ale ją kaleczyli i w treści i w tonie. Słowem, o tém finale kuligowéj sprawy lepiéjby i nie mówić, gdyby wśród tego szału nie górowała postać Stanisława poważnym statkiem i ducha pokojem. Niby on się to do téj wrzawy mięszał i niby koléj przyjmował, pił trochę i rozmawiał, ale taką miarę w tém wszystkiém umiał zachować, iż jeden wyjątkowo przytomny i trzeźwy, bezpieczeństwa podróży zdolnym był przestrzegać. — Furmani téż, niestety! nie byli na sucho! bo nietylko już wódki wyczyścili blachę, lecz w nadmiar gościnności podano im wina i tak ich spojono, że niektórzy puściwszy cugle, zadrzemali; a inni nosem własnym bijąc w nosy sanic, krwią się zbroczyli. Zajeźdżaj!! krzykną drużbowie.... Janek,

Franck, Kuba! zajeźdżaj! (powtórzą). Jeden usłyszał i na oficynę dyszlem się tłoczy, a drugi szarpiąc lejcem półkola zakreśla. Robi się zamięszanie, konie się plątają, jeden drugiemu wpoprzek drogi staje; kwik, rżenie i wierżganie, iż rzekłbyś, że téż konie użyły kuligu. Niebezpieczeństwo rosło, a nie miał kto radzić, bo panowie nietrzeźwi, a słudzy pijani. Panie strwożone krzyczą, do sieni się chronią, panienki drżą, i każda przy matce się tuli. Jeden tylko Stanisław choć z cierpiącą ręką rzuca się w odmęt zaplątanych koni, sam prostuje, odprzęga, gromi źrebce głosem, i przekonywa tak konie, jak ludzi, że człowiek przeznaczonym panować stworzeniu, jeśli sam przez grzech nie stał się zwierzęciem.

Pan January w takim rzeczy stanie odradzał gościom podróż, prosił ich i zaklinał, iżby zostali, ale gdy trunek w głowach pomąci sąd zdrowy, to wszelka droga wydaje się równą. Koniecznie się uparli wyjeżdżać, dając za powód kulig w Limanowéj i potrzebę odświeżenia strojów. Pan Stanisław radził, aby w miejsce furmanów wziąść ze wsi parobków a tak chociaż kulawo, dojechać do Sącza. Téj rady usłuchano i zeszli się chłopi, aby zastąpić upojoną służbę;

ale daremnie, bo żaden z furmanów nie chciał lejców z rąk puścić. Napróżno się panowie wdawać chcą w tę sprawę, i jednych groźbą, drugich prośbą skłonić; upór przemaga, a wszczyna się wrzawa między służbą i chłopami. Stanisław, który przed chwilą znarowione konie uspokoił, nie zdołał znarowionych ludzi w ład wprowadzić; aż wreszcie pan Cyryl wyrzekł sermo ad hominem, i harapnikiem pierwszego skarciwszy, do oddania z rąk lejców uprzejmie zniewolił. Ten argument przekonał i resztę upornych, cofają się ze sani, a gazdowie (acz niezgrabnie) garną się przed ganek. — Wtacza się rzesza, a jak który może, pragnie równowagi zachować prawidła, krawędzie sani w obu dłoniach ściska, i nogami się rozpiera. Lecz niechaj tylko sanie zsuną się w zatokę, już leży w śniegu rycerz kuligowy, lub utknie nosem na karku sąsiada. Biedny Stanisław w tym całym rozgwarze ciągle się krząta, oblicza szeregi, azali mu kto w zaspach śniegu nie utonął, lub spadłszy, o sanice głowy nie roztrącił. Tak szło aż do pół drogi, ale potém z wietrznym mrozem to i wino wywietrzało, i dojechano do Nowego Sącza.

IV.

Troski rodzicielskie.

Już tedy po kuligu. „Ha! i chwała Bogu" rzekli państwo Januarowie; a może i czytelnik za niémi powtórzy. Wierzę, bo o starym obyczaju, to tak mówią i słuchają dzisiejsi ludzie, jak o nieboszczyku, któremu się powie „Wieczny odpoczynek" i zwraca się myślą do żyjących i do spraw dziennych. A czy wiesz mój nowożytny Polaku, iż więcéj życia jest jeszcze na cmentarzu ojców naszych, jak w tobie, co się niby ruszasz i tańcujesz polkę? Czylibyś uwierzył, iż się wtenczas tylko żyje, gdy się rozmawia z umarłymi, a nieraz się umiera, gdy się mówi z żywymi. Powiesz może, że przesadzam w puryzmie albo że nie jestem postępowym. Co do pierwszego nie przeczę, iż mi jest miłość dawnych rzeczy wrodzoną, a co do drugiego

zarzutu, to muszę ci wyznać, iż tak w mojém życiu żwawo postępowałem, iż musiałem się aż cofać na widok przepaści, do któréj postęp mnie prowadził. Otóż jeśli tęsknię za starym obyczajem, to nie dziw, bo wiem, gdzieby nas nowy zawiódł. Ale dajmyż pokój postępowi, bo to ślizgawka dla dzieci, po któréj łyżwią się ludzie, dopóki są młodzi; a my mówmy o panu Januarym i o pani Barbarze, którzy we dwójkę usiedli sobie na kanapie i półgłosem do siebie prawią.

— Uważałeś Janusiu, jak Zosia i Stanisław na siebie tkliwie spoglądali?

— Oj, uważałem, uważałem niestety! i zdaje mi się, że nasza Zosia połknęła wędę. Czy djabli nadali?! Przecież ani sposób przypuścić, aby on mógł sobie tworzyć jakie nadzieje?!

— Ale mój Janusiu, jeżeli ona go pokocha na prawdę?

— Jaktéżto Jejmość takie rzeczy mówi! Co to jest pokocha? — To głupstwo! więc go musi odkochać. — Wywzdycha się, wypłacze, pozna innego, i finis.

— Tak ci się to mój mężu zdaje, ale ona ma charakter bardzo uparty... Ona w tém do ciebie podobna.

— Tém lepiéj, że taki ma charakter stały jak ja, ale téż jest upór na upór. Co za myśl szalona, abym ja córkę moją jedynaczkę, fortunną, ładną, wydawał za szaraczkowego szlachcica, co folwark plebański dzierżawi?! — Pfuj u djabła! — Wolałbym téż wieś własną podpalić, jak ją szerepetce takiemu zostawiać. Nie patrzę ja wysoko, ani książęcia nie czekam w konkury, ale Mości dobrodzieju chcę i mam prawo takiéj żądać fortuny, jaką i ja za córką daję, tojest najmniéj sześciukroć sto tysięcy.

— Niechby i czterykroć mój Janusiu, byle był człowiek uczciwy i słodki, i żeby żony nie fukał.

— No, więc czterykroć, niechby i tyle, ale Stanisław nie ma złamanéj babki.

— Nie mówi się mój mężu o Stanisławie, tylko o tym, któryby się trafił. Ja prawdziwie nie wiem, czy o tém mówić z Zosią, czy zostawić czasowi? Jak radzisz Janusiu?!...

— Trzebabyto jakoś z tém począć hydro-mudro, moja Jejmość, aby naprzykład rzec tam coś lub owoś, a niby jakby wpół żartem, a wpół do prawdy, i tak iżby tro-

chę wiedziała, a trochę nie!! Jużto Jejmość najlepiéj jako matka potrafisz.

— Mój mężu, tybyśto dużo lepiéj umiał jako ojciec wytłumaczyć, bo ja przewiduję płacze, a wiesz, iż kiedy widzę łzy w oku naszego dziecięcia, tak już i po mnie.

— Ej, czegobym się tam u stu palaruszów kwilił?! Powiedzieć jéj wreszcie, iżby ojciec nigdy nie pozwolił. Ja, widzi Jejmość, powiedzieć jéj tego nie mogę, gdyż mnie jako ojcu nie wypada nigdy ustępować, tylko tak, albo siak!!

— Ha, zobaczę mój Janusiu! będę się starała próbować.

Pan January wstał, krząknął, wziął na się futro z baranów, i podparty na kosturze, schodził z górzystego pagórka do browaru, który już od trzech dni zaniedbał. Lecz zaledwie postąpi kilka kroków, stanie zamyślony i głową kręci, a zdawałoby się, iż ruch do powrotu czyni.... lecz idzie znowu daléj i ginie nam z oczu w dolinie. Tymczasem pani Barbara kręcąc się po domu, łając i urządzając, próbuje na służących hartu swojéj duszy, i jakto mówią „dociąga do tonu,“ aby go użyć w rozmowie ze swą córką. Wreszcie zdawało jéj się, że już do-

strojona, więc z sypialnéj komnaty wstępuje do Zosi, która siedziała z pochyloną główką i coś dumała!... a nie trudno odgadnąć, kogo miała na myśli.

— Cóżto Zosiu! ty siedzisz, kiedy ja się kręcę! Trzeba przecież kluczyki wziąść od szafarni, a przy sobie te reszty kazać poustawiać!... Tyle zostało win słodkich, likieru: to się zmarni, gdy się tego odrazu nie schowa. Trzeba się zająć, a nie myślić o niebieskich migdałach, bo to nic-do-rzeczy i na nic się nie przyda.

— Moja Mamo (rzecze Zosia) zaraz pójdę, tylko niech się Mama nie gniewa!... Ja dość już smutna!...

— O cóżeś smutna, czy chory kanarek? jakoś mniéj o nim pamiętasz, i śpiewać zapomni, bo już dawno mu nie grałaś na pozytywku.

— Ej, co tam kanarek!...

— Więc cóż jest powodem smutnego chumoru?! Zawsze byłaś wesołą, czynną i domem zajętą, a teraz jakieś cię nudy i smutki napadły!... Może z Paulinką jakie zaszły zwady?...

— Ej, moja Mamo! co mi tam Paulinka...

— Więc cóż jest moja Zosiu?! Dobra

córka przed matką nie ma tajemnicy; powiedz mi, ale szczerze, może cię pocieszę?!

— Stanisław, moja Mamo!

— Co Stanisław?... więc cóż moje dziecko?...

— Oto moja Mamunciu, iż mi się podoba....

— Cóż, że ci się podoba?... Jako człowiek przyzwoity i dobrze wychowany, każdemu się podobać może... I mnie się podoba, i pani Cyryllowa chwali go, i wielu innych go lubi... więc cóż z tego?...

— Ale kiedyto Mama nie chce mnie rozumieć!... a ja nieszczęśliwa, bo mi się Stanisław inaczéj podoba... On mi się podoba bardzo, tojest całém sercem. Dlatego niespokojną jestem, że się naraża, bo pojechał do Sącza, a może go konie zabiły?!

— Moje dziecko, to chcesz podobno mówić, że kochasz Stanisława?...

— Tak jest, tak, moja Mamo, że go kocham....

— To ci się tylko zdaje moja Zosiu! jeszcześ za młoda, aby ci o kochaniu myślić było wolno. Na wszystko przyjdzie czas, a teraz to ani myśl o tém! Rozerwij się, pobiegaj, zagraj na fortepianie, przeczytaj tę twoją książkę... wiesz, te powie-

ści Szmidta, któreś tyle lubiła!... Pan Stanisław ani dzisiaj, ani nigdy nie będzie dla ciebie, bo nic nie ma, jest hołysz i prawie na niego córka jakiego dzierżawcy. No, uspokój się Zosiu, i niech już między nami nigdy o tém nie będzie mowy, bo to dziecińśtwo, uczucie przelotne. Jesteś dzieckiem, więc pierwszy którego widzisz może się spodobać, ale to nie jest miłość, to tylko chwilowe upodobanie. Oh moje dziecię! i ja będąc w twym wieku także sobie kogoś upodobałam, ale twój dziadzio a mój ojciec prędko temu położył koniec! mnie na rok wysłał do staniąteckiego klasztoru, a paniczowi zakazał przyjeżdżać i wszystko się skończyło! Potém gdy wróciłam, starać się o mnie zaczął twój Tatka i poszłam za niego, a tamten się też ożenił i jak był biedny, tak na gorszą jeszcze wyszedł biedę. Cóżby mi było z nim za szczęście?... Tak moje dziecko! nie trzeba sobie takich rzeczy przypuszczać do głowy, bo to próżne bałamuctwo! Gdyby tatka wiedział, toby się bardzo gniewał!

— Oh, moja mamo, (rzeknie Zosia ze łzami) kiedy mameczka tak mówi, to niechaj i mnie odda do Staniątek, ale już na zawsze; bo sobie tak powiedziałam, że gdy

mi rodzice nie pozwolą kochać Stanisława, to będę zakonnicą, albo w starym Sączu albo w Staniątkach, a już żadnego więcéj kochać nie będę!

— Jakto Zosieczko? (odpowie matka ze łzami) więc byś dla młodego człowieka, któregoś dopiero poznała, i który może sto innych panien kocha, naprzykład Paulinkę, Józię i Marynię, odstąpiła tak łatwo twych starych rodziców, których jedyną pociechą jesteś na tym świecie?... Więcbyś poszła do zakonu nie z powołania i miłości Bożéj, ale z rozpaczy i miłości młodzieńca?... Więcbyś chciała oszukać Boga, a zatruć życie biednym twym rodzicom?... a godziż się to?... a zniosłożby to serce twoje?... Oh moje dziecię! niechaj ci Pan Bóg tę chwilę uniesienia i szału przebaczy, bo sama myśl jest grzeszną i dowodzi, iż się źle modlisz, kiedy ci takie pokusy przychodzą. Gdy ci miłosne nudy przyjdą, odpędź je, weź święconéj wody, przeżegnaj się, zmów pacierz do Anioła Stróża, a zaraz i o Stanisławie zapomnisz i uspokoisz się w sercu!

— Oh! moja Mameczko! zmiłuj się Mama nademną, i nie posądzaj mnie o brak miłości dla was!! wolałabym umrzeć jak na gniew rodziców zasłużyć, lub być powodem

waszego smutku! przebacz mi droga Mamo myśl wstąpienia do klasztoru!! prawda iżby mnie tam czyste nie wiodło powołanie, ale rozpacz chwilowa. Zostanę przy was i pielęgnować będę waszą starość, upieszczę was i dla was tylko będę żyła. Zostanę na zawsze panną i jeśli pozwolicie, to sobie wezmę jakie sierotki na wychowanie, a może Bóg da, iż będę spokojną.

— No, moje dziecię! utul się kochanko! nie płacz! już zgoda, a niech ta szczera rozmowa między nami, będzie zadatkiem bliższego twego zaufania do matki, która cię tak kocha, która w tobie żyje i któréj jedyne szczęście tworzysz na téj ziemi. Za parę dni zaczniemy się wybierać na kulig do Limanowéj, tam się rozerwiesz, ubawisz, i żal twój ukoisz.

— Ale cóż! kiedy tam nie przyjedzie Stanisław, bo miał wrócić do domu i wcale już nie wyjeżdżać.

— To tém lepiéj Zosieczko! bo gdyby był, toby na próżno odnowił w twém sercu bezowocne uczucia i serce rozdrażnił. Trzeba się starać moje dziecię zapomnieć o nim.

— Oh moja Mameczko! zapomnieć?... nigdy!... Ja waszéj woli muszę być posłuszną i uledz waszym rozkazom. Może już

nigdy, skoro nie pozwolicie, nie zobaczę Stanisława. Ale o nim zapomnieć, to nie jest w méj mocy!...

— Z czasem moje dziecię, to się i w tém zwyciężysz. Ja nie takie jak twéj miłości widziałam wypadki, które czas zatarł, uleczył, i rozwiał nawet ślady dawnych wspomnień!

— Oh! nigdy Mamo, nigdy nie zapomnę.

Matka wyszła, a Zosia długo jeszcze płakała, lecz słysząc głos ojca, otarła łzy, i oczy susząc chusteczką wychuchaną, wzięła klucze i poszła do apteczki wypełnić matki rozkazy.

Tymczasem matka znów z ojcem rozmawia, zdając mu sprawę z przykrego poselstwa. Ojciec brwi marszczy, nos rozdął i słucha, a czasem zgrzytnie zębami.

— Bałamuci nam córkę ten błazen (rzekł pan January), a ja go wnet przez kij przesadzę: i najprzód mu list wypalę, który mu w pięty pójdzie.

— Nie rób tego Janusiu! jak mnie kochasz!...

— Zrobię!

— Nie moja duszko, nic, mój drogi mężu! Cóż on winien, iż się Zosieczce spodobał? On może sam cierpi nad niepodobieństwem

pozyskania jéj ręki!! wszakże się ani Zosi ani nam nie oświadczył. A gdyby ci też odpisał, że o Zosi nie myśli,.. tobyś twą córkę w oppinii jego i świata naraził. Trzeba ostrożnie być z konkurrentami i nigdy nie wyprzedzać oświadczeń wyraźnych, stanowczém słowem odmowy; bo się gotowi pomścić i pannę osławić a wyśmiać rodziców.

— Tego on nie zrobi, bo jest chłopiec szlachetny! tego się nie boję, ale golec, nic nie ma, niech go wezmą djabli.

— Ale mój drogi mężu! tylko się nie unoś, bierz rzeczy z flegmą, rozsądnie, poważnie; czyliż dla tego że on jest szlachetnym, chcesz mu nie tylko córki twéj odmówić, ale jeszcze upokarzać i jątrzyć niegrzecznym listem?

— Coto flegma!? flegma! u stu bisurmanów! kiedy o los dziecka chodzi! Lepiéj to zerwać, złamać, raz ukończyć, jak przedłużać bałamuctwo... Więc go Zosia kocha?

— I bardzo!

— Djabli nadali! No proszę? i ten kulig wyszedł nam na nieszczęście, bo dziewczynę rozmarzył. A potem i nie dziw! chłopiec jak ulany!... jeszcze w téj karazyi:... to te Krakowiaki, to tacy zawsze byli i są, że jakby mówię, rabusie na serca!.. ogniste to,... zwinne, układne... a oczami strzela,... mi-

zdrzy się, i przysiada!. Oj, widziałem ja z boku, gdy trzymając kieliszek, patrzyłem z pod oka, a on kręci się, kręci, a potém cup przy niéj... i gadają dość długo, aż ona czy spostrzegła iż na nią ludzie patrzą, czyli téż bała się dziewczyna i wstała,... ale kontenta... widać, że jéj coś do smaku powiedział... To niebezpieczny chłopiec!... Najlepiéj napisać w tym niby stylu: że mój mości panie, „nie dla psa kiełbasa,“ ale można to grzeczniéj wyrazić, tylko dać uczuć, aby się na próżno nie oblizywał, a potém zakończyć, iż jestem, jak zwykle dla pana z szacunkiem, przychylnym sługą — podpis — i basta!

— Oj nie, mój mężu! najlepiéj nic nie pisać, przeczekać, a coś się musi wyjaśnić w téj sprawie.

— Co wyjaśnić? doprawdy, że czasem jejmość plecie jakby na mękach! co się tu może wyjaśnić?... czy mu pieniędzy przybędzie, lub czy mu manna z nieba spadnie? golec jest i golcem zostanie i kwita, a ja za golca córki nie wydam to druga kwita! Czy Zosia wié, iż ja się czegoś domyślam?

— Przeciwnie mój mężu, ja ją twoim gniewem straszę.

— To źle jejmość robi, bo przecież nie

chcę dla mojéj córki służyć za straszydło Zniechęci się do mnie dziewczyna, skoro mnie Jejmość wystawia przed nią za jakiegoś tyrana.

— A więc z nią pomów mój mężu. Owszem twoje uwagi będą może skuteczniejsze. Ona robiła w apteczce porządek, a teraz jest zapewne w swoim pokoju.

Pan January, pochodził, pomyślił, rękami rozkładał, i jakby już był skreślił plan przyszłéj kampanii, poszedł do pokoju Zosi, i tak rzecz prowadzi.

— Zosiu!!

— Jestem Tatko! co Tatka rozkaże?

— Oto dzień dobry ci! cóż tu porabiasz?

— Układam Tatko w szufladzie sukienki.

— To dobrze,... bo porządek jest rzeczą arcyważną! ale coś miałem powiedzieć?!... Oto mi matka twoja mówiła o tych głupstwach, to jest raczéj o tém dzieciństwie, które nie ma sensu, i co tylko na śmiech, ale nie na prawdę. Że ty nibyto utrzymujesz stronę Stanisława, kiedy twoja matka przeciwnie i bardzo słusznie, chciałaby twego szczęścia a wcaleby się do takich zamiarów nie skłoniła, coto to jest to wszystko? powiedz mi otwarcie, ja się nie będę gniewał, owszem chcę wysłuchać.

— Proszę Tatki ja nie śmiem, bo się boję.

— Co u licha? mnie się boisz? to cię chyba matka mną wystraszyła, a przecież cię ona więcéj odemnie nie kocha.

— Boby się Tatka bardzo gniewał, gdybym powiedziała.

— No uspokój się, i gadaj!

— Ja Tatko, kocham Stanisława!

— A u stu bisurmanów! tego się niespodziewałem, i to inna materyja. Ja myślałem, że to tylko tak na żart dla śmiechu, ale to za zbyt jasna deklaracya: O tem trzeba pogadać. Jakto go kochasz?

— Nie wiem jak, Tatko! tylko sercem go kocham.

— Proszę?... sercem?! a jużci jakże inaczéj?! widać że tak jak i wszyscy. A potem?

— Potém już nic Tatko!

— Więc go tak tylko dla zabawy kochasz, jakby twojego kanarka, ale nic nie masz w myśli i jakby się ożenił z kim innym tobyś nie żałowała i byłabyś kontenta?

— O nie Tatko! on się z nikim już nie ożeni, bo mi przyrzekł.

— Jakto, u stu bisurmanów?! On przyrzekał? i tobie to oświadczał, a więc cię bałamucił, to ja go nauczę, i w łeb mu jak psu palnę.

— Oh! Tato, Tato! zmiłuj się! miéj litość nademną!... I to wyrzekłszy padła Zosia na ziemię bez zmysłów i życia. Przeląkł się pan January, i córkę podnosi, ręce mu się trzęsą i na nogach się ledwo utrzymać podoła, krzyczy wniebogłosy: „Jejmość! ratuj!! wody!! ludzie!! octu, siedmiu złodziei!! dawajcie!! nacierajcie, ratujcie córkę moją!"

— Oh ja nieszczęśliwa! (krzyknie matka przeraźliwie) zabiłeś Jegomość dziecko! — Panno!! wódki kolońskiéj! prędzéj! pulsa nacierać! rozsznurować! — Ah Boże! któż przewidział!! czy mnie też bies skusił?... No, już otwiera oczy!! Zosiu! Zosieczko! Zosiuniu! wszystko będzie dobrze, tylko nie desperuj. Zmiłuj się, ulituj się, moja Zosiu droga!...

Ożyła Zosia, ale łez strumienie ciekną po jéj licach! blada, sinemi wargi rękę matki tuli. Matka ją téż łez powodzią zlewa całuje, pieści, pociesza i koi, a pan January pokorny jak wilk w dole, ręce do modlitwy złożył, oczy w dół spuścił i mruczy jakby spowiedź czyli też akt skruchy, lub akty strzeliste. Potém zbliżywszy się do łoża córki, z nieśmiałém wejrzeniem prosił dla siebie o względ i pociechę, a Zosia rękę

jego biorąc w obie dłonie, całuje i przeprasza. Ryknął pan January płaczem serdecznym, rzucił się córce w objęcia, i tak Zosia jak pisklę w gniazdeczku, otoczona skrzydłami obojga rodziców ogrzewała się przy ich sercu.

V.

Wizyta księdza dziekana.

Przez kilka dni po tragicznym wypadku, który dopiero co opisywaliśmy, Zosia była chorą i leżała w łóżku. Doktór ze Sącza przyjeżdżał i znalazł wielki rozstrój w systemacie nerwowym; zalecił spokojność, jednak zaręczył iż niéma jak na teraz nic niebezpiecznego. Rodzice i słudzy na paluszkach chodzili pielęgnowali Zosię, a ona tak była słodką, uległą, i takim urokiem anielskim twarz miała opromienioną, że wzbudzała uwielbienie domowników i odbierała téż od wszystkich dowody najgorętszego współczucia. Panna służąca posłała sobie na ziemi przy jéj łóżku aby swojéj drogiéj panience była na usługi, a stary nawet karbowy, exlokaj a piastun Zosi, popłakiwał sobie w kuchni, gdy o chorobie swéj panienki słyszał:

Uważałem nieraz, iż u wielu osób twarz piękni się cierpieniem, i pojąłem, że musi być dla człowieka cierpienie zbawiennóm, kiedy nie tylko ducha udoskonala, ale i fizyczność uduchowia i ukształca. U niewiast, a szczególniéj téż u cnotliwych, pobożnych, kornych a nieszczęśliwych, cierpienie wybija takie piętno anielstwa, a rozlewa po twarzy i w całym układzie taki urok świętości, że człowiek gotów się modlić do żywéj istoty, jak do obrazu jakiéj wyznawczyni lub błogosławionéj. Cierpienie zatém, acz zabija ciało, nie niweczy go, ale przekształca i daje wyobrażenie chwalebnego wiernych zmartwychwstania, przy którém ciała będą te same, ale przez pokutę i śmierć przeobrażone. Miłość poczciwa uduchowia ciało, miłość rozpustna ucieleśnia ducha. W miłości nieszczęśliwéj, ale na tle cnoty osnutéj, twarz traci wdzięk świeżości i rumieńca, ale zyskuje pewien urok świętości, który wzbudza współczucie i poszanowanie. I powiedziałbym, iż na bladéj twarzy czystéj miłości ofiary, spoczął promień z nieba, kiedy miłość rozpustną, żar chuci rozjaśnia i twarz jéj czerwono-sinym ubarwia rumieńcem.

Nasza Zosia wybladła, zmizerniała i zaledwie się z łoża swego dźwiga, stąpa jeszcze nieśmiało, oparta na ramieniu matki. Ojciec się trapi i nędzi wyrzutami sumienia, ale walcząc wewnętrznie, nie odniósł nad sobą zwycięztwa, bo ciągłe nienawidzi Stanisława i zrozumieć nie może, jak on się mógł ośmielić myślić nawet o jego córce. „Prawda (mówił on sam do siebie), że mi żal serdecznie Zosi, ale przechoruje, wyzdrowieje, i raz się ta sprawa skończy, a więcéj o niéj nie będzie już mowy. Może z wiosną zawiozę obie z matką do Szczawnicy;... tam bywa rozmaita młodzież z całéj Polski, to się dowiedzą zaraz, co zacz ta panienka? i trafi się jaki gzius *) bogaty, to i weźmie, albo na nią roczek poczeka, bo jeszcze za młoda; ale co za tego spekulanta Stanisława, to nigdy nie wydam! Śmiałaby się ze mnie cała okolica!.. Bo powiedzieliby słusznie, żem spadł z góry na łeb, i to przez słabość, i że się kwileniu kobiet oprzeć nie umiałem. Oh, co to, pewno się nigdy na mnie nie pokaże! Mam inne wady, ale słabości nie mam. Jabym się w potrzebie oparł całemu światu,... a więc nie! O Stanisławie niéma nawet mo-

*) Kawaler.

wy,... już odpalony, i więcéj noga jego u mnie nie postoi.“

Tak sobie medytował i pod nosem mruczał pan January, gdy zajechała przed dom bryczka parokonna, z któréj wysiadł ksiądz dziekan, poważny kapłan i przyjaciel państwa Januarów. Gospodarz wyszedł na ganek aby przyjąć gościa, a po przywitaniu troskliwie ksiądz dziekan zapytał:

— Cóżto ja słyszałem? czy prawda?... że państwo macie zmartwienie, że Zosia chora?

— Takci, tak, Księże Dziekanie, chora nam dziewczyna, był doktor przepisał lekarstwa na nerwy.

— Ale cóż był za powód choroby?

— Oto zwyczajnie te kuligi, pląsy, rozgrzanie, ostudzenie, fatyga i tyle innych przyczyn!

— Proszę?!... I z tego aż zemdlała, jak mi powiedziano.

— Tak jest,... z tego i nie z tego!... głównie wszakże z tego, bo to był początek, a potem przyplątało się to i owo! Niech Bóg broni, co tu u nas było zmartwienia i strachu! Ale już dobrze, a może i na lepsze wyjdzie, bo jak to mówią *„niéma złego coby na dobre nie wyszło.“*

— Tak, ale czasem złe wychodzi na gorsze (odrzekł ksiądz dziekan).

— Cóż słychać od Limanowéj, Mości Księże dziekanie?

— Nic nie słyszałem, prócz smutnéj, ale niesprawdzonéj jeszcze wieści, że pan Stanisław, który tu był podobno przebranym za pana młodego, umarł lub téż jest niebezpiecznie chorym.

— Pan Stanisław? — Ah! szkoda takiego młodzieńca!! — No, proszę?... Ha, śmierć nie przebiera!! — Ale cóż za powód?...

— Nie wiem. — Mówią, iż podobno kulig, zmęczenie, fatyga, a potém przyplątało się to i owo!

— Szczerze mi go żal, lecz cóż robić? raz umierać trzeba!!

— Zapewne (rzecze ksiądz dziekan), ale w tak młodym wieku i człowiek tylu nadziei! Jakiżto dzielny charakter! jaka piękna i szlachetna dusza tego młodzieńca! i jaka świetna czekała go przyszłość! Mój Mości Dobrodzieju, to rodzice w Krakowie, mający córki na wydaniu, dobijali się o niego; bo chociaż nie majętny, to przecież skarb z sobą nosi, którego mu ani woda ani ogień nie zniszczy, skarb cnoty i rozumu!

Byłby więc świetne zrobił ożenienie i podwójnego z żony dorobił się majątku; a tak śmierć zawczesna pozbawi naszą okolicę najpiękniejszéj ozdoby w tym zacnym młodzieńcu!

— Niezawodnie, że szkoda! ale te nadzieje oparte na zdolnościach, rozumie i cnocie pokazują się płonne. Niéma jak rzeczywistość, w któréj korzyści są dotykalne. Ja cenię bardzo w człowieku wysokie duszy przymioty, ale nie widzę, aby one komu dały chleba, a jednak dopóki się tu na téj ziemi plączemy, to u stu bisurmanów są potrzeby niezbędne, bez których ani rusz. Majątek więc, choćby skromny, ale zapewniający niepodległość, jest według mnie podstawą doczesnego szczęścia.

— Temu nikt nie przeczy mój Mości Dobrodzieju, i owszem każdy przyzna, że majątek jest jednym z darów Bożych, stojących zaraz w sąsiedztwie wolności, albowiem ubogi jest zawsze czyimś niewolnikiem. Ale pytam, kogobyś w danym razie przełożył, czy głupiego i złego człowieka, ale bogatego, czyli téż niefortunnego, ale posiadającego moralne przymioty.

— Ja, Mości Księże Dziekanie, za obu dziękuję, bo ani nie chcę głupca z pieniędzmi, ani mądrego golca, tylko szukam rozumu, idącego w parze z majątkiem.

— Oh! Mości Dobrodzieju! będziesz szukał długo i zapewne nie znajdziesz: bo w tym szczególniéj wieku, te dwa przymioty rzadko chodzą razem. Gust wszakże WPana Dobrodzieja podzielam, gdyż lepszego mieć nie można.

— A widzisz Mości Księże Dziekanie, jakeśmy się to zgodzili!! Byłem pewnym, że się zejdziemy na jednym punkcie. Ale wracając do Stanisława, czyto jest pewna wiadomość, że już zakończył ten żywot płaczu i boleści?!

— Że umarł, to niepewne, ale że bardzo chory, to najmniejszéj nie ulega wątpliwości. — A teraz czy mi téż będzie wolno odwiedzić chorą Zosię? Możebyśmy poszli?...

— I owszem,... bardzo dobrze... tylko boję się impressyi!... a potém ona zaledwie chodzi, jest tak mdła, słaba, wrażliwa. Gdy słyszy o czyjéj śmierci lub chorobie, to zaraz na nią działa, i broń Boże, mówić przy niéj, że kto chory, albo że kto cierpi, bo zaraz płacze... Ona ma bardzo czułe serce, tak jak i matka — Ale co o moją żonę, to niéma niebezpieczeństwa, ale o Zosię

bałbym się, aby ksiądz Dziekan nie wspomniał o czyjéjbądź chorobie!...

— Ah! ma się rozumieć, Mości Dobrodzieju, iż przecież przy chorej nie będę zwiastunem złéj wieści, i ani wspomnę o niczyjéj chorobie lub śmierci. Panu to powiadałem o chorobie Stanisława, wiedząc, że to Pana wcale nie przerazi, bo cóż tam wreszcie?... młodzieniec ubogi!... szkoda mała, krótki żal! Ubogich tylu na świecie, że po jego skonie tysiąc go innych hołyszów zastąpi. A co zaś do cnót jego, to może i lepiéj że umarł lub umrze, bo pójdzie po zapłatę do Boga za towar na téj ziemi wcale niepopłatny! Nie prawdaż Mości Dobrodzieju, że się zupełnie zgadzamy? Byłem pewnym, iż się w końcu zejdziemy na jednym punkcie!

— Tak jest, zapewne, chociaż nie zupełnie; bo niechby tam i żył, a ożenił się z jedną z tych majętnych panien w Krakowie, których rodzice, jak ksiądz dziekan mówi, o niego się dobijali, mógłby tu co kupić za posag żony i mielibyśmy z czasem przyjemne sąsiedztwo.

— Poznaję w téj życzliwości dla obcych nawet panienek szlachetne Pańskie uczucia, które się własnego szczęścia wyrzekają, aby

go drugim przysparzać. Jeżeli kiedy wyzdrowieje Stanisław, z jakąż wdzięcznością oceniać będzie to jego poświęcenie.

— Oh mój Mości Księże Dziekanie, to nie jest wcale wielkie poświęcenie, bo mi podobna ofiara łatwo przychodzi, a moja życzliwość tak jest szczerą!...

— Nie wątpię ani na chwilę,... owszem pojmuję to i wierzę! Ale może teraz dałoby się chorą na chwilkę odwiedzić?...

— Dobrze... jeżeli łaska... służę Księdzu Dziekanowi.

Po téj rozmowie dziwne uczucia miotały duszą pana Januarego. Przymówki były wyraźne, prawdy gorzkie ale słuszne, zaczepka księdza dziekana była silną, obrona słabą, a odwrót zamknięty. Ale wkrótce przemogła w umyśle czysta rachuba, i rzekł wewnątrz pan January: „Co tam ksiądz!... Albo onto pojmuje praktyczną stronę interesów?... Zwyczajnie jako duchowny, odnosi wszystko do teoryi, do zasad moralnych, i stawia cnotę na świeczniku. Ale gdyby był ojcem rodziny, toby z innego stanowiska na rzecz się zapatrywał. Szkoda Stanisława, bo dobry chłopiec, ale jeśli umrze, to może i lepiéj, bo mi już Zosi nie będzie bałamucił... Ona pocierpi, popłacze,

pomodli się za jego duszę, i na tém koniec! Śmierć wszystko przecina; widoczne zrządzenie Boskie!"

Ksiądz dziekan był w wielkiém u Zosi poważaniu. On ją w chrzcie świętym przyjął na łono kościoła; on był jéj spowiednikiem, przeto z radością i wdzięczném uczuciem go powitała, ale po chwili dwie grube łzy zasłoniły uprzejmy wyraz oczów. Ksiądz dziekan westchnął i rzekł: „No moje dziecko! tylko proszę mieć odwagę, obudzić w duszy ufność w miłosierdziu Boskiém i być spokojnéj myśli. Nadzieja jest córką miłości, i ten tylko wątpi, kto nie kocha. A więc czy w cierpieniu moralném, czy w fizyczném, należy zwrócić się myślą ku Temu, który zdrowia i pociech wszelkich jest dawcą i hojnym szafarzem; a roztlewając w duszy miłość dla Pana Boga, złożyć u stóp Jego krzyża wszelkie cierpienia i troski, a nie dopuszczać na chwilę rozpaczy. Bóg ma swoje drogi, któremi nas do zbawienia prowadzi: Jednym te drogi wyściela różami, ułatwiając im pochód i przewidując, żeby się iść po cierniach nie odważyli, a tém samém zapóźnili w postępie ku niebu: Drugim przeciwnie, odważnym wiary wyznawcom, miłośnikom i ulubieńcom swoim, ściele

Bóg drogę cierniem, bo wie, iż się tą próbą nie zrażą, lecz za Bogiem i Zbawicielem pójdą na Golgothę, aby z Nim być potém i na górze Thabor. Otóż widać, iż ciebie Pan Bóg między tych drugich policzył!... Ciesz się i dziękuj za tę łaskę Panu Bogu, a nieś odważnie krzyżyk, którym cię dla twego zbawienia obciążył. Tak moja córko! kochaj Boga, cierp, ufaj i zostań w pokoju!"

Zosia słuchała téj pociechy z pochyloną głową i każde słowo kapłana brała do serca. Nic nie odrzekła, tylko znowu dwie łzy, jak dwa kryształy stoczyły się po jéj bladém licu. Matka płakała rzewnie, a pan January palce sobie u rąk wykręcał tak, że aż stawy w nich trzaskały, a potém dodał:

— Oj tak, dobrze Ksiądz Dziekan mówi, że najlepiéj jest kochać Pana Boga, bo już taka miłość nigdy nie omyli i zapewnia nam wieczne i doczesne szczęście.

— Tak jest (rzecze ksiądz dziekan), miłość Boga jest pierwszą i fundamentalną cnotą każdego, ale są téż uczucia także święte na ziemi, i tak: miłość rodziców, miłość bliźnich, przyjaźń czysta i na prawdzie Bożéj ugruntowana, to są wszystkie uczucia, które się z sobą łączą i podtrzymują wzajemnie.

— Zapewne (doda zaturbowany pan January), że miłość rodziców, przyjaźń dla koleżanek, to naturalne, i to się pojmuje. Ale aby tylko na tém był koniec, bo te wszystkie inne uczucia i sentymenta takie, albo i owakie, to na nic!... to jest próżne obałamucenie serca, a dzieje się zawsze ze szkodą rozsądku.

— Dalekoby nas ta dyskussya zawiodła. Ja chciałem tylko obudzić w sercu Zosi nadzieję...

— Oh! pod tym względem (rzecze pan January) niéma, dzięki Bogu, żadnéj wątpliwości. Doktor zaręczył, iż za kilka dni zupełnie będzie zdrową.

Ksiądz dziekan wstawszy, zmówił nad chorą modlitwę, pobłogosławił, a Zosia z wdzięcznością uścisnąwszy jego ręce, głęboko westchnęła i spojrzała mu w oczy, gdy dziekan mówił do niéj podniesionym głosem: „Ufaj córko, nie trać nadziei, Bóg jest sprawiedliwym i miłosiernym.“ Potém zaś pożegnawszy gospodarstwo, wyjechał, tłumacząc się, iż dłużéj zostać nie może, i tylko dla dowiedzenia się o zdrowiu duchownéj swojéj córki przyjechał.

VI.

List ze Lwowa.

Po odwiedzinach księdza dziekana, Zosia była widocznie uspokojoną, weselszą i przychodziła do sił i do zdrowia. Postanowiła haftować ornat do kościoła, a więc się skrzętnie tą pracą zajęła. Matka uprzedzała wszelkie jéj życzenia, a pisarz jeździł do Sącza to po włóczki, to po jedwabne pele. Ojciec na nic nie szczędził, i gdy pięć łutów włóczek Zosia nanotowała, to kazał pięć funtów przywieźć, aby się tym sposobem wykupić od ważniejszéj ofiary. Cieszył się wprawdzie pan January zdrowiem swéj córki, ale jakaś walka w duszy się jego odbywała, bo był smutnym i często zamyślonym. Zosia pieściła go, całowała i uprzedzała w usługach, to podając laskę, to szukając po kanapach i stołkach

zawieruszonéj tabakierki, ale ojciec na pieszczoty odpowiadał tkliwém westchniem, a usługi nie przyjmował jak dawniéj z tą rubaszną ale poufałą prostotą, oznaczającą radość z dopełnionego przez córkę obowiązku. Zosia to boleśnie uczuła i rzekła do ojca:

— Tatka mnie już nie tyle kocha, ile wprzódy, a ja Tatkę więcéj jeszcze teraz kocham, bo nawet przez samą wdzięczność za tyle trosków, któreście Rodzice w méj chorobie ponieśli.

— Ah! moje dziecko (rzecze pan January i zalał się łzami)! Ja cię kocham po Bogu, równo z twoją matką i pragnę, Bóg widzi, twego szczęścia, które jest jedynym celem mego życia... Ale moja Zosiu! twoje szczęście nie tylko ode mnie zależy, lecz także od ciebie...

— Od Boga zależy (przerwie Zosia). — Spuśćmy się w tém wszyscy na wolą Bożą. Ja zupełnie się jéj poddałam, i widzisz Tatko, jak jestem spokojną, wesołą i jak prędko do sił i zdrowia powracam. I ty mój Tatko poleć moje życie, zdrowie i los Panu Bogu, a bądź téż weselszy, tak, jak byłeś wprzódy, bo mi nader smutno, że tak dla mnie jesteś, jak gdybyś się na mnie gniewał. — Powiedz mi Tatko! nie gniewasz się?...

— Mój ty aniele! nie gniewam się, nie gniewam i stokroć cię więcéj teraz kocham bo obok ojcowskiéj miłości szacować cię począłem, już nie jak dziecko, ale panienkę z ustaloną wolą i uczuciami.

— Oh mój Ojcze! Ja zawsze chcę zostać dla Ciebie dzieckiem posłuszném, wdzięczném i przywiązaném. Zawsze będę tą samą Zosią, strzegącą każdego rodziców rozkazu. Wiek mnie od tego nie uwolni, bo nie zmienia stósunku między córką, a ojcem.

— Zmienia go trochę moja Zosiu! bo dziecko słuchać ślepo powinno rodzicielskich rozkazów, a panna dorosła poddaje się woli rodziców chętnie, dobrowolnie, z wiedzą, a tém samém czyni nie raz z siebie saméj ofiarę. Ale o tém to późniéj będzie mowa, gdy wyzdrowiejesz. Tymczasem powiem ci, iż zamierzyłem zawieźć was na wiosnę do Szczawnicy, abyś się rozerwała, zabawiła.

— Oh nie, mój Tatko! Szkoda pieniędzy i próżnobyś się odrywał od gospodarstwa, bo ja zabaw nie lubię, — do świata wielkiego nie jestem stworzoną ani wychowaną. Ja będę ornat mój kończyć i doskonale w domu się zabawię.

— To ci sprowadzę jaką rówiennicę i kolleżankę, abyś z niéj miała towarzystwo.

— Oh nie, mój Ojcze! Towarzystwo wasze mi wystarcza.

— No, będziemy o tém później mówić. Widzisz, oto matka list jakiś niesie, pewno od Paulinki niespokojnéj o twoje zdrowie. No, pójdźże Jejmość z tą dużą ekspedycyą. Zapewne kondolencye od Paulinki albo od Józi, ale my już zdrowi i na kulig gotowiśmy jechać.

Nie, to list ze Lwowa, mój mężu, jakiś żałobny, ręka mi wcale nieznana, a na pieczątce zamiast herbu, piesek.

Pan January drżąco list odpieczętował, obawiając się, czy zaś nie od krewnych, albo nieproszonych przyjaciół Stanisława; ale spojrzawszy na podpis, wypogodził czoło i rzekł: To od Leokadyi, od naszéj krewnéj, wdowy po moim ciotecznym bracie, która bawi we Lwowie, dziwaczka, jak słyszałem. Cóż ona pisze?... (Czyta)

„Szanowny i ukochany Kuzynku
Dobrodzieju!“

„Ze smutkiem donoszę Ci, iż Ta, która „różami zasiewała drogę mego życia!... ta „mówię, któréj tchnienie ożywiało mą du-

„szę, a któréj promień współczucia zagrze- „wał lody mego serca: — że ta!! umarła!! „Mówię tu o siostrze mojéj starszéj (albo- „wiem była wielka różnica wieku między „nami); mówię tu o tym aniele ukrytym „w ludzkiéj fizyczności, którego duch przed „miesiącem ulotnił się w górne niebios strefy. „Skończyła ona jak istota wyższa, patrząc „na poziom ze wzgardą wzniosłego uczucia. „Mnie jednéj w całym świecie żałowała, i „wziąwszy piekącą dłoń moją w zmartwiałe „już ręce, rzekła z wyrazem jaśniejącéj na- „dziei: „Wielki Bóg cię nie opuści i da ci „opiekuna!“ O kimże mówiła ta niebiańska „istota?... o kim? jeżeli nie o Tobie, Sza- „cowny Kuzynie, który jesteś jak ten dąb, „stojący wśród małych drzewek, tulących „się pod cień Twych rozłożystych konarów. „Ah! Kuzynku! ah mój Opiekunie! Ty je- „den ukoisz tę bliznę, którą sercu mojemu „zadała śmierć zabójczą kosą; Ty jeden „współczuciem zasypiesz tę przepaść wyko- „paną łopatą gróbarza!! Ty jeden, ah! Ty „jeden wpuścisz balsamu na ranę duszy „mojéj! Otóż jak bluszcz wije się około „potężnego drzewa gibkiémi gałązki, tak „ja wplatam się w Twoje objęcia słabą „treścią mojéj fizyczności. Przyjmij mnie

„w dom Twój, otwórz mi furtę przytułku, „przypuść mnie do pożywania odrobin ze „stołu Twego, a TEN, który rozkazuje „piorunom, a rosą brylantuje trawkę i który „trzyma świat cały na ręku, napoi słody- „czą ducha dobrodziejstwo Twoje i wyna- „grodzi serce dla sieroty! Tu już kończę, „bo łza pokrywa moją źrenicę i spada per- „łami na ten wiotki papier. Ah! ja nie- „szczęśliwa, czekam jak zasuszona rola de- „szczu, odpowiedzi.

„Jako dozgonnie wdzięczna kuzyna

Leokadya.“

PS. „Gdyby z łaskawéj dobroci Two- „jego nademną miłosierdzia spadła dla „mnie pomyślna nadzieja, to jeszcze o je- „dnę małą proszę łaskę: Oto z powodów „trudnych do opisu nie opłaciłam mieszka- „nia i tém podobnie i przez najwyższą nie- „grzeczność wierzycieli, mogłabym być w „honorze i czci urażoną (bo tu ani szanują „kobiety ani nie znają jéj przeznaczenia i „potęgi). Otóż racz do listu dołączyć choćby „na początek 500 reńskich, którebym jak „najprędzéj odebrać i na Twoje łono po- „wrócić sobie życzyła — NB. NB. tysiąc

„uściśnień od mało znanéj, ale miłującéj „kuzyny dla Żony Twéj i Konsolacyi.“

Lwów 27. Marca 1832. na Wałach N. 5946.

Pan January odczytawszy list na wszyst- kie strony, zamyślił się i rzekł po chwili:

Biedna kobieta, ale mi się wydaje być egzaltowaną,... czegobym po prostu niena- pisał, że jestem w kłopotach i smutku więc mnie pan Brat przyjmij do siebie, tylko o tychtam brylantach, perłach i piorunach!! a kończy aby jéj dać pięćset Reńskich... Summa taka nie chodzi piechotą, a to co pisze, iż ją na moje łono powróci, to tylko obiecanka cacanka a głupiemu radość, i ja tam pięciuset reńskich nie chcę kołysać na łonie, tylko je mieć w kieszeni!... (myśląc) To jedno co mnie najwięcéj razi w jéj liście!... bo z resztą te tam dęby i bluszcze niechby sobie były jak chciały! Nieżało- wałbym jéj wcale łyżki rosołu, jako żonie po odciotecznym;... ale pięćset reńskich i to na początek, albo jak na zadatek, to jest rzecz odstręczająca; i interes nad którym się namyślić warto... I potém,... przyje- dzie, dajmy na to?... to dobrze, ale potem?... Już jak raz przyjedzie, to nie wyjedzie, aż ją na cmentarz za jéj niebiańską siostrą

wyniosą... I to więc godne namysłu!... lecz pal ją biés!! niech tam siedzi; ale jak nam się tu zacznie kwilić?... Człowiek dość już ma bliższych swoich kłopotów, a tu jeszcze przybędzie płaczka, to nas zamorduje, zamęczy! Nie!... ani pięciuset reńskich nie dam, ani w dom baby nie przyjmę. Ja jéj mało znam, a z listu widzę, że ma źle w głowie, co mi po tém?... Tylko znowu jeśli jest nieszczęśliwą, to jakże tu odpychać krew swoją?

— Ale to nie twoja krew mój Janusiu (rzeknie pani Barbara). Cóż z tego że była za twoim odciotecznym?!! a przyznam ci się, że ten list dowodziłby, iż ma źle w głowie, i tak jakby jéj się śniły jakie romanse.

— To nic Basiu, bo to widzisz miejskie wychowanie. Tym kobietom to się najczęściéj tak w głowie przewraca, ale przytém mają mieć dobre serce. Wreszcie jest widać w nędzy i w gwałtownéj potrzebie, kiedy się do nas w takiéj pokorze udaje... No cóż ty Zosiu na to?... Czy będziesz Cioci rada?... Może się przy niéj wykształcisz, rozerwiesz!... Będzie ci opowiadać o miejskich obyczajach i o wielkim świecie, a pewno musi dobrze mówić po francuzku, to będziesz miała z nią wprawę.

— Ej, mój Tatko, o mnie nie myśl, bo mnie przy was saméj dobrze, ale skoro ta Ciotka jest nieszczęśliwą, to chybabyś dla niej wyświadczył dobrodziejstwo... Ale ja nic mój drogi Tatko tego listu nie zrozumiałam; czy to tak piszą wszystkie panie z wielkiego świata?...

— Tak moje dziecko, tak! to jest słów dużo, a treści mało! i każdy téż ich list zwykł się kończyć, „*daj pieniędzy*“! nibyto „*pożycz*“ ale na wieczne nieoddanie.

— A wiesz ty mężu, cobym ja ci radziła? (rzecze pani Barbara) Oto poślij jéj te pięćset reńskich, ale w dom jéj nie przyjmuj,... bo któż tam wié jaka ona jest? a mając córkę trzeba być ostrożnym.

— To mądra rada Basiu! ale jednak szkoda pięciuset reńskich, czyliby nie można po prostu wcale nie odpisać, i niech sobie baba radzi,... wszak tam musi mieć bliższą familiją.

— Ej, takby może nie było po ludzku, Lepiéj posłać jéj te 500 złr. mój mężu!

— No, wiesz żono,... to przez pół jéj poślę.

— Ale mój Tatko, jeżeli ona jest nieszczęśliwą i ma długi, to cóż jéj mniejszą summą dopomożesz?

— Kiedy i Zosia za nią się wstawia, to niech będzie! poślę całe pięćset, ale zreszty już kwita!

— Oj tak mój Janusiu! już zreszty niech będzie kwita.

— Gorzéj, że trzeba list pisać! Już będzie kilka miesięcy jak listu nie pisałem, bo interesów Bogu dzięki nie mam, wierzycielom się nie wypraszam, a do sąsiada, to wolę pojechać jak list pisać, więc mam rękę ciężką... Ale, ale!! Zosiu, dajno mi ty atramentu, bo mój w kałamarzu usechł na pieprz, może masz i pióro, tylko twarde, a papieru to nie potrzebuję bo kartkę wydrę z regestru. No bawcież się tu kobiecięta, a jak napiszę to wam koncept przeczytam, czy tak będzie dobrze!... No,... niebiedato list pisać i jeszcze do takiéj romansowéj pani! Ha, lepiéj pisać jak mieć w domu koczkodona, może na całe życie.

Matka z córką rozmawiały zgadzając się obie na powziętą decyzyą uwolnienia się od nudnego obcéj osoby pobytu, kiedy pan January smarzył sobie głowę nad listem i kilka już ćwiartek z regestru wyrwał, a żadnéj do końca nie zapisał, aby jéj był na wszystkie strony nie pokreślił. Wreszcie natchnienie polało się rzeką, i ucieszony pobiegł do pokoju córki, a tam w środku pokoju stanąwszy, czyta:

„Wielce mi Szanowna Pani Siostro Dobrodziejko!"

„List de datto 27. marca rb. odebrałem, „a przeto na niego odpisując, posyłam mego „pisarza do Sącza z pieniądzmi na pocztę, „w summie 500 złr. mk. co akurat na szajny „wyniesie 1250, a to nie bagatela! ale już „mniejsza o to, bo co z głowy to i z myśli, „lecz gorsza, że pani Siostra życzysz sobie „u nas się obsiedlić. Co do tego, to zde- „cydować się nie mogę i przepraszam, bo „mój dom nie jest tak obszerny, i prawie „tylko na nas troje i na parę sąsiadów. A „wreszcie dodam i to na końcu, że my jak „tylko zrobi się wiosna i siewy się skończą, „jedziemy do Szczawnicy dla wód, a może „i o Kraków poźniéj zawadzimy. Przeto „niechże już będzie piękne za nadobne, a „te pięćset reńskich salvo calculo dane za „zamiar przyjazdu, który nam bardzo przy- „kro odmówić, ale cóż, kiedy każda Teresa „ma swoje interesa. WPani Siostry Dobrodz.

przychylny brat i sługa

January mp.

— A cóż? zapyta pan January... Będzie tak?!

— Trochę za szorstko mój mężu, trzeba było coś wspomnieć o stracie jéj siostry, o jéj smutku.

— Mój Tatko, mnie się zdaje, że Ciotka się pogniewa, iż Tatka o tych pieniędzach tak surowo jéj napisał.

— Ale dobrze!... co tam!... gorzéjby się pogniewała, gdybym grzecznie napisał a pieniędzy nie posłał. Założyłbym się, iż jak list przyjdzie, to się pierwéj weźmie do rachowania jak do czytania.

Pan January wyszedł, papier obciął ile tyle równo dużemi nożycami, i zaczął koncept na czysto przepisywać, kiedy w połowie listu, razem z piórem zmaczaném wyciągnął utopioną muchę, i żyda*) strasznego usadził.

— Ah do stu bisurmanów (rzecze on) tom się dopiero spisał! co tu robić?... Już drugi raz przepisywać nie będę!" Wziął przeto muchę palcami i cisnął o ziemię, ale oczywiście plamę w kilkoro powiększył, chciał zetrzéć palcem inkaust, ale najgorzéj,

*) Plama, makuła

bo już pół listu zamazał; za muchą więc palnął listem o ziemię, i chodzi po pokoju, a sapié.

— No proszę (mówił sam do siebie) aby się baba do człowieka przyplątała, jakby jaka pokusa?! wyraźnie pokusa!! nie dość, żem ze sześć konceptów napisał, to ostatni co mi się przecież udał, dwa razy przepisywać muszę. Szkoda Bóg widzi tych pięciuset reńskich, bo to jakby w błoto wrzucił, ale cóż robić? Zosia za nią prosi!!!

Wreszcie pan January nachodziwszy się, nadąsawszy, siadł znowu przy kantorku i list uważnie przepisał, patrząc już w pióro do okna, azaliż w niém jaka mucha nie siedzi. Pięćset reńskich w list włożył, nie bez ciężkiego smutku i gdérania, i kazał zawołać pisarza, któremu stósowne dał dyspozycye, zalecając, aby na list i pieniądze przywiózł rewers z podpisem.

Już dwa tygodnie upłynęły od datty posłania listu, a nie było odpowiedzi. Lecz onéj ani pan January nie wyglądał ani jéj nie był ciekawym. Miał rewers powrotny, więc mu to wystarczało. Wszakże pewnego dnia gdy wracał z browaru, dogonił go wracający z gazetami posłaniec, oddając list z czarną pieczątką. Domyślił się, że od

Leokadyi, a więc tym specyałem chciał się z rodziną podzielić.

— No,... słuchajcie! drugi znowu list od Leokadyi, ta baba chce mnie zamęczyć!! (czyta:)

Najszanowniejszy i ukochany Kuzynku
Dobrodzieju!"

— Oj źle (rzecze Pan January) o stopień wyżéj mnie w tytule podniosła, zapewne będzie żądać tysiąca reńskich, ale czytajmy!!

„Wyrazy twoje strzelistym grotem prze-
„szyły serce moje".

— Zjedzże djabła (rzeknie pan January) dopierom trafił bez mierzenia,... cóż daléj?..
„bo zdawały się rozwiać moje najdroższe
„nadzieje spoczywania na łonie waszém
„i rozgrzania się przy piersi waszéj,"

— Ej, to baba warjatka (rzekł z gniewem pan January) do czubków ją oddać i kwita, szkoda pięciuset reńskich.
„ale czerpiąc w głębokości mych myśli
„natchnienie, rzekłam sobie: ah nie! Ten
„mój opiekun, który z taką gotowością po-
„słał mi pięćset reńskich, nie odepchnie
„nieszczęśliwéj od progów swoich."

— Masz tam teraz!! Tośmy sobie dopiero dali!! Ah, bo to moja żona, bo mówię że Zosia, z tém sercem maślanem wszystkiego

narobiły. Nie trzeba było babie posyłać i kwita, a teraz cóż?! radźcież teraz!! (czyta daléj)
„Więc oblawszy łzami grób mojéj siostry,
„pożegnawszy każdy kącik dawnego jéj
„mieszkania, puszczam się na morze moich
„przeznaczeń do waszego domu najmilsi
„Braterstwo, gdzie mój żywot cierniem prze-
„platany zakończyć postanowiłam"

— Otóż masz!... nie mówiłem?... że chce u nas żywot kończyć!... Ale kiedyto tam będzie?! pierwéj ona nas dodusi. Co tu robić? czy wyjechać? uciec? czy się przed babą zamknąć? ale jeszcze nie koniec:
„Jutro opuszczam luby Lwów, miejsce tylu
„wspomnień i jako synagorlica bez pary,
„ukryję żałobę i smutek mój wśród skał
„podtatrzańskich, pod cieniem waszéj opieki,
„i w śród wygód, jakich stan mego nadwą-
„tlonego zdrowia potrzebuje"

Przychylna Siostra
Leokadja.

— Ah, tego już nadto, jak mi Bóg miły! (rzecze pan January z wyrazem rozpaczy), To ona tu widzę jedzie jak do lazaretu! piękne mi rzeczy, abyśmy jeszcze płacili doktora, aptekę i pielęgnowali starego trzopa,

który nam będzie i kwękał i stękał nad uszami!... Nie!.... nie chcę!... stanowczo nie chcę.

— Ale mój mężu, cóż robić? przecież twoja krewna, trudno jéj nie przyjąć!...

— Co mi tam za krewna? wdowa po bracie odciotecznym, to już nie krew tylko woda.

— Mój Tatko! lecz jeżeli słaba, biedna, nieszczęśliwa, to Bóg za tę gościnność Tatce wynagrodzi, a potém ja z nią będę mówić po francuzku,... ona mi będzie opowiadać zwyczaje wielkiego miasta, i będzie nam jakoś dobrze, a chociażby czasem i źle było, to cóż robić? trzeba i to ofiarować Panu Bogu!

— Ej cicho, ty szczebiotko, bo mnie ty zawsze skusisz! Tyś wyskumlała na mnie pięćset reńskich, a teraz jeszcze chcesz szpital założyć,... niéma nawet do stu bisurmanów gdzie jéj umieścić!... bo gdzież?... chyba w tym pokoju przy garderobie.

— Ale gdzież zaś mój mężu, tam zimno i pieca niéma!

— To może w gabinecie przy kredensie?

— Przecież zmiłuj się Tatka, nie można! tam pokój przechodni, lokaj, stróż i dziewczęta ciągle przebiegają. Dama tam stać

nie może! ale ja ciotce mojego ustąpię pokoju, a sama w alkierzyku się pomieszczę.

— Ale do czego!... na to nigdy nie pozwolę, (odrzeknie pan January) już widzę niéma innego sposobu jak tylko zakwaterować ją w oficynie. Da się jéj Magdę do usług i będzie miała wygodę.

— Ale mój mężu! cóż mówisz? w oficynie, gdzie czeladź hałasuje, gdzie gęsi gęgają i kury gdaczą! nie można! niepodobna! I potém chcesz jéj dać Magdę, dziewkę od trzódy, co ani służby nie zna, ani ma się w co ubrać!... Nie, mój mężu! da się jéj Marysię pokojówkę.

— A jakże? Zosia będzie bez służącéj? na to ja nie pozwalam.

— Więc się jéj przyjmie córkę organisty, (doda pani Barbara)

— Co to po tém! to gąsię!... trzebaby do niéj trzymać inną sługę... Magda najlepsza, bo dziewa jak Tatar, to da jéj najprędzéj radę. Lecz o to mniejsza, kto będzie to będzie, tylko zaraz pokoik rozkażę wybielić, a potém wnieść łóżko, stolik, parę stołków, mały kantorek, co stoi na strychu, bursztynem się wykadzi i będzie!!

— Ręczę iż tak nie będzie (rzeknie pani Barbara) lub będzie na krótko, bo się to

nie da tak, jak ty myślisz. Ona nie jest mężczyzną, ale kobietą i to z wielkiego miasta!

— Tém lepiéj, że się nie da, i że na krótko, bo jak się babie uprzykrzy, to drapnie!...

— Ej, Tatka tylko tak mówi, a ręczę, że jak przyjedzie, toby jéj Tatka ptasiego mleka nie żałował, i o jéj wygodach pierwszy miał staranie. Tatka tak zawsze! droży się, gniewa, odgraża, a przecieżby nieba każdemu przychylił.

— Cicho, ty szczebiotko! ty czeczutko! bo kiedyś piwa nawarzyła, to przynajmniéj mi teraz nie dogaduj. Zobaczysz jak ci jeszcze ta ciotka za skórę wejdzie!!

VII.

Pani Leokadja w domu państwa Januarów.

Pan January, zajął się uporządkowaniem pokoju w oficynie. Wybielono ściany, a stróż dokładał drzewa na kominie i w piecu, aby prędzéj wyschło. Baby myją podłogę, ludzie znoszą sprzęty, a pan January w lisiéj czapce i dęlii z baranów, pilnuje pośpiechu. Na wieczór wszystko już było gotowe, lecz tumany kadzideł nie podołały zwalczyć przykrego z wapna zapachu. Do jutra, toby może wyschło, ale gdy dzisiaj przyjedzie, to ani sposób!... Gospodarz w kłopocie, kręci głową, a czasem zaklnie albo zgrzytnie, lecz gdy się na grzechu postrzeże, dodaje „Boże przepuść!“ Tak było do wieczora: w tém trąbka pocztowa przed bramą wytrębuje walca. „To ona jedzie!!“ (jęknął

pan January) „Ah, ona zapewne!“ (powtórzy pani Barbara), a Zosia, nie wiedzieć z jakiego powodu, zadrżała!

Zajeżdża extrapoczta, gospodarz wychodzi, i wysadza z powozu jedno, drugie, trzecie!... Niby rad, ale myśli,... z kądże ten przychowek?... czy drugi kulig?.. czy zajazd, czy się téż przenosi szpital ze Lwowa w góry Sandeckie? Między trzema paniami szuka pan January Leokadyi, i jakož dostrzegł ją i rozpoznał po wybladłém licu, po żałobnym stroju, po mdławym układzie.

-- Ah! Bracie! (zawołała) Tyżeśto? mój Zbawco, Opiekunie, i życia przyszły towarzyszu?!! Ciebież ja się dotykam, mój ziemski Aniele! pójdź w moje objęcia!!

Pan January zgłupiał, brzuch na przód wystawił, oczy wytrzészczył, a koncept powitania zamarzł mu na wargach!... W tém luba siostra ściska go, obraca, wiesza mu się u ręki; z czułości omdlewa, wołając:

— Panno!! podaj mi kufereczek z wodą kolońską i solą angielską...

Podano, powąchała, rzekła: „już mi dobrze“ i prosi aby ją prędzéj wprowadzić do domu, aby mogła uściskać siostrę z konsolacyą.

Pan January wiedzie, a raczéj jest wie-

dzionym jak kozioł ofiarny. Przy wstępie już czekają pani Barbara z Zosią, a pani Leokadja łzy tkliwości roniąc i łkając głośno, chude wyciąga ramiona, i rzeczywiście jak bluszczem lub chmielem matkę i córkę obwija.

— Oh istoty nadziemskie!! więc przecież jestem między wami!! przy waszém sercu! pod waszą osłoną!... i dach gościnny najmilszych braterstwa rozpostarł się nad sierotą!! Siostro! Siostro luba! miła! niech Cię raz jeszcze uściskam!! a to zapewne Twoja konsolacya? córeczka, pełna wdzięków, moja bratanka! nie prawdaż? Pójdź moja gwiazdeczko, pójdź mój Cherubinie śliczny!... pocałuj mnie!

Zosia pocałowała ciotkę w rękę, ale wylękniona, i tak jakby widziała w śnie zmorę, drżała w całém ciele.

— No braciszku! (rzecze pani Leokadja) któryż kącik mi przeznaczasz w twoim domu?... Panno!! powiedz garderobiannie, aby kazała rzeczy moje składać!! Panna będzie spać przy mnie, a Józia w drugim pokoju! Panno!! panno!! daj mi swieżą chustkę batystową, bo tę zrosiłam łzami!! Ah! najdrożsi Braterstwo!! jakże mi jest przyjemnie!!... Tu oddycham lubością, i zapominam o trudach podróży!

— (Pocztylion wchodząc) Proszę pani o trinkgeld, bo mi się należy.

— Nic się nie należy (odrzeknie pani Leokadja) już ci zapłaciłam.

— Dała mi pani dopiero sześć grajcarów w szajnach, a mnie się srebrem dwadzieścia cztery należy!

— Kłamiesz nikczemniku (rzecze pani Leokadja) nic ci się nie należy; co dałam, to z łaski.

— Należy mi się trinkgeld, jest na to taryfa, i jak mi pani nie zapłaci, to rzeczy nie puszczę.

— Jesteś oszust i impertynent, a jeśli słowo więcéj powiesz, to ciebie nauczę!!

— Pani sama jesteś taka!... i mnie nie nauczysz, bo ja stoję przy prawie, ale co panią to wnetki nauczą rozumu, jak pani strof zapłacisz, bo nie trzeba brać poczty, kiedy kto nie ma pieniędzy, a lepiéj w doma siedzieć. Gdyby nie tutejsi państwo, tobym z rzeczami odjechał i byłoby!...

Pan January chcąc tę rzecz zakończyć, dał reńskiego pocztylionowi, który zabierał się resztę wydać, gdy pan January kiwnął na niego ręką na znak darowizny! Pocztylion się skłonił i spojrzawszy się na panią

Leokadją w górę wzniósł ramiona, jakby chciał mówić: „Dziwaczne stworzenie.“

Pani Leokadja wcale nie upokorzona, ale rozgniewana, zawołała:

— Ah, to nieszczęście iż ten motłoch coraz mniéj ma szacunku dla wszelkiéj dystynkcyi!! wchodzi jakby do karczmy i śmie się upominać!!... W całém pasmie podróży miałam nieprzyjemności i musiałam się skarżyć burmistrzowi, policyi a nawet napiszę może do gubernium, ostrzegając władzę o zuchwalstwie gminu! Jestem zalterowana!! Kuzyneczko! proszę cię każ zawołać moją pannę.

Zosia pobiegła i prowadzi za sobą pannicę z wysznurowaną buzią i wcale z nowéj siedziby niezadowolnioną.

— Panno! wody kolońskiéj i soli angielskiéj! (rzecze Leokadja) To jest śliczne stworzenie ta wasza gwiazdeczka, ta Zosiunia luba, już ja ją wydam za mąż przez moje stósunki. Tu niéma dla niéj przyzwoitéj partyi, ale co we Lwowie, to millionery! Ah! tak mi gorżko w ustach, proszę cię siostruniu, skarbie mój, czy możesz dać mi się czego napić?...

— Kawa zaraz będzie!..

— Ja kawy nie pijam, moja duszko, działa mi na nerwy.

— To może herbatę?

— Jeszcze gorzéj, bo sen mi odbiera.

— Wieczerza zaraz będzie, bo już stół nakryty!

— Ah pfe, mój ty aniele! któż wieczerzą jada? to chyba za czasów patryarchalnych jadano, ale dzisiaj już w inną życia wstąpiliśmy sferę. Ale może masz aniele oranżadę?!

— Jaka to jest, proszę siostry? czy jak hopelpopel!

— Ale nie, to z pomarańcz!... to może lemoniadę znacie?...

— Niestety cytryn niéma! wyszły na kuligu!

— Jak-to, mój skarbie?... Czy jeszcze w kuligi się bawicie? po staropolsku? To pocieszne być musi; chciałabym raz w życiu mojém widzieć, a możeby oryginalność tego obyczaju rozjaśniła mą żałobę, rozerwała myśli moje tęskne. Słyszałam z ust mądrego człowieka i wielkiego pana, iż narodowość polska da się wyrazić przez trzy wyrazy: „Sejmik, piknik, kulig.“ Ten dowcip obiegał salony, i zaszedł w oryginale do naszego domu wtenczas, gdy jeszcze żył anioł na ziemi, to jest siostra moja,

a drugi pan odrzekł, że od czasu jak ustały „sejmiki, kuligi i pikniki,“ zaczęto się bawić w „myszki i pliszki.“

— Czémże więc mogę siostrze służyć?

— Ah! dzisiaj już byłoby może za późno posyłać po pomarańcze? więc trzeba się zrezygnować i pić wodę z sokiem malinowym.

— Zosiu! każ przynieść, (rzeknie pani Barbara).

Pan January widział, iż nie da się tak jako był zarządził umieścić pani Leokadyi w oficynie, bo za wielka pani; a pomimo odrazy jaką czuł do niéj, tak ducha jego opętać patrafiła, iż stracił rozum wolą i energią. I nie dziw: bo forma wykształcona w niższym nawet duchu, łatwo podbije wyższego, jeżeli jest jeszcze niewyrobionym przez światową mustrę. Tém się téż tłumaczy pewna lękliwość i brak swobody w ludziach zasługi lub wyższéj nauki, gdy na woskowane posadzki salonów przychodzą. Nie wiedzą biedacy co począć z rękami, nogami, głową, kapeluszem? jak usiąść? i co mówić? Otóż ci ludzie chociaż są wyższego umysłu, gdy przecież układu światowego nie mają, giną jak ryba na piasku, bo są w obcym sobie elemencie. Wtenczas też fircyk albo lafirynda tak ich z toru zbije i tak upo-

korzy, że mądry zwątpi o własnéj nauce a zasłużony o swoich ofiarach. Tę mustrę salonową daje wychowanie, wprawa, i ciągłe w świecie pseudo-estetycznym pożycie, jest to politura, która taki połysk daje iż często zbutwiałe sprzęty i z lichego drzewa wygładzone tym pokostem, prędzéj w salonie ustawić się dadzą, jak machoń surowy albo palisander. Wytłumaczywszy pokrótce zasadę która najszersze w świecie ma zastósowanie, łatwo zrozumiémy, dla czego pan January, człowiek silnéj woli i męzkiego duszy hartu, tak łatwo uległ wpływowi kobiéty dziwacznéj, śmiesznéj, brzydkiéj, staréj, ale wymustrowanéj. Gdyby oboje stali na jednym poziomie, toby pan January skruszył Leokadją potęgą swego ducha; ale niestety! ona stała z wadami na wyższym szczeblu wyrobu, a on z cnotami na niższym; przeto téż ciągle na dół go spychała i tak ujarzmiła, iż pani Barbara i Zosia pojąć nie mogły, co się z ojcem stało, że zwątpiwszy o sobie, zszedł na niewolnika!

Niewiasta nigdy tak nizko nie spadnie jak mężczyzna, bo chociaż nie przejdzie salonowéj mustry, to ma wyrób wewnętrzny nabyty posłuszeństwem, ofiarą, cierpieniem. Każda więc niewiasta jest arystokratką, bo

przez ofiarę ponad gmin wyrasta, i ztądto kto kobiecie należny hołd oddaje, czyni dobrze, bo go w istocie składa poświęceniu!

Wielu zaś mniema, a mniema fałszywie, iż tylko niewiasta wdziękami podbija, a pospolite powtarzając zdanie, mówi: „płeć piękna panuje“! a czyli wiecie, dla czego panuje?... Oto bo cierpi!... A któż cierpienia niewiasty powodem?... My mężczyzni, bo ich ani szacować, ani kochać w duchu chrześciańskim nie umiemy, lecz jesteśmy jak poganie, co ofiarom złocili rogi, gdy je na stós wiedli.

Otóż wracając się do kłopotów pana Januarego, powiémy, iż cichaczem kazał wyprzątnąć swoją kancelaryą, wynieść kantorek, fuzyą, klucze na sarniéj nóżce, karby zbożowe, oraz harapniki, i usłać wygodne łoże pani Leokadyi, a dla panien służących alkierz przygotować. Panna służąca (którą już po jéj imieniu nazywać będziemy,) to jest panna Eufemija, znajdowała, że ciasno i że niewygodnie, i z tonem kwaśnym rzekła do panny domowéj:

— Nie wiem, co moją panią spowodowało opuszczać Lwów, aby tu do takiéj dziury przyjeżdżać. I ciasno i brudno i chłodno i głodno.

Panna domowa a wierna sługa państwa Januarów, dotknięta do żywego wyrazem tak pogardliwym, stłumić żalu nie mogła i rzekła:

— A któż tu panie zapraszał? Samećcie się wprosiły, to przyjmijcie, jak Bóg dał. Nasz pan i tak największą zrobił ofiarę, iż swojego pokoju ustąpił. My tu niedawno mieliśmy do stu gości, a pomieścili się i byli kontenci.

— Jacy tam byli goście?...

— Byli sami dziedzice, co mają swoje dobra, pałace i majątki.

Panna Eufemia z tych kilku słów odpowiedzi poznawszy, iż „trafiła kosa na kamień,“ zwijać zaczęła kominka, dowodząc, że i tu będzie można później się urządzić. Pierwszego zaś dnia na wsi (rzekła ona) jest się jakby na innym świecie. Że jednak panna Eufemija, jako dzielna pomocnica swéj pani była intrygantką, przeto pocieszała się myślą, iż tu wkrótce nie gospodarstwa, ale jéj pani będą rządy, i że wtenczas i ona nad Rozalią panować będzie.

Lecz zostawmy panny w garderobie, a przenieśmy się do bawialnego pokoju, gdzie pani Leokadja w tonie tragicznym i pełnym przesady opowiada dzieje swojego nibyto

nieszczęścia, przytoczymy tu koniec rozmowy, bo cała byłaby za ckliwą.

„Gdy więc zbliżał się moment fatalny, „moment mówię, który w dziejach mego „życia stanowić będzie epokę nieszczęścia, „smutku i sieroctwa; wtenczas ona biorąc „mnie za rękę i przyciskając dłoń moją do „serca, tak się drżącym tonem odzywa: „Leokadjo! (mówi) Leokadjo! siostro moja „najdroższa! mój aniele opiekuńczy! bo to „były jéj słowa. Oto cały majątek, jaki „mam i posiadam, twoim będzie po mojéj „śmierci. Wieś, kapitały, sprzęty, koszto„wności, wszystko dla ciebie aniele mój!... „Ja wtenczas łzami zalana mówię do niéj „te słowa: „Święta moja Siostro!! ofiarę „twoją przyjmuję, abym ją dzieciom twoim „przekazać po mojéj śmierci mogła i pytam „się jéj czyliby jeszcze tę swoją ostatnią „wolą napisać mogła?... Lecz cóż się dzieje? „Oh przebóg! mamże wam dokończyć smu„tnego opisu?!! Nie wiem czy ku temu „znajdę dość siły!... muszę odpocząć!...... „W téj mówię chwili, kiedyby mnie całego „swego majątku uczyniła dziedziczką..... „śmierć przecina pasmo jéj życia!!!... Ja „polegając na ustném jéj rozporządzeniu, „wchodzę w posiadanie jéj własności, kiedy

„wyrodne jéj dzieci znajdują dawny testa-
„ment, gdzie ona przeciw wszelkiéj słuszno-
„ści, ale podstępem synów do tego dopro-
„wadzona, ich, a nie mnie majątku swego
„czyni dziedzicami!! Akt ten, rewoltujący
„każdą szlachetną duszę, był przecież uzna-
„nym, i mnie owe wyrodne dzieci z ma-
„jątku ich matki wyzuwają. Moja panna,
„to jest ta śliczna Femcia, czyli Eufemija,
„którą tu mam z sobą, i która mnie nigdy
„nie odstępuje, chce przysięgać; ja proces
„wydaję! lecz na próżno, bo prawo było
„za nimi. Tym tedy sposobem, stałam się
„igrzyskiem przeciwnéj fortuny i musiałam
„się do was najdrożsi Braterstwo udać po
„zaliczkę przyszłych dobrodziejstw waszych!
„Nie prawdaż, najmilsi moi Opiekunowie?!
„Wy mnie już nie opuścicie! wy przedsta-
„wicie mi to niewyczerpane źródło ofiar,
„do którego się dusza moja łaknąca przy-
„bliżyła, a ja za to wydam wam Zosieczkę,
„wydam za człowieka godnego jéj ręki, a
„prawdziwie dystyngowanego!... Już ja się
„tém zajmę!... to będzie celem moich ży-
„czeń,... starań... mozołów, a razem i téj
„w interesach zręczności, którą wszyscy
„zawsze we mnie podziwiali".

— Ale może Pani Siostra Dobrodziéjka

udać się zechce na spoczynek po fatydze podróży (odrzekł pan January)? bo to już blisko północ!

— Oh! dziękuję Ci, mój Braciszku, bo ja nigdy przed pierwszą, a nawet przed drugą z rana spać nie chodzę, a wstaję przed południem. Piję potém moją czokoladę, przepisaną mi przez doktorów; przytém jajka na miękko z bułeczką świeżą, a o piątéj wieczór, jak zwykle, obiad.

— A to doprawdy nie wiem, jak z tém będzie Pani Siostro (doda pan January)? bo tu u nas zupełnie inaczéj! My wstajemy rano o szóstéj, a co ja, to najpóźniéj o czwartéj, pijemy kawę o siódméj, o dwunastéj obiad, o szóstéj wieczerza, a o dziewiątéj kładziemy się spać.

— Oh! mój Bratuniu! to najłatwiéj wam będzie zmienić ten stary obyczaj, a zastósować się do zwyczajów europejskich. Cała Europa już dzisiaj jada obiad o piątéj wieczór.

— Życzę Europie smacznego apetytu, ale co ja, to muszę jeść o dwunastéj, bobym umarł i muszę spać o dziewiątéj.

— To są mylne twoje wyobrażenia mój złoty Bratuniu! i z tego się po dwóch dniach wyleczysz. Damy zwykle w tym względzie

dyktują prawa światu! Małyto wprawdzie przywiléj, ale obdarto płeć piękną z jéj majestatu! Cóż robić?... Więc wam teraz najdroższi Braterstwo opowiem smutniejszą jeszcze scenę z mego życia, tojest śmierć mego męża, którego kochałam nad życie, bo to był anioł!

— Zmiłuj się Pani Siostra (rzecze pan January), może będziesz łaskawa jutro nam opowiedzieć, bo i na nas późno, i chodzi mi o ludzi, którzy odpocząć muszą.

— Moje kobiety zawsze się kładą po trzeciéj (przerwie pani Leokadya).

— A nasze wstają o trzeciéj (odpowie pan January), więc téż wcześniéj położyć się mają prawo.

— Trudno (rzecze z głębokiém westchnieniem pani Leokadya), tą razą zastósować się muszę do despotycznéj woli mojego opiekuna i starszego brata, i będę się starać wcześniéj zasnąć. — Gdzież mój apartamencik?

— Służę Siostrze (rzecze pani Barbara), oto tu wpodle: Ah! cieplutko, jak w uchu!

— Dobrze... więc to jest pierwszy pokój,... to będzie dla Józi,... a mój Siostruniu?...

— To téż to ten Siostry pokoik, a dla

Józi alkierz (odpowie pomięszana pani Barbara).

— Ach najmilsza Siostro (przerwie pani Leokadya) powiem Ci moja duszko, iż ja potrzebuję bardzo wiele powietrza, i nie mogę spać w małym i nizkim pokoiku, bo zaraz dostaję ataków nerwowych i astmów. Dla mnie jest rzeczą niezbędną oddychać szeroką atmosferą. Jabym połknęła całą przestrzeń powietrznego świata!

— To trudno (odpowie upadająca pod znudzeniem pani Barbara), nasz domek jest szczupły i ostrzegaliśmy o tém listownie Panią Siostrę.

— No, cóż robić, na tymczasem to uzbroję się w rezygnacyą, a na wiosnę to się da może przybudować salon obszerny i wysoki, bobym tu nie wyżyła. A te drzwi gdzie prowadzą?

— Te drzwi są zabite i prowadzą do naszego sypialnego pokoju (rzecze p. Barbara).

— No, to się to jakoś urządzi (mówi pani Leokadya). Ja sławną jestem do urządzania apartamentów, i jutro, gdy cały dom obejdę, to się tak wygodnie rozlokujemy, iż każde z nas najszerzéj mieszkać będzie. Dobra noc Ci droga Siostruniu, Aniele mój!

Dobra noc Ci gwiazdeczko! poranna zorzo! Zosieńko!... Panno!! poświeć paniom!!!

Gdy pani Barbara z Zosią wyszły, zastały w trzecim pokoju pana Januarego z pochyloną głową i z załamanémi rękoma, myślącego zapewne, że zesłanego mu krzyża nie udźwignie!! Ku nadchodzącéj rodzinie wzniósł wzrok malujący cierpięnie i rozpacz, i odezwał się miłosiernym tonem:

— Basiu! Cóż ty na to mówisz? Ja tak upadłem już na siłach, jakby po odbyciu najcięższéj choroby! — Ta baba mnie zabije... ja tego nie wytrzymam.

— Oj prawda, mój Janusiu, że nieszczęście, ale cóż robić? trzeba znosić do pewnego czasu, a prosić Boga, aby nas jako od tego uwolnił.

— Ale,... uwolnił!... Jabym, Bóg widzi, dał na sto mszy świętych, i ołtarzbym zakonnicom moim kosztem sprawił, żeby Pan Bóg od nas tę biedę oddalił, ale ani przewiduję nateraz podobieństwa!... Mówię ci Basiu, że wolałbym mieć stu dragonów na kwaterze. Ja nie wiem, ale gdy na nią patrzę, albo gdy ona mówi, to mi się w głowie miesza, i chociaż wyjdę z pokoju, to myśli w głowie zebrać nie mogę. Był właśnie wieczór ekonom po dyspozycyą,

gorzelny mówił mi o zacierze, a ja ani ich rozumiałem, bo postać chuda tego babska stała mi ciągle przed oczami! Wiesz Ty, Basiu! że ja myślę babę tu zostawić, a was zabrać i wyjechać. Jak zobaczy, żeśmy jéj nie radzi, to się zgniewa, wreszcie znudzi się i pojedzie sobie do licha.

— Nie pojedzie mój mężu! bo gdzież ma jechać, ledwie się tu za nasze pieniądze dowlokła. A jeszcze będzie gorzéj, bo nam cały porządek przewróci, dom sobie zajmie i my potém u niéj kómorą siedzieć będziemy!

— A gdyby jéj téż dać odczepnego drugie pięćset, a niechby i tysiąc reńskich i wysłać ją do Sącza, albo i do Krakowa?

— To straci za miesiąc i znowu powróci, a szkoda tysiąca reńskich... Ale trzeba jéj dać jako uczuć właściwe stanowisko, i powiedzieć, że ona przyjąć powinna prawa domu, a nie zaś, aby nam swoje narzucała. Ty to potrafisz mój mężu, jako głowa familii, pan domu, mężczyzna.

— Mnie nie wypada właśnie, jako mężczyznie, wojnę toczyć z damą, ale ty Basiu, jako pani domu i kobieta masz prawo stanąć przy zasadzie.

— Tak ci się zdaje Janusiu! Ale ona

nie wiem dlaczego i z jakiego prawa tak mi rzeczywiście imponuje, że trzech słów zliczyć nie umiem.

— O to téż to chodzi moja Basiu! że i mnie się coś takiego stało, że chociaż jéj nienawidzę, to ulegać jéj muszę. Wzięła nas odrazu z góry, przyjęliśmy ją grzecznie, więc to nam zepsuło! Trzeba czekać okazyi, albo téż późniéj może nabierzemy odwagi, gdy się z nią bliżéj zapoznamy!!... A te jéj frauencymry, to jakieś kwaśne, grymaśne!! Mówił mi lokaj, że ta panna jéj faworytka płakała i nie chciała pić kawy!!

— To naturalne! w obcém miejscu, w pierwszym dniu! a potém ona i dla służących nie musi być słodką. Ale co gorsze... to wiesz mój mężu, iż się tym pokojem nie kontentuje i jutro ma dom nasz rewidować i urządzać.

— Oh! moja żono! toby téż było zanadto! Dalipan, iżbym babę z materklasami na śnieg wyrzucił. Oho! ja tylko do pewnego stopnia umiem być dobrym.

— Ah nie, mój mężu, nie rób żadnych awantur, boby gotowa dom nasz osławić, a pamiętaj, że mamy córkę. Zrób jéj spokojnie twoje uwagi i koniec.

— Ale czyto pomoże?... Taka kobieta

jest jak gangrena, która ciągle się szerzy, jeżeli się ją do żywego nie wykroi lub gorącém żelazem nie wypali.

— Mój Tatko! proszę Tatki! bo ona mogłaby się mścić albo obmówić.

— Otóż widzicie! i to małe występuje z uwagami! A dla czegóż ty przy niéj siedzisz jakby trusia, i ręce złożywszy w mołdrzyk, nie śmiesz się na stołku ruszyć?

— Bo jéj się boję mój Tatko! i im ona dla mnie jest czulszą, tém większa przejmuje mnie trwoga. Nie wiem, coto jest, ale jéj tkliwość ziębi, a jéj łzy nie rozczulają. Ja jeszcze nigdy takiéj osoby nie widziałam. Pani Cyryllowa jest zimna, a ja ją kocham, a ta chociaż jest ciotką, to do niéj żadnego nie mam przywiązania. Proszę Tatki, czy wszystkie panie z wielkiego świata są takie?

— Może nie wszystkie takie, ale są na jedną modę ukrojone. Lecz dość już tego! trzeba zaspać tę sprawę i sił nabrać do jutrzejszego męczeństwa.

Kiedy rodzina państwa Januarów biedzi na swoje nieszczęście, odgrywa się równocześnie inna scena w pokoju pani Leokadyi. W pół smutna, a w pół gniewna, rzuciła się całym ciężarem swych kości na

twardą kanapę i uczuła brak sprężyn, a w ich miejsce pokład z deszczek, cienką tylko poduszką pokrytych. Nie mówię już o przykréj niespodziance, ale przytaczam to jako temat rozmowy z panną Eufemią, która dostrzegłszy, co się stało, z troskliwością zapytała, czy uderzenie nie było zbyt silne?

— Ah cóżto za dom (rzeknie pani Leokadya), to Barbarya! Gdzież się spodziewać mogłam takiego zawodu. Państwo Januarowie uchodzili zawsze za ludzi majętnych, przeto myśliłam, że nam tu będzie, jak w niebie.

— Proszę Jaśnie Pani (odrzeknie sługa) oni są bardzo majętni, bo jak słyszałam, to tu ptasiego mleka nie brakuje, tylko dla Jaśnie Pani są tak skąpi i nieżyczliwi. Mówiła mi Rozalia, tutejsza panna służąca (którejby we Lwowie za kucharkę nie przyjęto), iż tu bywa po sto osób z gości, ale nie takich biedaków jak Jaśnie Pani, tylko takich, co mają swoje pałace. — Oni tu nami bardzo pogardzają, i gdyby chcieli, to mogliby dać obszerniejsze pokoje, tylko chowają dla swoich gości, mówiąc, że my tu jesteśmy, jak na łaskawym chlebie.

— Oh! niegodziwa szlachta! jeżeli oni

myślą goryczą mi chléb zaprawić, to ja ich piołunem nakarmię. Ale Femciu, nie trzeba nic dać poznać, bądźmy jak najczuléj, jak najgrzeczniéj, bo gdybyśmy się zaraz z niechęcią objawili, toby się to głupie ptastwo spłoszyło i moje projekta byłyby daremne. Zobacz, czy kto nie słucha pod drzwiami.

— Nie, nikt, Jaśnie Pani.

— Słuchajno Femciu! Ty sobie przypominasz tego młodego nibyto hrabiego golca, bankruta, co się to zgrał w karty; tego, co to miał tę brzydką awanturę; wiesz?...

— Tego bruneta, co u nas bywał?...

— Tego, tego ładnego, coto miał pełno długów, i co go to żydy szarpały!

— A wiem Jaśnie Pani! oh, znam doskonale, to śliczny chłopiec, i Jaśnie Pani go dość lubiła.

— Tak, bo on mnie bardzo poważał, i miał we mnie największe zaufanie i czułe ma serce! Otóż toby był mąż dla ich córki, dla téj milczącéj Zofii. A gdyby się raz ożenił, tobyśmy tu rządziły. Musiałoby to iść inaczéj. Tybyś miała podwójną pensyą i swój osobny pokoik, a dla państwa młodych-by się przybudowało; jabym zajęła dzisiejszy dom, a państwo starzy staliby w oficynie! Jegomość zastępowałby eko-

noma, a jejmość szafarkę. Ernestby tu szlachtę sandecką manierów wyuczył, i umiałby ton domu utrzymywać.

— Ah wie Jaśnie Pani, że to przewyborne! jakitéżto Jaśnie Pani ma rozum, że zaraz na myśl tak szczęśliwą trafi.

— Ja całe życie moja duszko miałam takie pomysły, i gdyby nie strata fortuny, tobym była w tym świecie nie jednę wielką rzecz zrobiła! Widzisz przeto Femciu, iż nam trzeba zachować najlepsze z nimi stósunki, aby ich tak zawojować, iżby każdą radę przyjęli. Ty zaś przez służących dowiaduj się o ich interesach i zamiarach! Dowiedz się, kto tu bywa, i czyli serce panny nie jest kim zajęte? Ja zaś napiszę do pana Ernesta, aby tu przyjechał. Ale on biedak nie ma pieniędzy! Lecz to nic, ma rozum, to znajdzie! gdy powie, iż za panną bierze z milion posagu. Wreszcie albożto wiele trzeba pieniędzy? On może budką *) przyjechać do Sącza, a dopiero ztamtąd wziąść extrapocztę. Panienka zdaje się dość głupia, to się jéj Ernest spodoba. Co mówisz?!

*) Furmanem żydowskim.

— Ah! proszę Jaśnie Pani! szalenie się w nim pokocha!

— A rodzice zechcą mieć córkę hrabiną! Co mówisz?!

— Ale oczywiście, Jaśnie Pani! oddadzą na ślepo! i jeszcze szczycić się będą, mieć zięciem hrabiego.

— No, to dobrze, teraz trzeba list pisać, a najprzód kopijkę, aby nie zapomnieć umówionych nazwisk i całego planu.

„Podgorne 6. Kwietnia.

„Kochany Hrabio Erneście!

„Już tedy znajduję się wśród czarującéj „okolicy podtatrzańskich wzgórzów, na łonie rodziny zamożnéj w ziemię i kapitały, „ale nieumiejącéj użyć bogactw, które „ślepa fortuna do niéj zatoczyła. Jestto „może dobra, ale dość ordynaryjna szlachta, „która tu żyje, jakby za Piastów, i nigdy „głowy z domu nie wychyli, ale zbija pieniądz dla córki jedynaczki, ładnéj dziew„czyny świeżéj, mais voila tout. Szkoda „aby tę fortunę złapał znowu drugi zardze„wiały szlachcic bez imienia i socyalnéj „pozycyi. Otóż umyśliłam sobie, wydać za „Ciebie, Kochany Hrabio, tę zimną moją „kuzynkę, a późniéj ułożylibyśmy się o

„wzajemne między nami warunki. Jest milion fortuny, moglibyśmy przeto żyć z „tego bardzo przyzwoicie, tém bardziéj, że „twoja żona nie miałaby żadnych potrzeb, „bo to jest pokorne stworzeńko, do zbytków nienawykłe. Że się Ty Kochany „Hrabio spodobasz, to za to ręczę, ale co „rodzicom, to trzeba majątkiem zaimponować, i należy się nam o to wcześniéj „umówić, abyśmy się z sobą zgadzali. Otóż „powiesz, że posiadasz pod Bukowiną klucz „K r z e m i e ń a na Ukrainie B a n d u r o w o, „gdzie jest 5,000 dusz a 2,000 włók ziemi „rędzinnéj. Proszę Cię tylko: „F a i t e s „b o n n e m i n e e n m a u v a i s j e u.“ Nadaj sobie powagę odpowiednią twojéj pozycyi socyalnéj, opowiadaj o twojéj zażyłości z wielkimi panami, nazywaj ich po „imieniu, jako twych poufałych przyjaciół. „Słowem staraj się im zaimponować, bo „szlachtę to tak trzeba brać z góry, aby „nas szanowała, inaczéj to oni biorą górę „nad dystynkcją. Jeżeli co umiesz mówić „o gospodarstwie to mów z panem Januarym, kuzynem moim, (s i j a m a i s c' e s t „m o n c o u s i n?) i tak przyjdziesz do majątku, a ja będę szczęśliwą przyglądać się „memu dziełu i wspólnie z wami używać.

„Niech cię hrabio, l'extérieur de la maison „nie zraża, bo zwykle tam są pieniądze, „gdzie mały dom; a gdzie pałace, tam „fortuna spłoszona ucieka. Co zaś do podróży, to możesz aż do Sącza dostać się „żydkiem za małe pieniądze, a z Sącza „jednę stacyą masz do Podgornego i musisz „wziąść extrapocztę. Nie trać więc czasu „i spiesz się dopóki mi tu są radzi i mają „dla mnie deferencyą. Ja ci tu już pierwéj „drogi przygotuję, a starać się będę jak „najprędzéj tę rzecz do skutku doprowadzić. „Pamiętajże Hrabio, że pod Bukowiną posiadasz klucz K r z e m i e ń a na Ukrainie „B a n d u r o w o. Możesz jeśli chcesz, mieć „i Stryja bezdzietnego, który cię bardzo „kocha. Przyjechawszy zaś, powiedz, żeś „przyjechał mnie odwiedzić, i że mnie uważałeś zawsze za swoją matkę, oceniając „moje cnoty, i co chcesz, to powiedz w téj „materyi.

„Au révoir donc chèr Comte — niech „ten nowy dowód przekona cię o mojéj „stałéj przyjaźni — L e o k a d j a.“

Już druga bije w sprężynę zegaru, który w złoconych ramach wisi na ścianie bawialnego pokoju, kiedy p. Leokadja jeszcze swój list na czysto przepisuje. Skończyła

wreszcie, podpisała, pieczęć czarną przyłożyła, chowając kopiję do kieszeni od szlafroka. Panna Eufemija tymczasem wyspała się na stołku, i widząc, że już pani chce się rozbierać, budzi zaspaną Józię, i obiedwie służą. Pacierza 'nie było, bo kto pacierz mówi, to takiego listu nie pisze. Od razu więc pani Leokadja utonęła w piernatach, odetchnęła, sapnęła i śpi, jak zabita. Za przykładem pani, poszły i służące znużone długą podróżą, i tak zasnęły przy zamkniętych okiennicach, że się dopiero o dziesiątéj z rana Józia obudziła. Dalejże spiesznie przyrządzać ubranie, trzepać na dworze szlafroczek i biegnąć nazad po resztę stroików. Ale z kieszeni list wypadł i na ścieszce leży. Panna Rozalja, przechodząc tamtędy, spostrzega papier na ziemi! ciekawość ją bierze, podnosi, czyta i starannie chowa. Woła panny Zofii, dodając, iż ma ważną rzecz do powiedzenia. Jakoż daje list czytać i pyta zarazem, coby z nim uczynić miała?

— Mnie go oddaj Rózieczko! bo ten list mnie zbawi. Ja go użyję tylko w ostatniéj potrzebie, to jest w obronie mojéj w przypadku przymusu, ale nic nie powiadaj nikomu, bo gdy nie będzie potrzeby, to tę sprawę pokryjemy wieczną tajemnicą, aby

nie szkodzić nieszczęśliwéj ciotce z którąby się mój ojciec obszedł najsurowiéj.

Pani Leokadja wstała o dwunastéj, i strojną suknią przywdziała, aby i w tém dać uczuć pozycyą socyalną. Szumią atłasy koronką obszyte, a na głowie jéj kipi tak lekki ubiorek, jak pianka z piwa na wysokim kuflu. P. January nizko się pokłonił, pyta o zdrowie o sen, o wygody, a pani Leokadja z wyrazem słodyczy zaręcza, że jéj jak w niebie.

— Oh jakąźto lubością tutaj się oddycha, zdala od gwaru świata i od intryg miejskich, kędy fałsz prezyduje, zdrada, przeniewierstwa. Oh Boże! jak tu miło, swobodnie, przyjemnie. A jaki mój pokoik wygodny, cichy i milutki! Byłabym jeszcze spała, gdyby mnie moje kobiety nie były zbudziły. I dziwne téż sny miałam, dziwne, lecz przyjemne, bo mi się śniło, że wasza gwiazdeczka, Zosiunia za mąż poszła, że byłam na jéj ślubie,... ale właśnie gdy mieli państwo młodzi przystąpić do ołtarza, moja panna mnie zbudziła. Tak ją téż wyburczałam!...

— Ej, co tam pani siostro! Bóg wiara sen mara!!

— Ah nie mój mężu (rzecze pani Barbara) czasem się sny sprawdzają.

— Oh i bardzo często (doda pani Leokadja) i bardzo pragnę, aby się i ten sprawdził, byle Zosia poszła za człowieka prawdziwie dystyngowanego, bogatego, z imieniem i wyższéj pozycyi socjalnéj.

— Cóż teraz pani Siostra dobrodziéjka będzie pić lub jeść? (zapyta pan January) czy tę doktorską czokoladę, czy z nami obiad?

— A czy już braterstwo po śniadaniu?...

— Już od pięciu godzin (odpowie pan January); a ja, to już i po drugiém, bo jak się człowiek uchodzi około tego gospodarstwa, toby się kamienia chwycił.

— To i ja już dzisiaj zpauzuję z moją czokoladą, a będę razem z braterstwem jadła śniadanie.

— Ale kiedy to obiad, Jéjmość Siostro Dobrodziejko, w całem znaczeniu obiad. Wszakże jeśli to pani Siostrze dogodniéj się widzi, to nazywaj obiad śniadaniem, a wieczerzą obiadem. Takim więc trybem, będziesz zawsze mieć lepsze śniadanie jak obiad, a my, to po swojemu nazywać będziemy obiadem.

— Dla czegóż jednak mamy się różnić w pojęciu rzeczy, my! którzy jesteśmy przeznaczeni żyć całe życie razem? Już

i wy najmilsi Braterstwo, ulegając obyczajom europejskim, nazwijcie śniadaniem.

— Dla miłéj zgody (rzecze p. January) niech i tak będzie, tylko że się memu kucharzowi w głowie pomięsza, bo przecież obiad do śniadania nie podobny, ale co tam o to!... jak się zwało, tak się zwało, byle smakowało. No, Zosieczko, każ dawać, bo już wpół do pierwszéj.

— Braciszek taki punktualny? (zapyta pani Leokadja)

— Tak jest pani Siostro Dobrodziéjko, przy gospodarstwie każda chwila jest ważną, tém bardziéj jeżeli się zarządza większym majątkiem. Dla tego ja tylko w domu jestem tyle, co przy obiedzie lub wieczerzy, a późniéj jadę w pole lub zarządzam w miejscu. Przepraszam więc panią Siostrę jeśli nie będę mógł często korzystać z jéj towarzystwa, ale trudno!... obowiązek nakłada prawa.

— Wieczór przecież Braciszek jest wolnym.

— Tak, godzinkę albo półtory, lecz jak przyjdzie dziewiąta, to już snu czuję potrzebę.

— Cóż ja więc będę przez ten czas robić?... to mi Zosiunia może dotrzyma towarzystwa? — będziemy mówić o Lwowie, o zabawach, o strojach!!

— Zosia musi się także wcześniéj położyć, bo ona dopiero jest po ciężkiéj chorobie i doktor nakazał, aby się wcześniéj na spoczynek udała, ale może i pani Siostra do snu się przyzwyczai, a będzie jéj zdrowiéj. —

— Oh ja nie mogę (rzecze p. Leokadja), ale będę czytać i zacznę także pisać jakie dzieło edukacyjne, bo temu przedmiotowi głównie się oddawałam. Chcę po sobie zostawić wszystkim matkom pamiątkę i podać im ogólne prawidła co do wychowania i prowadzenia córek... Czy macie tu Braterstwo obszerną bibliotekę?

— Nie wiem, (rzecze pan January). Ale Zosia ma tam w swoim kantorku kilka książek. Powieści tego Szmida,... — No i cóż więcéj?... — Podobno Robinsona, i tego olbrzyma z témi malcami.

— Guliwera Tatko! (rzecze Zosia)

— Tak! Ja wiem, iż tego jest dosyć, a moja córka to po dziesięć razy jednę książkę czyta, tak że się jéj na pamięć nauczy.

— Jabym jéj zapisała wiele dobrych książek ze Lwowa, a toby Zosieczkę rozwinęło.

— Oh nie! moja pani Siostro! (rzecze pan January) z pannami, to tak jak z kwiatkiem. Dopóki jest pączkiem, to się każdy spodziewa kwiatu, ale jak się już rozwinie, to wkrótce więdnieje, i zostanie z niéj tylko łodyga. Wreszcie, ona żadnéj książki w rękę nie weźmie, dopóki Ksiądz Dziekan nie upoważni ją do czytania. To tu już przyjaciołki nadsyłały jéj różne androny, ale nie!... ani w rękę nie wzięła!

— Co na mnie (rzecze z uśmiechem p. Leokadja) toby się można spuścić; bo ręczę, iż ksiądz Dziekan nie zna tak literatury jak ja ją znam. Dla tego mówię, iż są dzieła, które unosząc duszę do sfer nadziemskich, przetwarzają człowieka w doskonalszą istotę. Dla tego muszę przyznać, iż ja przynajmniéj to, czém dzisiaj jestem, winnam czytaniu budującyh książek.

— A co do mnie, (rzecze pan January) to nie pragnę Mościa Dobrodziéjko, aby moja córka była czém innem jak tém czém jest, bo mogę jéj to w oczy powiedzieć, iż jest dobre dziewcze, potulne, skromne i ciche, a to grunt w kobiecie.

— Zapewne, (rzecze pani Leokadja) iż to wystarcza dopóty, dopóki się jest przy rodzicach, ale gdy poszedłszy za mąż, za dystyngowanego człowieka, znajdzie się w wielkim świecie, i wśród salonu, to za-

łować będzie iż w młodości nie nazbierała nauki, dodającéj tyle uroku i wdzięku w konwersacyi.

— Ej, te salony, moja pani Siostro! i ten świat, co go zwią wielkim, to tam nic w nim niéma dobrego, nic; jakem słyszał, to wszystko dym, fuma i fama, a w gruncie fałsz. Przypatrzył ja się temu nieraz na święty Jan w kontrakty. To cóż? u tych panów z wielkiego świata, zawsze jest nędza i pizus! Żaden im nawet porządny obywatel a nawet kupiec nie pożyczy, boby to było jak w błoto wrzucić! więc głaszczą żydów po brodach, aby im dali tysiączek na 24 od sta. I cóż, czy za te pieniądze losu sobie poprawią?... Czy weźmie który jaką dzierżawę, albo czy kupi owiec, albo wołów?! Gdzie tam? kupi kilka par białych rękawiczek, zjé kilka filiżanek lodów, szampańskiego sobie téż wina pozwoli, a resztę przegra, i już bies wziął tysiączek, a co dług został, to jak śmierć go nie minie!... Albo i panie to tam znowu na te stroiki, zausznice, naręczniki wydatkują i to najczęściéj nakupią cacek z tombaku z fałszywemi kamieniami i paradują okpiewając świat! A żeby téżto jedna choć mówiła po polsku?... Za grzechby sobie miała. Tylko

po francuzku a niektóre po angielsku! jakby papugi jakie, dali Bóg! Trzeba się najlepiéj żydów spytać jak się tam dzieje, to oni powiedzą co do słowa, wiele kto waży, a znają się na ludziach jak na złocie. Jak ma kto długi, to jest u nich, jak dukat oberżnięty i już na kulfona mniéj dają!... Oho! znam ja to wszystko znam, moja Pani Siostro!

— Już jest na stole (rzecze p. Barbara) Mężu, prowadź panią Siostrę.

Pani Leokadja jadła do sytości, a sama się dziwiła swemu apetytowi;... była weselszą, nieco mniéj przesadną, więc pan January był w lepszym chumorze i niekiedy nawet dowcipnym. Pani Barbara, podaje, przykłada, namawia, i cieszy się również, że smoka domowego nasyci i ugłaszcze. Jedna tylko Zosia poważna, milcząca, ale uprzejma o ile się należy, nie dzieliła ani wesołości, ani zadowolnienia rodziców z układającego się między rodzicami a Ciotką stósunku. Pani Leokadja, któréj nie można zaprzeczyć znajomości ludzi, spostrzegła to i nabyła przekonania, iż nie jest u Zosi w łaskach, dla tego często na nią spoglądając, powtarzała:

— Nasz cherubinek smutny, a bawić ją nie może towarzystwo starszéj ciotki, prze-

cież ta ciotka bardzo swoją siostrzenicę kocha i szczerze myśli o jéj losie.

Zosia nie mogła już znieść tego fałszu, i z minką pokorną, ale z tonem świadczącym o pewnéj decyzyi odrzekła:

— Niech Ciocia raczy te troski moim rodzicom zostawić, bo nikt skuteczniéj od nich losem się moim zająć nie potrafi.

Te wyrazy obraziły i nieco przeraziły panią Leokadją, bo widziała, iż ta gwiazdeczka nietylko świeci, ale i dopiecze (gdyby do rzeczy przyszło); mniemała jednak, iż urok młodzieńca światowego porwie odrazu tę wsi wychowankę, niemającą ani znajomości ludzi ani doświadczenia. Po obiedzie Zosia wyszła do swego pokoju, a pan January w trop za nią idzie i mówi:

— Moja Zosiu, ty jakoś jesteś dla Ciotki niegrzeczna, i wcale do niéj nie mówisz, ona to uważa. Zapewne iż to kobieta dziwaczna, ale ma dobre serce i szczerze nam życzliwa, zawsze tobą zajęta, kocha cię widać, pomimo twojéj oziębłości. Trudno, moje dziecko! trzeba się nauczyć z rozmaitymi ludźmi zgadzać. Ona jest w mieście wychowana, w wielkim świecie, więc nas to razi wieśniaków; ale mimo tego może ona mieć wysokie duszy przymioty, i wi-

dzisz jak już dzisiaj wziąłem nad nią górę! Już nie piła czokolady, tylko jadła z nami obiad, czyli śniadanie, bo to wszystko jedno... Już kontenta z jednego pokoiku,... a na tém postawię, że się nauczy spać o dziewiątéj i będzie jak trusia!... Oho! już czuję, żem ją zawojował.

— Proszę Tatki, ja znowu mam jakieś przeczucie, że nam ta Ciotka nie mało zmartwień przysporzy. Tak się jéj boję, a coraz więcéj wstręt do niéj czuję, iż ani się w tém zwyciężyć mogę.... Ona mi się zdaje fałszywą i obłudną, a czas przekona Tatkę, czy się mylę?...

— Ale mylisz się Zosiu, bo jeżeli co może razić w jéj charakterze, to zbytnia otwartość, tak iżby wszystko na raz powiedzieć chciała. Jéj scena z pocztylionem na samym wstępie, jéj nieukontentowanie z małego pokoiku i z naszego trybu życia jawnie i odrazu objawione, to wszystko jest otwartością, zadaleko nawet posuniętą! No, moja Zosiu, haftujże tu, kiedy chcesz; a późniéj przyjdź do pokoju, abyś nie uchodziła w mniemaniu ciotki za dziką, kwaśną, albo jéj niechętną.

Pan January, wróciwszy do bawialnego pokoju, zastał panią Leokadją mówiącą z

zajęciem o Zosi i nieraz skinieniem głowy poświadczał. Pani Leokadja dowodziła właśnie, iż obok korzyści wiejskiego wychowania, ta jest przecież odwrotna strona, iż panienka, nie widząc ludzi znakomitszych, wychodzi na parafiankę, dziczeje, i gdy kto obcy przyjedzie, to nie umié się znaleść, żenuje się, a potém i smuci i kwasi, bo czuje swoją niższość. Dla tego téż o taką pannę nigdy się nie posunie człowiek majętny i znakomity, ale odważa się o nią starać lada sąsiad, szlachcic, szarapetka. Zosia wszakże przy swoich wdziękach i majątku do innego losu ma niezaprzeczone prawo, i gdyby ją tylko poznano bliżéj z jéj cnót i przymiotów, to i książęcy syn mógłby się posunąć, a co hrabia, to najniezawodniéj.

Pan January słuchał tego z religijną uwagą, a tém bardziéj słowa p. Leokadyi przemawiały do jego przekonania, iż pan Stanisław ciągle mu stał na oczach. Ów więc „sąsiad, szlachcic, szarapetka" przypomniał mu ubóstwo Stanisława, i tę grzeszną odwagę posunięcia się o rękę Zosi, jedynaczki, kilku wiosek dziedziczki i kapitałów spadkobierczyni.

— Oh, święte słowa twoje, Szanowna

Siostro (rzecze pan January). Lada szaraczek, któremu prawie ożenić się z córką mego rządzcy, gotówby się wspinać z pretensyami starania się o naszą Zosię, a to dlatego, że jesteśmy dobrzy, gościnni i dla każdego uprzejmi! Ale poczekaj karzełku! Jeszcześ nie urósł! i córka moja z tobą kóz razem nie pasała ani pasać nie będzie.

— A czy już był ten wypadek? kochany Bratuniu?

— Byłto niby i nie był, albowiem ze mną sprawa trudna, ja zaraz pałaszuję i daję odprawę. Nie na to pracowałem całe moje życie, aby dzisiaj lada szlachcic zagonowy ostrzył sobie zęby na moją fortunę. Oho, ja krótko kończę i na bałamuctwa żadne nie pozwalam.

— Ah! ślicznie Bratunio robi, nic gorszego, jak bałamuctwa i przeciąganie; bo serca się znużą, kwiat miłości więdnieje, pociecha z wnuków się oddala! Najlepiéj jest, gdy się człowieka z imieniem, fortuną i dystynkcyą odpowiedniego znajdzie, odrazu kończyć interes, i nikomu o tém ani słowa nie mówić, nikogo się nie radzić, ale w sekrecie całą rzecz odbyć i dopiero sprosić krewnych i przyjaciół na dzień ślubu. Po ślubie państwo młodzi pocztą zaraz na parę

tygodni wyjechać powinni, bo bez żeny używają tych chwil miodową słodyczą zaprawnych, a późniéj wracają na łono rodziców.

— Oh, co za tém, to nie jestem, jakto słychać teraz, iż państwo młodzi prosto z kościoła jadą gdzieś i światem gonią. — To jest głupstwo, bo przecież powinny być czepiny, a na drugi dzień poprawa wesela, i tak nawet cały tydzień, bo warto taki akt uczcić.

— Zapewne (rzecze pani Leokadja), iż może lepiéj, ale to już wyszło z mody. — Wszakże jeśli Bratunio chce przy starym zostać obyczaju, to i tak można.

— No, moja Pani Siostro! do tego tam jeszcze daleko, bo Zosia za młoda, — to jeszcze dziecko, ma dopiero... Wieleż ona ma żono?... abym nie skłamał!

— Siedmnasty rok kończy (odpowie pani Barbara).

— Proszę? Siedmnasta dopiero wiosna?... No zapewne, iż ma czas; ale jabym radziła nie czekać, bo jeśli się w siedmnastu latach dobra partya trafi, to nie jest się pewnym, czy w ośmnastu podobną się znajdzie. A mężczyzni dzisiejsi to tak są wybredni, tak zepsuci, tak pożądani, iż we

Lwowie, to matki niemal zastawiają sieci, aby dla córek jakiegobądź męża ułowić. Ah! ród męzki tak podrożał, powiadam Braterstwu, iż teraz za posag dwóch kroć stu tysięcy reńskich, wcale nieosobliwego męża kupi. Cóżto? Za dawniejszych czasów, to za sto tysięcy złotych polskich dostał starościca, a za dwa kroć to się nisko i pan wojewodzic o żonę pokłonił, a dziś to na balu tak sobie wybierają nawet do tańca, jakby jakie sułtany. Co się ich jeszcze trzeba naprosić, aby na bal przyszli! Gospodarz, chociaż wiekiem i znaczeniem poważny, musi sam pierwéj młokosom oddać wizytę; musi drukowane imiennie porozsyłać zaproszenia; oświecić salony tak jakby w dzień biały; szampańskiém winem zasłać bufety, a stół najdroższemi potrawami z za granicy sprowadzanemi zastawić. I jakaż jeszcze zabawa? Żeby przynajmniéj to światło, wino i kolacyą odtańcowali, toby się jeszcze ile tyle odpłaciło. Ale nie... Przychodzą na bal o jedenastéj... przetańcują kontredansa. Czekają na kolacyą, a potém podpiwszy, obrócą się walca, i trochę czasem mazura tylko dla zwyczaju, i odchodzą palić cygaro. To tak jest; zaręczam Cię honorem, Bratuniu!!

— No, to u nas inaczéj na wsi (rzecze pan January).

— Ale do tego się mówi, mój Brateczku, że gdy się w tym wieku znajdzie młodzieńca z majątkiem, dystynkcyą i skromnego, toby się go z córką w kolebce zaręczyć pragnęło.

— Oj prawda Siostruniu (rzecze pan January)!

— Ja znam takiego we Lwowie, i często sobie myślałam, iżbyto było szczęście, gdyby się chciał o naszą gwiazdeczkę, o Zosiunię starać. Jestto młody człowiek pełen nadziei, z wielkiéj familii, hrabia Ernest, skromny, dystyngowany, umiejący się znaleźć, błyszczący cnotami w salonach. Ale cóż, kiedy go sobie wszystkie matki wyrywają, zazdroszczą, pieszczą go i psują. Obiecał on mi wprawdzie, iż mnie tu odwiedzi, bo mnie kocha jak matkę, i swoję edukacyą w części wpływowi memu winien. Ale czy dotrzyma słowa?... czy go puszczą?... Nie wiem. Jednak mam nadzieję, bo u niego słowo jest niezłomne, a serce złote. Toby był dopiero mąż dla Zosieczki!! delikatny, cichy, uprzejmy — słowem dystyngowany!

— A jak téż co do majątku, moja droga Siostro (zapyta pan January z wyrazem zajęcia)?

— Ah! cóż tam, co do majątku!! milionowe nadzieje, a dzisiaj już stoi doskonale na nogach. Coto np. klucz.... Zaraz!... Jakże się klucz jego nazywa pod samą granicą bukowińską? — Przypomnę sobie!!.. Oto klucz Krzemień, prześliczny klucz, a takim niejedno serce panien i rodziców otworzy... A potém drugie dobra na Ukrainie: Bandurowo. Przytém stryj bezdzietny, bogacz, który go bardzo kocha i cały mu majątek zapisze!

— Ej, moja Siostro! to za wysokie progi na nasze nogi! Taki panicz toby mojéj córki nie chciał, aleby się o jaką księżniczkę starał.

— Niekoniecznie, bo on jest z moralnego usposobienia filozofem, i nieraz mówił mi, że mu się fałsz miejskiego społeczeństwa nie podoba, i że wolałby (gdyby się miał żenić) pojąć obywatelską córkę, którąby go kochała i z którąby swobodne na wsi pędzić mógł życie we wzajemnéj miłości i szczęściu. Zdaje mi się więc, iż właśnie przymioty, których poszukuje, znalazłby w Zosieczce naszéj i nie wątpię, iż gdyby ją poznał, toby się do niéj i do was najmilsi Braterstwo przywiązał.

— Ah! byłoby to szczęście dla naszego

domu (odrzekł z westchnieniem pan January). Hrabia, bogaty, młody, filozof, i wieś lubi, a czegóżby więcéj trzeba!! Ale on tu nie przyjedzie. Gdzie tam!... do takiego partykularza!... w górach!...

— Ja przecież nie wątpię (rzecze pani Leokadja), bo mi dał słowo!

Kiedy pan January był w zachwycie i marzył słodko o szczęściu swéj córki, pani Barbara zdawała się mniéj być zajętą tym projektem. Trzeba bowiem przyznać, iż każda kobieta, jeśli jest rozsądną i czystą w duchu, to ma dziwny takt w rozrządzeniu losem córek. Ani się odrazu czepia pierwszéj myśli, ani jéj nie oddala, lecz modli się, korzy przed Bogiem, medytuje, rozważa i niemal czeka na potwierdzenie przez Opatrzność zrobionego projektu. Dziwną też zdolność wlał Bóg w serce pani Barbary przeczucia tego, co jest dla córki zbawienném. Ona nie życzyła sobie Stanisława, i w tém zgadzała się z mężem z punktu rachuby, ale ze stanowiska uczucia i przeczucia nie była mu przeciwną. Ona usprawiedliwiała miłość swéj córki dla niego, ale wiedząc, że ojciec nigdy na to nie pozwoli, starała się odsuwać wszystko, coby tę miłość żywiło. Otóż projekt pani Leo-

kadyi nie zajął jéj tak gwałtownie, jak jéj męża. Raz, iż pochodził od osoby, któréj ani szacowała, ani dosyć znała; powtóre, że nie wierzyła tym wszystkim przesadnym pochwałom egzaltowanéj kobiety; a potrzecie, iż jéj może było żal Stanisława. Kiedy więc z jednéj strony wdzięczność pana Januarego dla pani Leokadyi jest widoczną, a pani Barbary wątpliwą, wchodzi Zosia i zimna jak zawsze, zajmuje najdalszy od ciotki stołek i wzrok swój w kanwowéj robocie zatapia. Pan January tą oziębłością zgorszony, odzywa się do niéj:

— Zosiu! dla czegóż bliżéj twéj kochanéj cioci nie usiędziesz, pocałuj ciotkę w kolana!... podziękuj jéj za życzliwość, jaką ma dla ciebie i za jéj szlachetne zamiary!

Zosia domyśliła się, o co chodzi, ale posłuszna ojcu, posunęła się bliżéj, do kolan pani Leokadyi się schyliła, ale dwie łzy błysnęły jéj w oczach. Pani Leokadja podnosząc ją i całując, pyta: „Powiedz Zosiu, czy to są łzy wdzięczności, czy żalu?“ Zosia nic nie odpowiedziała, ale pan January, mylny tłumacz uczuciów swéj córki, rzekł, iż to są łzy rozczulenia i tkliwości, która w Zosi do wysokiego stopnia jest wygórowaną. Już tedy pan January, ów

olbrzym potęgi i odwagi, który miał skruszyć narowy pani Leokadyi, jest oczarowany. Już i on, wpadając w romantyzm, co chwila drobni panią siostrę na siostrunię i siostrzyczkę. Wreszcie wstaje i idzie do pokoju pani Leokadyi, pytając się troskliwie panny Eufemii: „Czy tu Paniom wygodnie?“

— Troszkę za ciasno (rzecze panna Eufemija), ale cóż robić? Trzeba się mieścić, jak można, kiedy się jest pod cudzym dachem!!

— Co panna mówisz, u stu bisurmanów, „pod cudzym dachem?“ Moja siostra jest tu jak we własnym domu! Ja każę odbić drzwi do tamtego pokoju. My z żoną przeniesiemy się do pokoju méj córki, Zosia do panieńskiego, a panny wpodle kredensu, i wszyscy się pomieścimy.

— Takby było dobrze (odpowie panna Eufemija).

Pan January był człowiekiem pełnym energii, i pomysł każdy natychmiast w czyn wprowadzał; dlategotéż w parę godzin cały już dom wedle nowego planu urządził, i wszystkich do natychmiastowego koczowiwiska zmusił. Zosia nad tém cierpiała, iż się biedni rodzice rumują, ale wiedząc, iż

ojcu nie można w takiéj chwili żadnych robić uwag, poszła tylko ze ścian pozdejmować świętości, aby je świętokradzki wzrok nie kalał, i przeniosła do pokoju rodziców. Obraz zaś z jadalnéj sali, wyobrażający Judytę, oraz drugi Kupidyna, kazała zawiesić na pustych miejscach.

Po wieczerzy siedzi pani Leokadja, siedzą i państwo Januarowie dla kompanii, ale Zosia wedle zwyczaju wcześniéj odeszła, lecz się nie położyła, bo zatopiona w modlitwie, długo klęczała, a podobno i rzewnie płakała. Wreszcie kogut pierwszy raz zapiał w oficynie, zegar jakby wtorując potwierdził godzinę, i pani Leokadja, szanując niby domowy obyczaj, pożegnała gospodarstwo i do swoich cofnęła się komnat. Pani Barbara odprowadzając ją rzekła:

— Teraz Siostrze będzie przestrzenniéj i mniéj duszno.

— Ah, dla czegóż sobie taką robicie subjekcyą!? Dla mnie każdy kącik pod waszym dachem byłby równie miłym. Dziękuję Siostruni. Dobra noc wam, Anioły!...

Pani Barbara poszła na nowe swoje mieszkanie, i chociaż w pokoiku drogiéj swojéj córki, ale jéj czegoś brakuje, bo przyzwyczajenie staje się, jak to mówią, drugą

naturą. Więc szuka, maca, rozpatruje się, utyka, i smutno jéj na sercu. Pan January zaś kwitnie radością, i laski swoje, oraz cybuchy po kątach układa, a rejestra porządkuje na kantorku, bo mu je poprzerzucano. Wreszcie zwróciwszy się do żony, staje jak zwycięzca i mówi:

— Widzisz Basiu! Zwyciężyliśmy Leokadją! mamy ją pod naszą mocą,... na nasze usługi!...

— Ej, gdzie tam mój mężu! Ona nas zwyciężyła, i coraz więcéj szerzy swe panowanie. Bardzo się z początku na nią srożyłeś, a teraz jéj we wszystkiém na ślepo ulegasz. Jabym ani była o Zosi z nią tyle nie mówiła, ani ustępowała jéj pokoju; a co najgorsze, iż swaty jéj przyjmujesz bez żadnego namysłu, ani głębszego badania. Któż wie, co to za człowiek, którego ona stręczy? Kto nawet wie, co zacz ona jest sama? Może jaka awanturnica?!!

— Ale bredzisz moja Basiu! Kto ona jest? pytasz! Ona siostrą jest naszą! Ją równie jak nas szczęście Zosi obchodzi, i wierzę, iż w jéj jest nawet interesie, aby ją dobrze wydała. On zaś, to jest kawaler, hrabia, młody, bogaty, filozof, ma klucz Krzemień i dobra Bandurowo i stryja

bogatego. To nie pan Stanisław, hołysz, szarapetka! Właśnie będę kontent, iż się to raz już skończy, i że więcéj o to nie będzie kłopotu!

— Ale mój mężu! Ja nie mówię za Stanisławem, bo wiem, iżbyś nigdy nie pozwolił; ale tego znasz, a tamtego nigdy nie widziałeś, i przyjmujesz go na zięcia, trwożąc się tylko o to, czy przyjedzie?... Wybacz, ale to czynisz zbyt porywczo.

— Porywczo, nie porywczo: (rzecze pan January), ale to jest pewne, że wydam za niego Zosię, bo dobrze mieć w rodzie człowieka z tytułem, majątkiem, znaczeniem, i do tego jeszcze filozofa! Tém się tylko rodziny dźwigają, gdy przez połączenia kolligacą się z możnymi!... Naprzykład, już dzieci mojéj córki z hrabiego urodzone, z książęcym rodem mogą się połączyć, a widzimy na Barbarze Radziwiłownéj, że i na tronie taka usiadła!

— Mój Mężu! to było dawniéj; ale dzisiaj zmiłuj się to nie tak idzie, bo się liczba hrabiów namnożyła, i wielu ma hrabstwo w tytule, a pustki w szkatule. Jednak ja ci się w niczém upornie nie sprzeciwiam... Zobaczymy, poznamy, dowiémy się bliżéj, a dopiero się rzecz tak lub przeciwnie zde-

cyduje. A teraz zmówmy pacierz, bo już po pierwszéj w nocy! Dziwne téż to życie prowadzimy!!

Kiedy się tak małżeństwo naradzało, wielka trwoga i niepokój panował w kwaterze pani Leokadyi. Pragnęła kopiją listu odczytać, a téj kopii niéma, list zaś oddał na pocztę kuchta, jadący do Sącza po mięso!

— Gdzież go panna podziała? (rzecze strwożona Leokadja).

— Ale tu był w papierach, włożyłam do szkatułki, a Jaśnie Pani sama miała kluczyk!

— Niéma go! czy zaś nie został na kanapie, lub nie wpadł pod stolik?... Zaraz... czy nie będzie w kieszeni szlafroczka?...

— (Po obszukaniu) Niéma! ja sama widziałam, rzecze Józia, jak go Jaśnie Pani kładła do szkatułki. —

— Ale nie, głupcze! (odburknie p. Leokadja), on został na stoliku, bo go panna widziała.

— Tak jest Jaśnie pani! widziałam! (rzecze panna Eufemja), i lękam się, czyli go dla Jaśnie Pani do peruczki nie pocięłam na papiloty!

— A gdzież te papiloty? (zapyta niecierpliwie pani Leokadja).

— Spaliłam je nieuważnie, jako niepotrzebne (doda Eufemja)

— Oddécham chwała Bogu! a więc trzeba na drugi raz uważać, aby się żaden papier mój nie poniewierał, ale chować najstaranniéj i wieczór mi oddawać! No, to już dobrze! Józiu, idź do drugiego pokoju, i czekaj, aż cię panna zawoła!!

— Otoż, Femciu (mówi pani Leokadja) zwyciężyłam, i mam już tego starego pod pantoflem. Ona mi się dotąd słabo także broni, tylko ta pannica krzywi się, i z nią mi najtrudniéj! Aż się dziwię, że takie głupiutkie stworzenie, tyle ma hartu duszy, tak, że się nawet obawiam, abyśmy rozbiwszy skałę, sami się o lichy kamyczek nie rozbili. —

— Ja Jaśnie Pani powiem (rzecze Eufemja), że panna ma amanta, pana Stanisława, ubogiego szlachcica, i ona go kocha, ale ojciec ani słyszeć o tém nie chce, i ztąd te choroby panny Zofii, i humor jéj kwaśny.

— Zkądże-to wiesz nieoszacowana Femciu?

— Bo Józi mówiła tutejsza dziewczyna i dodała, że panna Zofija chciała już zostać zakonnicą!

— To prędzéj! i na to się zgodzę, bo jeżeli nie pójdzie za Ernesta, to pannicy tak

głowę wyegzaltuję, że ją popchnę do klasztoru, a starzy tylko we mnie jedynéj szukać będą pociechy. Majątek, dom, kapitały, wszystko stanie się moją własnością. Najprzód więc wypada korzystać z czasu i odpalić Stanisława! — Czy się on oświadczył?

— Podobno rodzicom się nie oświadczał (odrzekła Eufemja).

— Dobrze! to jutro stanowczą odbierze odprawę. No, rozbieraj mnie!... Cóżto za obrazy?

— To panna Zofija pozawieszała, a przeniosła do pokoju rodziców Pana Jezusa i Matkę Boską!

— Proszę?! To ta pannica umie już dokuczać i przygryzać, wieszając tu Judytę i Kupidyna! przysłuży jéj się, i to z mojéj łaski, ten bożek miłości, a tak zrani jéj serce, że ją ani zakon z boleści nie wyleczy.... Jutro mi, Femciu, obadwa te obrazy wyrzucisz z pokoju, a i dzisiaj nawet wynieś tę Judytę, bo mnie straszy, i mogłabym mieć sen niespokojny... Kupidyna możesz zostawić... Gorąco mi tu! duszno! snu potrzebuję, aby się do nowéj przygotować walki. Już i tak dużo wygrałam. Ernest przyjęty, a ojciec czeka go z upragnieniem, i na dwóch łapach mi służy... głupiec!...

Zawołaj Józi, ale najprzód zanotuj na papierze: Krzemień, Bandurowo, stryj bogaty, i schowaj ten papier do mojéj szkatułki. Ah! pamięć mi słabnie od tylu spraw, które z kolei załatwiać muszę!

Dnia następnego pan January utęskniał już za rozmową z panią Leokadją. Zaglądał z ganku, czy jeszcze okiennice zamknięte. I po prostu duch wymustrowany światowéj kobiety, opętał mocniejszego, ale surowego ducha pana Januarego. On, co zwykle na radzie i rozsądku swéj żony polegał, odwoływał się już, jak do sądu appellacyjnego, do zdania zdradliwéj niewiasty; a Zosię, to często poburczał, bo ją za ograniczoną istotę przy rozumnéj pani Leokadyi uważał. I jakoż odmówić pani Leokadyi rozumu nie możemy, bo go téż nikt szatanowi nie zaprzecza: lecz cóż po takim rozumie, który do złego prowadzi? Jak powiadam, że szatan i zła kobieta mają wprawdzie rozum, ale nie mają mądrości, która z Boga płynie i jest tylko udziałem dusz czystych i cnotliwych. Różnica zaś rozumu a mądrości jest w tém, iż rozum bogaty jest w środki ziemskie ku osiągnieniu złego nieraz celu, mądrość zaś ku świętym celom ma tylko środki prawem Bożém dozwolone. Rozumny

używa często nauki i umysłowéj potęg przeciwko Bogu, a mądry wszelką wiedzę, naukę, i potęgę ducha składa u stóp Bożych i na chwałę Boską obraca. — Pani Barbara i Zosia były mądre, ale ciche, same o sobie wątpiące, pokorne i posłuszne; a pani Leokadja była po szatańsku rozumna, odważna, zarozumiała i wstępnym idąca bojem. Pan January był szlachetny, ale dobroduszny; popędliwy i uparty, ale mniéj umysłowo ukształcony; trochę próżny, nie skąpy, ale lubiący grosze obliczać, i dość kontent ze swoich wiosek i kapitałów, które mu znaczenie wśród obywateli zapewniały. (Chociaż bowiem dramat téj powieści odgrywał się przed dwudziestą czterema laty, to i wtenczas już ważono człowieka na wagę złota. Może jednak mniéj, jak teraz, gdzie już nic złota nie przeciwważa, i zasługa stoi do srebra o pięćdziesiąt procentów niżéj.) Pan January chodząc około gospodarstwa rozmyślał sobie, iż nie będzie znowu tak od rzeczy, mieć hrabiego za zięcia: pytają się naprzykład sąsiedzi: „Czy miałeś list od pani Hrabiny? Czy pani Hrabina tu przyjedzie z dóbr swoich Krzemienia albo Bandurowa? i t. d.“ Brzmi to jakoś nie źle w uchu, a przytém kawaler filozof,

to i niepospolicie mądry być musi! Co tam!! bardzo dobrze; a byle przyjechał, to już nasza wygrana! bo go pani Leokadja na sucho nie puści!... Przytém Zosia ładna, fortuna téż jest... przyjmie się go honeste. Lepsze wina się z framugi dostaną, kucharza do pomocy wezwie się z Sącza, i będzie!! Tylko moja żona jakieś ma skrupuły, obawy, a może i niedorzeczne pokusy zazdrości, o to, że jestem uprzejmym dla pani Leokadyi! Boże odpuść!... ktoby mnie o to śmiał posądzać?

Tak marzył pan January, kiedy go zawołano, iż pani Leokadja ma pilny do niego interes. A więc nogi za pas, i daléjże kroczyć pod górę na dziedzieniec, a potém prosto do pokoju pani Leokadyi, która serdecznie go powitawszy, przepraszała, iż go śmie fatygować, lecz to w interesie rodzinnym, który jemu tylko powierzyć może, jako bratu swojemu, a ojcu Zosi. —

— Słyszałam, (rzekła ona) iż nasza luba gwiazdeczka nasz aniołek kochany, Zosiunia, ma jakąś skłonność do jakiegoś Stanisława biedaka, który tylko poluje na waszą fortunę, i panienkę dobrą i niewinną próżno bałamuci! Pojmuję jak daleko się to zgadzać nie może ani z twém życzeniem, drogi

mój Bratuniu, ani ze szczęściem Zosi, aby sobie jakiś hołysz, szlachcic szaraczkowy robił płonne nadzieje, i zniżał powagę waszego domu i całéj rodziny. Co więcéj: oto gdyby się mój hrabia dowiedział, toby się nawet o rękę Zosi nie posunął, widząc swego rywala na jednym zagonie. Gdyby się zaś z nim w waszym domu spotkał, coby się wydarzyć mogło, toby może zaszła scena krwawa, bo mój hrabia jest zuch, rąbie, strzela, zabija i już miał kilka szczęśliwych pojedynków. Otóżby to była dla was sprawa zbyt smutna, gdyby się krew w waszym domu lała, i ja téż hrabiego na to narażaćbym nie mogła. Życzę ci więc, Bratuniu, abyś zaraz list do tego jegomości napisał z żądaniem, aby sobie żadnych nadziei co do pozyskania ręki twej córki nie robił, i domu twojego więcéj nie odwiedzał; tém bardziéj, iż Zosia jest już komu innemu przeznaczoną.

Pan January chciałby usłuchać, ale się waha, przytaczając, że już z panią Barbarą była raz o tém mowa, i że ona odradziła. Więc pyta pan January, czyliby pod tym względem nie zrobić wspólnéj narady familijnéj. Pani Leokadja dowodząc, iż pani Barbara nie rozumie téj rzeczy, i sama córkę

na nieszczęście naraża, a żywi w niéj nadzieje; twierdzi, iż ojciec jako głowa familii, ma sam prawo i obowiązek sprawę tę załatwić. Dodaje nadto pani Leokadja, iż jako osoba sumienna, samaby musiała ostrzedz Hrabiego, iż ma rywala szczęśliwszego, którego panna kocha, i że rodzice miłość tę tolerują. — Wtenczas wszystko przypadło: kawaler, Krzemień, Bandurowo, i wszelka nadzieja dobrego postanowienia córki. Pan January obiecuje iż wieczór napisze, ale w końcu ulega natarczywości i pyta, jak ma tę rzecz załatwić? Pani Leokadja z uprzedzającą gotowością podaje panu Januaremu papier i pióro i list dyktuje:

„Wielmożny Mości Dobrodzieju!

„Gdy dostrzegłem skłonność Pana dla „mojéj córki, skłonność mówię, która do „niczego doprowadzić nie może, albowiem „nigdybyśmy za Pana jedynaczki naszéj „nie wydali: przeto zdaje nam się być „przyzwoitém, i dla wspólnéj spokojności „naszéj zbawienném, upraszać pana, abyś „w naszym domu nie bywał, i żadnéj sobie „téż na teraz ani na przyszłość nadziei nie „robił, gdyż córka nasza komu innemu jest „przeznaczoną. — Przyjmij Pan wyraz szacunku.

January.“

— Czy nie za ostro? (pyta p. January)

— Ale owszem za łagodnie, (odpowie pani Leokadja) teraz zaadresuj — zapieczętujemy i poślij umyślnego, a jak list odejdzie, to powiemy Siostruni, iż jest rzecz załatwiona! może trochę pożałuje, albo się i popłacze, ale Zosia będzie wyratowaną, oraz twój majątek, sława domu twojego, mój braciszku, i w końcu hrabiego będę mogła z wszelką pewnością namawiać do tego związku i zaręczyć, iż mu nikt w pozyskaniu serca panny na przeszkodzie nie stoi. Idź Bratunio prędzéj i posyłaj!!

Wyszedł pan January i list niesie, a serce mu bije, i sumienie go trapi... Myśli: Czyby temu listowi łba nie skręcić, nie posłać, a zaręczyć, iż się go posłało?... Kto wie?... może tak będzie najlepiéj,... bo się moja żona na śmierć pogniewa, iż bez jéj rady taką rzecz przedsięwziąłem!... Ale cóż z tego będzie?... Stanisław mógłby przyjechać i krewby się lała, a Zosiaby umarła. Hrabia aniby chciał się już żenić, a z nim bywajcie zdrowi „Krzemieński kluczu, Bandurowo i bogaty Stryju! Wreszcie,... czyto ja umiem zmyślać? — Zapyta mi się pani Leokadja czym posłał? a ja stanę jak głupi, i słowa nie odpowiem! Nie!... Trzeba posłać niestety!... ale kogo?... Oto najlepiéj Janka fornala. Idzie tedy pan January do stajni i stojąc w środku, woła: Janek! Jestem panie, co Wny Pan rozkaże?... Ej! do stu bissurmanów, zapomniałem w téj chwili. Aha wiem! Oto weźmiesz ten list i zawieziesz na plebański folwark, a oddasz panu, to jest panu Stanisławowi, a jak przywieziesz odpowiedź, rozumiesz?—Rozumiem Wny Panie. — to nie oddaj nikomu tego listu, ani nie pokazuj, tylko samemu mnie. Weź licową, jedź oklep, albo na derce i spiesz się! A jakby cię kto pytał, gdzieś jeździł, to powiesz, że do Sącza na pocztę, rozumiesz? Rozumiem Wny Panie. —

Stało się! (rzekł do siebie pan January) Ale może źle się stało, iż bez rady żony? Przecież ona jest tak matką Zosi, jak ja jestem ojcem, i losem jéj rozrządzać równe ma prawo! Oj głupstwo podobno zrobiłem! Ale niechże się raz skończą te bałamuctwa. Lecz jak tu żonie o tém powiedzieć? Może pani Leokadja znajdzie na to sposób i sama zacznie, a ja dokończę; lub lepiéj ja zacznę, a ona dokończy, wytłumaczy i do rozumu pani Barbary przemówi! Prawdę mówiąc, że mi żal trochę Stanisława, bo on się tém zmartwi; będzie desperował,

ale sam sobie winien! Po co mu się było zakochywać w bogatéj pannie! Ja przecież fortuny mojéj lada komu nie oddam. Gdyby jeszcze był hrabią, to za tytuł warto coś zapłacić! Ale szlachcic jak i ja... to cóż się zyska? Rozum bo ma! Ale cóż, kiedy nie filozof, i nie jest w wielkiém mieście wychowany, tylko w Krakowie był tam na tych szkołach. Wszystko zważywszy, dobrze się zrobiło, iż się mu dało odprawę. A potém, czy źle, czy dobrze, już się stało! Tak sobie myśląc i pomrukując, powrócił pan January do domu, gdzie go już z obiadem, czyli wedle nowego kodeksu, ze śniadaniem czekano. Był mniéj wesołym i mniéj dowcipkował, a często ku oknu spoglądał. Nikt nie znał powodu, ani się domyślał całéj téj sprawy prócz pani Leokadyi, która była w złotym humorze.

Po obiedzie znowu się potrójne kółko zebrało, bo Zosia wynajdywała różne powody, aby się od towarzystwa cioci uchyać. Pani Leokadya zbliżyła się do pani Barbary z uczuciem przesadnego współczucia, mówiąc:

— Cóż dzisiaj moja droga Siostruniu taka jesteś smutna? Domyślam się powodu, ale niech Cię już złowroga myśl nie trapi, bośmy

już powód twoich macierzyńskich trosków uchylili z bratuniem.

— Jakich trosków (zapyta się z zadziwieniem pani Barbara)?

— Dowiedziałam się, moja złota duszyczko, że Cię trapiło natręctwo tego nudnego konkurenta, tego hołysza Stanisława, i że nie miałaś odwagi z nim skończyć, więc już braciszek do niego napisał, żeby się próżno nie łudził, i aby już noga jego w Podgorném nie postała. Już ma teraz w ręku swój dekret i rzecz się zupełnie skończyła!

— Jakto? mój mąż napisał? bez mojéj wiedzy i bez mojéj rady?... A któżto ma prawo rozrządzać bezemnie ręką méj córki?... Tego prawa samemu nawet mężowi nie przyznaję, a dopieroż osobie obcéj. Tego to już zanadto!.. Zaledwieś tu siostro przybyła w gościnę, a nietylko domem naszym zarządzasz, lecz nawet wdajesz się w nasze sprawy rodzinne i dochodzisz tajemnic, które tylko rodzice znać mają prawo. Zabrałaś nam dom, rządzisz i burmistrzujesz, ale jeszcze w dodatku przywłaszczasz sobie zaufanie mego męża; tego nie zniosę i na to nigdy nie pozwolę.

— Nie unoś się Siostruniu (rzecze pani Leokadja), bo ja wyrzutów takich nie na-

wykłam słuchać. Ton twojéj mowy działa mi na nerwy. Muszę wziąść krople moje, i kazać sobie natrzéć pulsa. Idę do moich pokojów.

— Ale moja Basiu! O cóż te gniewy? Mówiłem ci dawno, iż muszę do Stanisława napisać; więc teraz postanowienie to uskuteczniłem, boby się tu krew lała, gdyby się z hrabią zjechali. Tego dopuścić nie można, bo o życie Zosi chodzi.

— Co tam hrabia (rzecze pani Barbara). Jeżeli podobny do pani Leokadyi, tobym mu Magdy naszéj nie dała. Ta szkaradna baba, ta intrygantka, szpieg domowych tajemnic, zawsze coś knuje! Ona cię zupełnie opętała, oczarowała i przy niéj straciłeś wolę, rozsądek, stałość umysłu, a nawet przywiązanie do żony i dziecka.

— No, nie miałem ja racyi myślić, że to zazdrość?...

— Jaka zazdrość? (odrzeknie z zadziwieniem pani Barbara). Czy możesz mnie nawet o to posądzić? Jabym miała być zazdrosną téj czarownicy?... Z jakiego względu i czego? To prawda, że ci mam za złe, iż oddałeś zaufanie twoje i los córki w tak niegodne, a przynajmniéj wątpliwe ręce. Ale zresztą nadto siebie samą cenię, abym

się stawiała w równi z tą awanturnicą. Mnie każdy zna, kto jestem, a jéj nikt nie zna.

— Ale zmiłuj się Basiu! nie rób awantur, trzeba zachować prawa gościnności. — Wreszcie hrabia przyjedzie, to ją trzeba ugłaskać, bo nam interesa popsuje lub przynajmniéj nie tak już życzliwie popierać je będzie.

— Ona powinna szanować prawa domu i prawa rodziny (rzecze pani Barbara), a kiedy kto w cudzym domu knuje intrygi, bada służących, przechodzi tajemnice, to się takiego gościa za drzwi wyrzuca.

— Moja Basieczko! moja żono kochana! już wybacz, a nie rób sceny, bo to Zosi los popsuje i przepadnie Krzemień i Bandurowo. Idź się z nią pogódź, jak mnie kochasz!!

— Nie pójdę mój mężu! ani tego ode mnie wymagaj. Powinieneś sam dbać o honor twéj żony, bo ci jest wspólnym. Rachuba cię zaślepia i zawsze marzysz o majątku, a zabijasz w sobie najpiękniejszy dar Boży, uczucie!!

Kiedy się małżeństwo targuje, jakby rzecz pogodzić, i ten zawikłany kłębek stósunków rozplątać, wchodzi pani Leokadja

i z ponuro-żałobnym wyrazem twarzy i tonu przemawia:

— Przychodzę sama z różczką oliwną pokoju, aby odpowiedzieć położeniu memu gościa w waszym domu. Nie chcę być przyczyną zakłócenia, ale sprawczynią waszego i córki waszéj szczęścia. Może w mojéj życzliwości przebrałam miarę i za zbyt daleko poszłam, ale bo serce moje nie umie nikogo w połowie kochać, ani téż zna granic w poświęceniu! Spodziewałam się, iż Siostra widząc, jaki mi zrządziła atak nerwowy, odwiedzi mnie i przyniesie ratunek a otoczy troskliwością; ale gdy niestety tego dowodu przyjaźni czekam napróżno, przychodzę uroczyście powtórzyć, iż nic mego wdzięcznego do was przywiązania osłabić nie jest w stanie.

I ani Barbara na tę przemowę oniemiała. Nie była do tego wcale przygotowaną, a pan January wewnętrznie poruszony, byłby się rzucił w objęcia pani Leokadyi, ale bał się żony. Więc kołysał się wśród nich w tył i naprzód, chcąc im dać niejako popęd do wzajemnych uścisków; ale obie panie stoją, jak posągi, i próbują się na duchy. Pani Barbara zwyciężyła, bo pani Leokadja, nie mogąc się doczekać, rzuciła się pierw-

sza w ramiona pani Barbary, która niby ją całowała, ale przez pośrednictwo powietrza. Już wtenczas i pan January rozczulenia powstrzymać nie mógł, i obie panie razem pomieścił w swych objęciach, a przyciskał do serca.

— Moja Siostruniu! (rzecze pani Leokadja) niech to poróżnienie będzie właśnie początkiem poufalszych stósunków. Ja teraz poznałam, czego się wystrzegać powinnam, i do tego się zastósuję.

Pan January uwierzył co do słowa szczerości tego zaręczenia, a i pani Barbara wierzyć zaczęła, i w istocie stósunek wzajemny na tém zyskał, ale na większą szkodę państwa Januarów.

Pani Leokadja przez dni kilka przesiadywała po większéj części w swoim pokoju i pisała, a pani Barbara usamowolniona, nie czuła już tyle ciężaru z posiadania tyle natrętnego gościa. Pan January dziwił się, że pan Stanisław nic mu nie odpisał, tylko się kazał uprzejmie wszystkim pokłonić. Ale mu to w sekrecie przed panią Barbarą wytłumaczyła pani Leokadja, iż to uczynił mądrze, bo może list odebrany uważać za niebyły, a nie chce żadnego pisemnego dokumentu w ręku pana Janua-

rego zostawić. O hrabim często półgłosem mówił także pan January z panią Leokadją, ale bano się już wszczynać téj kwestyi w gronie rodzinném, bo czekano, aby przyjechał, i aby wtenczas nagły szturm przypuścić.

VIII.

Przyjazd hrabiego Ernesta i pobyt jego w domu państwa Januarów.

Pani Leokadja przed parą dniami list ze Lwowa odebrała. Wzbudziło to ciekawość pana Januarego, który uchyliwszy drzwi zapytał:

— Czy od hrabiego?

— Jakby od niego (rzecze pani Leokadja), bo od jego plenipotenta, który donosi, iż hrabia odjechał do dóbr swoich wtenczas, kiedy on mu wiózł do Lwowa pieniądze. Pisze więc, iż wróci niebawem, a ma gdzieś potém jechać ku Krakowu, więc zapewne i tu przyjedzie. — Boję się tylko, czy go znowu do jakiéj panny w Krakowie nie wabią.

Pan January drzwi przymknął, usiadł

i myśli:... Szkodaby było, aby nam go kto porwał! Ale taki konkurent, to rzecz łakoma, i wszyscy się o niego dobijają! Cóż robić? Trzeba to zdać na Pana Boga! Tylko co ja uważam, że pani Leokadja po téj awanturze nie jest nam już tak życzliwą; zimno tę rzecz traktuje. Ale ja na to poradzę! — Zapytam się jéj, czy na drobne wydatki z parę set reńskich nie potrzebuje. Cóż,.... Kobiecina nie ma! — Zkądby wzięła?!...

Idzie więc pan January i znowu drzwi uchyliwszy, pyta:

— Może Siostruni potrzeba co drobnych na bieżące wydatki? tobym dał z parę set reńskich!...

— Oh! bardzo będę wdzięczną (rzeknie pani Leokadja), bom się na podróż wyszypłała.

A więc pan January wyjął z pugilaresu paczkę pieniędzy, i podał, a pani Leokadja, uścisnąwszy mu rękę, rzekła: „Odwdzięczę to Bratuniowi!!“ Gdy się zaś drzwi zamknęły, rzekła Leokadja do Eufemii:

— Głupiec, jak-to kupuje hojnie moję protekcyą?... I nie zawiedzie się, bo zaraz po ślubie Ernesta z Zofiją oddam mu i tamte 500 i te 200 złr. z jego własnego majątku.

Pan January zaś uszczęśliwiony, że za parę set reńskich kupił hrabiego, klucz Krzemień i Bandurowo, winszował sobie pomysłu, i czekał cierpliwie rozwiązania tak blisko obchodzącéj go sprawy.

Pewnego dnia, gdy cała rodzina razem z panią Leokadją obsiadła stolik okrągły w salonie, zajeżdża powóz pocztowy, a z niego wysiada młodzieniec wysoki, i płacąc pocztyliona, daje mu rozkazy.

— Ah! to hrabia Ernest! (zawoła Leokadja).

Na te słowa Zosia pobladła, pani Barbara ukryć pomieszania nie może, a pan January, zamiast się cieszyć, osłupiał i zatrząsł się na nogach. Pani Leokadja ku drzwiom pobiegła, ściśnieniem ręki powitała hrabiego, i przedstawiła go gospodarstwu i Zosi. Pan Ernest odrazu przyjazd swój tłumaczy:

— Przepraszam WcPaństwa Dobrodziejstwa, iż nieznajomy najeżdżam Ich dom: ale dałem słowo pani Leokadyi, iż gdziekolwiek ona będzie, to ją odwiedzę, jako moją najlepszą przyjaciołkę i dobrodziejkę, bo od młodości dawała mi dowody przyjaźni, i radą światłą mnie wspierała. I dla tego wróciwszy temi dniami z dóbr moich

z Krzemienia, już nie pojechałem do drugich moich posiadłości na Ukrainie, ale prosto tu jadę. Lecz jakażto śliczna tutaj okolica! co za piękny kraj! jaki peizaż! Prawdziwie, iżby się tu chciało żyć i umierać!

Pan January, zebrawszy ducha, i głos wewnętrznie ku perorze dostroiwszy, odrzekł:

— Za zaszczyt sobie poczytuję, powitać Pana Hrabiego w naszym domu, i winniśmy to szczęście, czyli ten zaszczyt, kuzynie naszéj pani Leokadyi, która raczyła rozweselić cichość naszą wiejską miłym swoim pobytem. Pragnę, abyś Panie Hrabio pod naszą szlachecką strzechą znalazł miły odpoczynek po nużącéj podróży, i abyś zasmakowawszy... upodobawszy sobie,... chcę mówić, lubując sobie w naszym górskim kraju, tak prędko go nie opuszczał.

— O ile tylko interesa moje liczne i czas mi pozwolą, to będę korzystał z tak łaskawego i uprzejmego pozwolenia zacnych Gospodarstwa i pobyt mój przedłużę.

— No, powiedz mi Kochany Hrabio! (rzecze pani Leokadja) Cóż tam nasi porabiają we Lwowie?

— Ah, wszyscy ogólnie żałują, żeś Pani Lwów opuściła! Całe wyższe społeczeństwo tak przejęte czcią dla cnót twoich Pani,

i dla rzadkich przymiotów twéj duszy, że tam jest powszechna po Tobie żałoba! Tak Cię w salonach brakuje, tak się zdaje pusto, że właśnie mówiłem z przyjacielem moim, księciem T..., który wiedząc, iż w te strony wyjeżdżam, kazał Ci Pani złożyć hołd swego uszanowania, i oświadczyć żal, żeś Lwów osierociła przez twój nagły wyjazd.

— Trudno! interesa (rzecze p. Leokadja).

— Ale cóż tam interesa!! wszakże wiesz Pani, ile Ci winienem wdzięczności, chętniebym więc...

— Ah! nie chcę! nie chcę, Kochany Hrabio! Ja myślę, iż przecież moja sprawa inny obrot weźmie!

— Oczywiście! i nawet wszyscy tak utrzymują. Słyszałem, iż strona przeciwna chce się godzić!

— Oh! ja zawsze jestem pierwszą do zgody i pragnę wszędzie wnieść szczęście, pomyślności i pokój. Oh mój Hrabio! jakże się cieszę widzieć Cię tutaj!! Daj mi rękę, mój dobry i dawny Przyjacielu! A cóż w twych dobrach? Czy kontent jesteś z twego plenipotenta?

— Dosyć zdaje się dobry człowiek. Ale to gorsze, iż mój stryj kochany słaby, boję się o niego!

— Zapewne, iż on nie długo-wieczny, bo ma duże lata; opłaczesz go szczerze Panie Hrabio, temu wierzę, bo go kochasz, ale będziesz miał czém łzy otrzéć!

— Nie tak wiele tam jest fortuny, jak mówiono. — Jego majątek nie przenosi półtora milliona. — Lecz my mówimy o interesach, a taka rozmowa szanownych gospodarstwa nie może obchodzić. — Przepraszam państwa za to zapomnienie się, ale panią Leokadją uważam za matkę, przeto jéj spowiedź robię na wstępie. — Czy państwo częste macie relacye z Krakowem?

— Dość częste (rzecze pan January) Ja bywam raz w rok na kontrakty w terminie świętojańskim, bo mając część fortuny w znacznych kapitałach, muszę lokować, odbierać, procenta obliczać, a to się przez żadnego z moich rządców uskutecznić nie da. — Posyłamy też i w ciągu roku po różne bakalija do domu, a szczególniéj w zimie przed karnawałem.

— Właśnie miałem zamiar odwiedzić teraz Kraków, o którym tyle słyszałem z punktu naukowego i historycznego (rzecze hrabia).

— Nie życzę teraz jechać Hrabiemu, bo drogi złe, a od nas cesarskiego gościńca niéma. O wypadek nie trudno! a potém

Pan Hrabia, jako filozof, to się tam już niczego więcéj nie nauczysz, bo jedno miasto tak jak i drugie, tylko jedno mniejsze a drugie większe.

— Właśnie też Mości Dobrodzieju, dla mnie, jako dla filozofa, to fizognomija miasta nie jest rzeczą obojętną...

— Ej, co tam Hrabio o fizognomiją. Co do tego, to są tak jak i wszędzie ładne i brzydkie! Czasem na wsi, to się doprawdy piękniejszą znajdzie fizognomiją! bo to świeże, bo to zdrowe, a w mieście twarze blade jak postne placki!

— Co do piękności oblicza, to nie przeczę, i obraz właśnie takich wdzięków świeżych a uroczych widzę tutaj! (rzecze Hrabia spojrzawszy na Zosię).

— Nadto łaskaw jesteś Hrabio! (odpowie z lubym uśmiechem pan January). Takto tam, chowamy jedynaczkę, jak w pudełku, bo téżto jedyna pociecha nasza.

Zosia oczy spuściła, zarumieniła się i po chwili wyszła, bo pomimo prostoty jéj ducha czuła, iż ta głośna pochwała jéj wdzięków ze strony gościa, który dopiero w dom zajechał, mniéj była stósowną. P. January przygryzał wargi ze złości, iż córka jego zamiast pozwolić rybie połknąć wędę, do-

rywczo ją zerwała, i długo odchodzącą ścigał okiem, jakby pragnął oczami ją cofnąć lub przytrzymać. — Pani Leokadja zaś ruch ten zrozumiawszy, rzekła :

— Zażenowałeś Hrabio naszą gwiazdeczkę, Zosiunię, zbyt szczerą pochwałą.

— Przepraszam najmocniéj (rzecze hrabia) za tę otwartość, która mogła obrazić anielską skromność panny Zofii, ale mi się ta pochwała najniewinniéj wyślizgnęła z serca, bo uderzony jéj wdziękiem świeżym i piętno anielstwa noszącym, musiałam uzewnętrznić, głębokie wewnętrzne poczucie. Nigdy żadna piękność takiego na mnie nie uczyniła wrażenia, a przecież nasz Lwów w piękności obfituje...

— No, no, Hrabio (rzecze p. Leokadja), abyś mi się tu zaś nie pokochał, boby dopiero po tobie piękności Lwowskie nosiły żałobę. —

— Cóż z tego, choćbym się pokochał, skorobym zapewne nie znalazł wzajemności.

— I za to nie ręczę, (doda z przygryzkiem pani Leokadja) bo my tu na wsi nie tak łatwo sercem naszém szafujemy, jak w mieście. — Trzeba tu iść po palmę zwycięztwa przez ciernie i głogi!

Pan January słuchał téj rozmowy z na-

tężoną uwagą i chciał zrozumieć doniosność każdego wyrazu, i często téż bystrym wzrokiem przeszył Leokadją, badając, czyją stronę w téj rozmowie trzyma?

Przyniesiono kawę, jako przedsmak niechybnéj wieczerzy, która się dzisiaj spóźni, gdyż uczta została powiększona kilką półmiskami, a mianowicie legominą, która palić się będzie arakiem, jako godło płomiennych uczuciów, wybuchnąć mających. —

Dalsza rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych, i może słabnąć zaczęła, bo pan January miał tylko jeden cel na myśli, kiedy ją ożywiła pani Leokadja wspomnieniem o kuligu, który niedawno miał miejsce.

— Ah! jakbym pragnął (rzecze Hrabia) uczestniczyć takiéj zabawie, prawdziwie narodowéj, a wzniosły szlachecki obyczaj malującéj! Jak zabawa ta różną być musi od naszych nudnych balów, które mi się już tak uprzykrzyły, iż tęsknię za bliską możnością obsiedlenia się na wsi, a tam wznowię wszystkie staropolskie zwyczaje. Bo te wszystkie cudzoziemszczyzny, francuzczyzny, to nas zabijają. Przyznam, iż pomimo socyalnéj mojéj pozycyi, która mnie węzłem przyjaźni łączy z najpierwszemi wielkiego świata figurami, chciałbym na wsi spokojnie

cichutko mieszkać, a tylko raz w rok pojechać do miasta, stósunki odnowić i utrzymać, a czémprędzéj wracać do gospodarstwa. Oh! bo gospodarstwo, to grunt! to nam chléb daje, — ogólne bogactwo pomnaża, a razem i rodzinie zapewnia wysokie w świecie stanowisko. Takie jest przynajmniéj moje zdanie, a nie wiem, czyli go Państwo Dobrodziejstwo podzielacie?!

— Oh! Panie Hrabio! (odrzeknie pan January) zbudowanym jestem i uniesionym słyszeć tak światłe, mądre i zdrowe zdania z ust osoby wysokiego znaczenia i dystynkcyi. Gdyby wszyscy nasi panowie takie wyznawali zasady, toby się u nas i rolnictwo podniosło, i fortuny wzmogły. — Ale niestety! Pan Hrabia jesteś wyjątkiem, chociaż tém szacowniejszym, iż możesz dać dobry przykład innym obywatelom! Wielu bierze wzór z możnych panów, więc dalejże i ubożsi za nimi w tropy, choć ani prawa, ani majątku, ani światowego wykształcenia nie mają. — Ale gdy ty Szanowny Hrabio jako personat i z imienia i z majątku osiądziesz na wsi, a zaczniesz gospodarować i świecić przykładem dawnych obyczajów, to całą okolicę —- ba! co mówię okolicę!! kraj cały nauczysz rozumu i za swym śladem powiedziesz. Chwalę twój zamysł panie Hrabio! chwalę i uwielbiam!! Ale cóż cię do téj chwili wstrzymało, jeśli mi się godzi zapytać, od spełnienia tak wzniosłych zamiarów?

— Jedynie troskliwość o zdrowie mego ukochanego Stryja (odpowie Ernest), który dla chroniczn éj słabości przymuszonym jest w mieście mieszkać bliżéj doktorów i wszelkiéj innéj pomocy. — Nieraz po całych dniach i nocach przy nim przesiedziałem, pielęgnując go i pocieszając, bo któż ma rodziców i starszych otaczać troskliwością, jeżeli nie my młodsi, którzy ku temu posiadamy i siły i zdrowie?...

— Proszę? (rzeknie rozrzewniony pan January) to są bardzo piękne i wzniosłe sentymenta — prawdziwie budujące i wszelkiéj czci godne. —

— Jużto ja mogę zaświadczyć (doda pani Leokadja), iż hrabia był zawsze bohatyrem poświęcenia! Zawsze przy łóżku, zawsze pełen usłużności, zawsze gotów!

— Uwielbiam, prawdziwie uwielbiam, takie podniosłe przymioty, (powtórzył pan January). —

Dano wkrótce wieczerzą, przy któréj już lepsze wystąpiły wina, jako świadki

zamożności, ładu domu, a także dawności rodziny. Pan Ernest, chwalił, podziwiał, ale mało pił, twierdząc, że stare wino nie jest dla młodych, którzy się raczéj chłodzić jak zagrzewać powinni. — Tę uwagę potwierdził żartobliwie pan January, chociaż wewnętrznie, nie byłby rad, gdyby się hrabia chłodził lub ostudził. — Pan Ernest często się tkliwie na Zosię spoglądał, a pan January każde spojrzenie nadziewał na nitkę swoich nadziei, i także mimowolnie grube swoje wargi we wdzięk miłosny układał. — Pani Barbara, była zimno-uprzejma, Zosia była albo smutną, albo zaczepiona uprzejmém słowem, odpowiadała kwaśnym lub nawet pogardliwym uśmiechem; a co się tyczy pani Leokadyi, ta wszystkich czytała wzrokiem, i wedle szczegółowych spostrzeżeń, plan sobie układała. Po wieczerzy, parę chwil spędzono na wspólnéj rozmowie, a potém prosiła pani Leokadja, aby jéj wybaczyć, że ich opuści, gdyż się ma poufniéj rozmówić z Hrabią o lwowskich interesach i przyjąć także zwierzenia od swego przybranego synka. Pan Hrabia się więc poważnie, ale uprzejmie pokłonił, raz jeszcze na Zosię spojrzał i wszedł za panią Leokadją do jéj pokojów. —

Tam więc zdradziecka para zasiadłszy kanapę, z wszelką swobodą rozmawiać poczyna.

— No cóż Ci się Hrabio zdaje? i czy mógłbyś się do niéj przyzwyczaić?

— Świeża dziewczyna, ale na tém koniec. Mnie wszakże wszystko jedno,... czy brzydka czy ładna, prosta lub garbata, głupia lub mądra, byle miała fortunę. Z każdą się ożenię, bo mi nie o żonę chodzi, tylko o pieniądze.

— Oczywiście (odrzekła pani Leokadja) żona to jest tytuł dzieła, ale nie dzieło, to prosta firma na sklepie. W czém cię atoli winnam pochwalić, iż rolę swoją odgrywasz doskonale. Co ojca, to już Hrabio posiadasz z duszą i z tém grubém ciałem. — Matka się stawia, ale pod naszą przemocą ulegnie; co zaś do panny, ta mi się zdaje najtwardszą, ale tu ona zmięknie pod wolą ojca i matki. — Fortuna jest million wynosząca; tak więc zrobimy, iż ty weźmiesz dobra, a mnie w dożywocie oddasz kapitały. Nie wiele od ciebie żądam, bo one tylko pięćdziesiąt tysięcy reńskich wynoszą. —

— Kiedy mnie właśnie potrzeba nieco gotowego grosza, bo jeśli 3,000 złr. nie zapłacę w maju, to mnie do kozy zamkną. —

— No, mniejsza o to Hrabio, to ci pożyczę potrzebną do wykupienia wexlu sumę, którą mi z intrat Podgornego wypłacisz, albo będziesz mnie żywił w procencie. — Moglibyśmy to spisać co mówimy, aby żadnéj potem między nami nie było kwestyi.

— Dobrze szanowna pani! napisz, a ja podpiszę. — Lecz to można uskutecznić późniéj, a teraz naucz mnie pani, jak się mam daléj prowadzić?

— Czy ciebie uczyć potrzeba kochany Hrabio! Ty najpierwszy dyplomato, w obszernem państwie miłości! Udawaj coraz więcéj zachwyconego wdziękami tego polnego kwiatka, a potém kochaj się, jeśli potrafisz, i będziesz się deklarował, ale to wszystko w kilka dni trzeba skończyć, aby czémprędzéj dać na zapowiedzi, potém wziąść ślub i wyjechać, a mnie tu zarząd i rugowanie rodziców zostawić. — Pani Barbara, stawiła mi się tu przed kilką dniami, jako prawodawczyni, ale ja jéj tu za to dam uczuć moją despotyczną władzę i pozna, jaka jest siła w światowym tonie i wyższém wychowaniu — Będzie musiała biedaczka paradować na folwark.

— Wystawiam sobie, jak to pójdzie energicznie i jak stara będzie manatki zbierać (odrzeknie hrabia). —

— Teraz powiedz mi kochany Hrabio, zkądże wziąłeś pieniędzy na podróż? bo przewidywałam tę trudność.

— Jak zwykle, pożyczyła mi, czy dała, tego nie wiem, ta moja głupia wdowa, która myśli, że się w niéj szalenie kocham. —

— I ty utrzymujesz ją w tém złudzeniu? Przewybornie! Ja téż mówiłam mojéj Femci, że hrabia ma rozum, to sobie da radę. —

— Oh! ja miałem jeszcze inny sposób. Oto ten nauczyciel muzyki, ten poczciwy głupiec, wiesz R...... odjeżdżając powierzył mi swój fortepian, więc na wszelki przypadek mógłem go zastawić; lecz się bez tego obeszło. —

— Zapewne że lepiéj, bo nigdy nie trzeba wszystkich na raz środków wyczerpywać, które się mogą przydać na późniéj. —

— Już musi być pożno, więc cię dzisiaj muszę pożegnać szanowna Pani, racz zaś przygotować wzajemną między nami umowę, a chętnie ją podpiszę, czyniąc ci słuszny udział z majątku tych państwa, o których córkę ty właściwie konkurowałaś. — Bawi mnie ten cały układ, ale znajduję go sprawiedliwym. — C'est dans l'ordre des choses

(rzeknie pani Leokadja) A więc, dobra noc ci kochany Hrabio! et demain, faites Vous beau! —

Po drugiéj stronie domu poczciwsza ale smutniejsza toczyła się rozprawa! Pan January nie tylko ucieszony, ale i dumny z przyszłego swego zięcia, stanął jako zwycięzca w pośrodku pokoju i rzekł:

— Tak, to rozumiem, i takiemu człowiekowi, to nie żal oddać córkę i fortunę! to nie taki hołysz jak Stanisław! Przytém przystojny, przyzwoity! ułożony! a do tego jak szczytne ma zasady!! Prawdziwie, iż słuchając go, zdawałoby się, iż się jest na kazaniu! No, przyznam się, iż nam odpłaciła pani Leokadja te liche paręset reńskich i łyżkę rosołu, jaką jéj ofiarujemy, bo wybrała mi zięcia do gustu! Mądra kobieta! zna świat, zna ludzi, i ona właściwie jest twórczynią tego dzieła, bo gdzieżby hrabia był wiedział, że jest jakie Podgórne na świecie?... Ale co panna Zofija, to mi się wcale nie spisuje; i zamiast być dla ciotki wdzięczną, a przecież kawalerowi ile tyle się przymilać, to udaje jakąś znudzoną damę;... kryguje się — półgębkiem odpowiada, a nawet zadąsana z pokoju wychodzi!! To sensu żadnego niéma!! to jest głupstwo!! i bardzo

proszę, a nawet przykazuję, aby mi tego więcéj nie robić!! panna powinna być skromną!... ani słowa! Ale wszystko ma swoje granice, i jeśli posuwa tę skromność aż do takiéj przesady, iż sobie konkurenta odstręcza, to popełnia grzech. Bo powołaniem panny i wszelkiéj niewiasty jest iść za mąż, przeto téż cała sztuka jest na tém, aby wydać się za człowieka przyzwoitego i tantnego, a nie za hołysza, broń Boże! Ztąd: gdy się trafia konkurent, któryby się mógł posunąć o rękę księżniczki, to powinna panna mieć sobie za szczęście, i do niego albo dygnąć, albo się przymilić, albo oczek przymrużyć;... słowem tak, jak to wszystkie panie umieją! — Ale Zosia to przeciwnie; nosa spuści, albo jeżeli się uśmiéchnie, to z taką pogardą, że aż w pięty pójdzie. — Takim sposobem żadna panna sobie męża nie przynęci, i prawdziwie, iż się obawiam, aby i hrabia widząc że nie doznaje wzajemności, po prostu nas na koszu nie zostawił. — Uważam zaś, że dotąd mile na Zosię spogląda, i pożegnał ją tak tkliwym uśmiechem, że aż mnie się miło w sercu zrobiło. — Oh, moja Zosiu, gdybym ja się mógł kochać za ciebie, tobyś widziała, jak prędko byłby hrabia w moich sidłach!

— Ale mój Tatko (rzecze Zosia), kiedy ja go nie kocham, on mi się nie podoba, czuję do niego odrazę.

— Co-to jest „Nie kocham“? Ja takiego wyrazu w młodéj panience ani rozumiem, ani chcę drugi raz z ust twoich słyszeć!! Każda panna powinna mieć serce do miłości skłonne, témbardziéj, jeżeli kochanek jest człowiekiem przystojnym i majętnym. Spytaj się twojéj matki, jak zaraz była dla mnie skłonną, i jak mile od drugiego razu, com do niéj zajechał, na mnie spoglądała? Gdyby nie to i nie namowy ludzkie, tobym był, Bóg widzi, ani postał trzeci raz w ich domu. Temu zaś nie wierzę, iżby ci się hrabia nie podobał, kiedy się mnie staremu podoba. Wysoki, wysmukły, a jednak pleczysty, brunet z czarném okiem i ściągłym nosem, w ustach przyjemny, znaków szczególnych nie ma żadnych, jakże ci się więc może nie podobać? A potém, mniejsza już o jego wdzięki i przymioty, lecz przecież Krzemień i Bandurowo najgłupszéjby się pannie spodobały, i może dobra te warte trochę więcéj, jak plebański folwarczek pana Stanisława, na lat trzy wydzierżawiony i to za czynsz płatny z dołu. Lecz niéma o czém mówić, ani dysputować, ja

jestem jako ojciec panem twego serca, a więc chcę i rozkazuję, abyś począwszy od jutra, hrabiego kochała, i twéj miłości dawała mu dowody w uprzejmém obejściu i miłéj rozmowie, uśmiechu, przymileniu! Nie prawdaż Basiu?! Powiedz moja żono! że przecież tak wypada...

— Zapewne mój mężu (rzecze pani Barbara), ale panienka nie powinna nigdy nadto uczuciów swoich okazywać, a tém bardziéj w pierwszych chwilach!... Potém,... to nie mówię!!...

— Cóż tam potém!... Jak hrabia wyjedzie, to dopiero przyjdzie jéj żal po niewczasie, i będzie rada kochać, a tu już nie będzie kogo!! Najlepiéj odrazu pana brata zachaczyć i już trzymać.

— Ale mylisz się mój mężu! bo nic tak mężczyzny nie odstręcza, jak zbytnia łatwość w kobiecie! Serce jest towar, z którym się trzeba drożyć, chociażby się je tanio sprzedać miało; bo kupujący mało sobie ceni czego nie wytargował i drogo nie opłacił. Zosia więc, chociaż z takich zapewne nie robi pobudek, to jednak trafnie robi, iż się trochę stawia.

— To są babskie fortele (rzecze pan January), które się nie udają, i dlatego tyle

starych panien siedzi, wołając zmiłowania Bożego! — Ja powiadam, że gdy się towar zbyt drogo zaceni, to kupujący idzie do innego sklepu, gdzie taniéj dostanie, i kwita. —

— Mój Tatko! jeśli tak, to i lepiéj, bo mniejsza o takiego kupca!

— A trafi się lepszy?... co... Masz go w pogotowiu?... Wytrzęsiesz mi go z rękawa z Krzemieniem i Bandurową? tytułem i dystynkcyą? ze starym bezdzietnym stryjem? To fenix — fenix, mówię: to jest los szczęścia, trafunek! Opatrzność Boska, i tak, jakbyś skarb na rozstajnych drogach znalazła. Ty tego nie rozumiesz, bo ty jesteś dziecko, ale moja kochana, ja wiem najlepiéj, iż na całym świecie co Pan Graf, to Pan Graf, a więc i Pani Grefina ma wielkie znaczenie. Pójdziesz np. gdzie, dajmy na to do Sącza, to zaraz w oberży i w sklepach, mówią ci: „Pani Grefina.“ Doktor tak samo ci mówi!... Piszą do ciebie list, to już „Jaśnie Wielmożna Hrabina Ernestowa, z domu taka a taka!“ To moje dziecko zupełnie inne ma znaczenie, jak Wielmożna, albo gorzéj Jejmość Pani.

— W tém, to ojciec ma racyą, moja Zosiu (rzecze pani Barbara), zawszećto lepiéj Jaśnieć na tym świecie.

— Ej, moja Mamuńciu! wolę na tamtym świecie jaśnieć, jak na tym. A zabiłabym duszę, gdybym poszła za męża, którego nie kocham, a nawet nienawidzę.

— Hola! hola mościa panno! Kiedyż ci to tak ząbki urosły, abyś się rodzicom twoim odgryzała? Abyś śmiała powiedzieć, iż nienawidzisz człowieka, który się rodzicom podoba?! Widzę dobrocią z tobą nic nie wskóra, więc się weźmiemy do środków przymusu, i dlatego mówię ci w téj chwili stanowczo i solennie: Iż gdy się hrabia o twoją rękę oświadczy, to cię za niego wydamy, i ty ślubować mu musisz, bo ja Krzemienia i Bandurowa na drodze nie znajdę, a u mnie rachuba grunt. Reszta jest dobra, ale przy majątku; a bez majątku jest głupstwem.

— Mój Tatko (rzecze Zosia), ja rozkazom rodziców nawykłam być posłuszną, więc nic więcéj nie powiem, ale mam przekonanie, iż nadejdzie chwila, że sami Rodzice uznają, iż miałam racyą, a od związku z Ernestem odwodzić mnie będą.

— Tak jest! (odpowie ojciec) nadejdzie

chwila na święty nigdy! Idź oto spać! bo pleciesz jak przez sen, a sama nie wiesz co!

— Oj! wiem Tatko, a późniéj to się i Tatka dowie!!

— No, mniejsza o to co późniéj, a teraz słuchać i czynić, co rodzice każą!

Mija dzień, drugi, trzeci, hrabia gra rolę swoją przewybornie. Dla rodziców jest zawsze z głębokiém uszanowaniem, a dla Zosi z coraz wyraźniejszém i tkliwszém uczuciem. Pan January już się nie posiada z radości, oprowadza go po gospodarstwie, a skrytki nawet w kantorku otwiera i pokazuje. Powiada, gdzie zamurowany antałek Maślarza na dzień ślubu Zosi, i gdzie stara śliwowica w pieczarach małéj piwniczki pokutuje od dawna. Zwierza się interesów, na straty narzeka, ale wkrótce pocieszy podwojonym zyskiem; słowem otwiera przyszłemu (zapewne) zięciowi nietylko tajemnice rodzinne, ale również sekreta szkatuły. Hrabia o interesach słucha obojętnie, udając, że jest zupełnie bezinteresownym; lub téż, iż mu nie chodzi o tę kroplę wody, która ma wpłynąć do rzeki. Taka szlachetność bardziéj jeszcze pana teścia zniewala i w pewien wprawia podziw, ale sobie tłumaczy, iż Ernest filozof, więc jest wyższym

od mamony, i skarby nogą pomiata. Łatwo sobie wystawić, jak się pan January w Erneście pokochał, jak za daną sposobnością w dwa ramiona go całuje, jak się mizdrzy do siostry, pani Leokadyi, która tryumfując, na swe dzieło patrzy, i tylko upatruje chwili porwania duszy do piekła. Temu się wcale dziwić nie będziemy, bo tak być musi; ale rzecz dziwniejsza, iż pani Barbara także w wilczy dół wpadła. I ona pomimo rozsądku, pokory i przezorności matkom tak właściwéj, dała się usidlić i całém już sercem przylgnęła do hrabiego. Już i ona swéj córce gorżkie czyni wymówki, iż szczęście takie odpycha, gniewa się na nią, że dla ciotki jest zimną, a dla hrabiego niegrzeczną. Słowem, pani Barbara, chcąc błędy córki poprawić, przesadza się w uprzejmości dla pana hrabiego. Ze stołka pędzi go na krzesło, z krzesła na kanapę, a mili się, usta sznuruje, i cienkim, a pieszczotliwym głosem do niego przemawia.

Pani Leokadja, widząc, iż owoc jéj starań dojrzewa, nie mogła już dłużéj wstrzymać rozwiązania, ale w imieniu hrabiego, który w téj chwili był wyszedł, rodziccm pali oświadczenie w tych słowach:

— Wiadomo Braterstwu, iż najpoufalsza od dawna przyjaźń łączy mnie z hrabią Ernestem, tak jak téż z drugiéj strony stósunki pokrewieństwa łączą mnie z wami. Uważał więc hrabia, iż najstósowniejszém będzie moje pośrednictwo w prośbie, którą on do was, najmilsi Braterstwo, zanosi o oddanie mu ręki waszéj córki, a naszéj kochanéj Zosi. Wierzajcie mi, iż tylko wdziękami tego anioła ujęty, poświęca jéj pierwszy kwiat swojéj miłości. Jako filozof, nigdy nie kochał, ale i filozofa piękność waszéj córki, jéj dobroć i cnoty ujarzmiły! Otóż od waszego wyroku teraz szczęście i los dwojga ludzi zależy!... Orzekajcie!!

Pan January słuchał téj deklaracyi z głęboką uwagą i z rozczuleniem, oczy w dół spuścił, a sygnet na palcu spiesznie obracał, któryto ruch mechaniczny miał mu natchnienia do odpowiedzi przysporzyć; co zaś do p. Barbary, to ta, zakrywszy chustką oczy, rzewnie płakała, bo w takich razach matka najwymowniéj odpowiada łzami. W tych zaś łzach matczynych mieści się całe morze nadziei, radości, rozpaczy, niepokoju, pragnień, życzeń, błogosławieństw, szczęścia, trwogi, wiary i wątpliwości. Pan January postąpił parę kroków, i rzekł:

— Kochana i łaskawa Siostro Dobrodziejko! Wysokie przymioty duszy hrabiego Ernesta, które w nim poznaliśmy i cenimy, zaręczają nam szczęście jedynego naszego dziecka! Twoje zaś do nas przywiązanie, którego dałaś nam dowód, przyjmując gościnność pod naszą strzechą, tém bardziéj nam tę rękojmią powiększa i stwierdza. Ztąd téż, co do nas rodziców, chętnie na ten związek pozwalamy, a zapewne i nasza córka, ujęta przymiotami hrabiego, a powolna życzeniu rodziców, serce swoje ku hrabiemu Ernestowi skłoni.

Po téj zaś odpowiedzi, powtórzoném ręki pocałowaniem i braterskiemi uściskami wynurzał pan January wdzięczność swą pani Leokadyi, a pani Barbara, rzuciwszy się w objęcia zdradliwéj kobiety, ze łkaniem jéj dziękowała.

Przywołano hrabiego Ernesta. Pani Leokadja uroczyście oświadczyła, iż deklaracya przez rodziców została przyjętą. Hrabia Ernest ucałował ręce pani Barbary i pani Leokadyi, a także do ręki pana Januarego się schylił, kiedy ten, objąwszy go w pół, ściskał najserdeczniéj po ramionach, po twarzy i głowie, a wzdychał, i aż się zmęczył, tak go wycałował.

— Szczególne się to cuda dzieją na tym świecie (rzekł pan January). Ktoby się był spodziewał?... I proszę?... W tak krótkim czasie, jakby z procy wystrzelił!! A co na to powiedzą sąsiedzi?... Pan Cyryl!! Lecz teraz Kochany Hrabio, a mój przyszły zięciu, potrzeba, abyś jako z panną pomówił. Z naszéj strony masz zapewnienie, a nie wątpię, iż Zosia pójdzie i za uczuciem własnego serca i za naszém życzeniem, tém bardziéj, że ja coś jakoś po tobie miarkując, do tego ją przygotowałem.

— Najlepiéj ją tu przywołać, Kochani Braterstwo (rzecze pani Leokadja), i tu jéj się zapytać. Zwykle tak się robi w sferach wyższego świata.

— Dobrze i tak, (odpowie pan January, i poszedłszy po Zosię, rzekł jéj w drugim pokoju:) No, Zosiu, rzecz już skończona, i targ o ciebie stanął, a teraz popisz mi się gracko!

Zosia zbladła, ale z dwóch jéj źrenic błysnął ogień woli i silnéj decyzyi, tak jakby w oku rycerza przed śmiertelną walką. — Pan January przywiódłszy Zosię do pokoju, w te się do niéj odezwie słowa:

— Nie wątpię, moja córko, iż wysokie cnoty, zasługi i dystynkcya hrabiego, a razem

uprzejma i miła jego fizys, skłoniły ku niemu serce twoje, tak jak ty niewinnością uczuciów i darami, jakiemi cię natura obdarzyła, zajęłaś serce hrabiego. W téj chwili hrabia po deklarowaniu się nam, otrzymał od nas przyrzeczenie ręki twojéj, i żąda tylko z ust twoich potwierdzenia, iż chętnie losy twoje z jego losami połączysz! Wyrzeknij więc, że tak jest, i podaj twojemu narzeczonemu rękę!!

— Nie! moi Rodzice!! Pomimo posłuszeństwa jakie mam dla was, pomimo przywiązania i wdzięczności jaką ku wam przejętą jestem, świętokradzkiéj przy ślubie nie złożę przysięgi!! Ja hrabiego nie kocham i nigdy kochać nie mogę!!

— Jakto śmiesz zuchwała córko takie rzeczy mówić, i szczęście twych rodziców i własne nierozważném słowem rujnować? Ja ci każę i sam cię do ołtarza przywlokę, i musisz, bo wiem, iż mi po ślubie za ten gwałt rodzicielskiéj powagi podziękujesz!... Niech Cię to Hrabio Erneście nie zraża, na Boga Cię zaklinam, bo to panieński upór!

— Nie upór (rzecze Zosia), ale stałe postanowienie, i jeżeli mnie się rodzice gwałtem chcą ze swego domu pozbyć, to niech raczą odwieść mnie do klasztoru.

— Ah, Zosiu! (krzyknie boleśnie pani Barbara) nie zabijaj matki twojéj! Miéj litość nad starymi rodzicami!

Zosia upadła do nóg matki, i oblewając je łzami, oderwać się od nich nie mogła; a pani Leokadja z wyrazem zimnym twarzy, a z oczami miotającemi zabójcze pioruny, powtarzała:

— To są panieńskie romanse, wiejskie androny; to sie przezwycięży.

Pan January zmieszany, wystawionym był na najtwardszą walkę; bo jednak żal mu córki, a znowu żal mu zięcia z tytułem hrabiego i z kluczem Krzemień i Bandurowo. Więc się przebiega od córki do Ernesta, i od Ernesta do córki, a w końcu zwraca się do pani Leokadyi, błagając, aby radziła.

Pani Leokadja poważnie rozparta w kanapie, tak mówi:

— Cóż tu radzić, kiedy córka uparta, a rodzice słabi. Skoro panna Zofija woli iść do zakonu jak za pana Ernesta, to dobrze. Będzie chwalić Boga i może zostanie świętą!... Jabym, na waszém miejscu będąc,... pozwoliła.

— Ah, Siostro (zawoła pani Barbara)! Jak téż można tak dorywczą dawać radę? Widać, że nie jesteś matką!! Gdyby moja córka chciała iść do zakonu, wiedziona powołaniem, tobym moją tęsknotę ofiarowawszy Bogu, chętnie ją poświęciła. Ale abym ją sama za furtę klasztorną wtrącała z powodu, iż nie kocha tego, któregośmy jéj za męża wybrali, toby była tyranija i zbrodnia z naszéj strony!

Zosia, uspokoiwszy się nieco z gwałtownego wzruszenia, stanęła wśród rodziców, prosząc o jednę łaskę, a ta jest: aby zaraz posłali po księdza dziekana i po pana Cyryla, jako najbliższych przyjaciół domu, a ona weźmie decyzyą, jaką rodzice jéj wskażą. Robiono jéj uwagi, że to niepotrzebne, upornie odradzano, ale Zosia prosiła, jako o jedyną, a może już ostatnią łaskę, przeto ojciec się przychylił, matka się łatwiéj jeszcze skłoniła, a pani Leokadja myślała, iż chodzi o decyzyą wstąpienia do zakonu, więc jéj to było obojętném. Hrabia zdawał się być tą sceną zniecierpliwionym i żałował może, iż źle swój skok rozmierzył, wpadając w awanturę, lecz i tak nie tracił fantazyi. Zosia odeszła do swojego pokoju, łkając i drżąc od wzruszenia; a pan January z krótkiém wezwaniem posłał powóz i bryczkę na dwie strony, po księdza dziekana i pana

Cyryllego! Tymczasem dano obiad. Zosia nie przyszła, i w swoim została pokoju. Pan January gości do stołu zaprosił, sam téż usiadł, ale był smutny. Pani Barbara nic nie jadła; lecz pani Leokadja i hrabia jedli z apetytem, pomimo przebytych wzruszeń. —

Wkrótce po obiedzie przerwali ponure milczenie przybyli goście, tojest ksiądz dziekan i pan Cyryl. Obaj się w bramie zjechali, zdziwieni tém równoczesném spotkaniem, a ciekawi owego pilnego interesu. Wchodzą z wesołą miną, ale nie są wesoło przyjęci. Pan January przedstawia ich pani Leokadyi i hrabiemu Ernestowi, a po krótkiéj chwili do osobnego pokoju wiedzie i długo rozprawia, opowiadając cały wypadek i prosząc, aby na decyzyą Zosi wpłynęli. Wreszcie weszła pani Barbara, oznajmując, iż Zosia bardzo uprzejmie zaprasza panów i ojca do siebie. — Idą więc państwo Januarowie za księdzem dziekanem i panem Cyrylem, a ksiądz dziekan pierwszy zapytał? —

Cóż to Zosiu?... Serduszko w kłopotach?...

— Ah to nie serce, ale sumienie w kłopotach! (odrzeknie Zosia) Rodzice w życzliwości swéj dla mnie chcieli mi świetny los zapewnić, bo niedostrzegłszy zasadzki i zdrady, sobie i mnie gotowali nieszczęście. Że jednak kobieta podstępna i przewrotna potrafiła zyskać zaufanie najgodniejszego mego ojca i każdą mu rzecz wytłumaczyć, a przywiązanie nawet do córki osłabiać, przeto bałam się bez wsparcia najlepszych naszych przyjaciół rzecz całą wyjawić. — Teraz dla usprawiedliwienia się przed rodzicami i przed przyjaciołmi z mego uporu i nieposłuszeństwa, wyznać muszę, iż posiadam w ręku dowody, świadczące że pani Leokadja była najfałszywszą naszą przyjaciołką, a ów bogaty i cnotliwy hrabia jest bankrut, przez społeczeństwo lwowskie zaledwie tollerowany.

— Fałsz! (rzeknie pan January). Jest on dziedzicem klucza K r z e m i e ń i B a n d u r o w o, człowiekiem bogatym i najuczciwszym! Nie pozwolę nikomu szarpać sławy przyszłego mego zięcia!

— Proszę Księdza Dziekana czytać (rzecze Zosia). Jestto list pani Leokadyi, pisany ztąd do hrabiego, a znaleziony przezemnie na ścieżce ogrodu. —

— Przebóg! (rzecze Ksiądz Dziekan, czytając list z uwagą). To potwór kobieta!! kry-

minał za mało!!... Czyliż ona nie wierzy w sprawiedliwość Bożą?... Mamże czytać głośno?...

— Owszem (rzeknie Zosia), bo Tatka nie wie, o co chodzi, a nawet matce się tego nie zwierzyłam, bojąc się, aby pani Leokadja rozpaczą wiedziona, gorszych występków się nie dopuściła. — W sercu więc mojém tylko śmiertelna odbywała się walka między obowiązkiem szczerości dla rodziców a tajemnicą konieczną. —

Ksiądz dziekan czytał, a pan January, ściskając obie dłonie, kiedy niekiedy tylko zawołał: „Ubiję zaraz tę babę!!" Bladł i siniał na przemian, a już dosłuchać nie mógł, lecz ciskał wzrokiem po kątach i ścianach, jakoby zemsty narzędzia chciał szukać! — Pan Cyryl go wstrzymywał i Zosia błagała, a pani Barbara klęknąwszy prosiła ze łzami: lecz pan January dziki wzrok po nich wodził, i jakby jego ducha myśl zemsty opętała, rwał się wychodzić dla zwiedzenia boju na noże, drągi lub stołki. — Wtém ksiądz dziekan podniosłym tonem mu zagroził, tak się odzywając:

Panie January! Jako kapłan Boży i pasterz zakazuję panu iść za własną krewkością i skalać się grzechem ślepéj i wściekłéj zawiści. — Bogu jednemu zostaw wymiar kary, a ty w duchu pokuty przyjm upokorzenie. Uwiodła cię rodzicielska pycha i chciwość, Bóg ci dał srogą przestrogę, ale was i wasze dziecię od nieszczęścia uchronił, nastręczając sposobność odkrycia zasadzki. Bóg więc był dla was miłosiernym, a przeto i wy miłosiernymi bądźcie dla nieprzyjaciół waszych. — Oddalić te osoby natychmiast z domu należy, ale nie wolno się dopuszczać najmniejszego gwałtu, bo to jest i prawu Boskiemu i prawu polskiéj gościnności przeciwne. —

Pan January ochłódł nieco po téj przemowie, jednak wargi mu się trzęsły i oko krwią mu zaszło, a pierś wzdymała się zemstą.

— Nie wytrzymam (rzecze on), i gdy ich spotkam, to za siebie nie ręczę. — Zdradę taką piekło tylko wyzionąć mogło, a więc ją piekłu powrócę.

— I zemsta (rzecze ksiądz dziekan) nie z nieba nam przyszła i Bóg jéj w sercach ludzkich nie zaszczepia. — Dla tego jeżeli Pan nie jesteś pewnym zwycięztwa nad sobą, to zdaj na nas tę sprawę, a my ją zała-

twimy, i wyprawimy panią Leokadją z jéj przybranym pupillem!

— Tak nie można (rzekł pan January), boby mogli myślić, że się ich boję. Pójdę sam i nic im nie zrobię, tylko ich za drzwi wyrzucę, z frauencymerami i manatkami.

— Oh najdroższi Panowie! (rzecze Zosia do księdza dziekana i pana Cyryllego) chciejcie łaskawie ojcu memu towarzyszyć, bo się lękam o niego.

— Bądź spokojną Zosiu (rzekną), nie opuścimy twego ojca. —

Poszli więc we trzech, a pani Barbara została się z Zosią i obie się modliły. — Zastają panią Leokadją po cichu ale spokojnie z Hrabią rozmawiającą o nowym zapewnie planie zdrady i podstępu. — Gdy pana Januarego spostrzegła pani Leokadja, ucichła, a ze słodkim pyta uśmiechem:

— Cóż Bratuniu? uspokoiła się już nasza gwiazdeczka Zosiunia? —

— Tak pani uspokoiła się (rzecze pan January), bo ona i my także nie będziemy mieli potrzeby patrzyć na taką intrygantkę, jaką ty jesteś, ani na godnego twych intryg wspólnika! Daję wam pół godziny czasu do wybrania się i opuszczenia mego domu; po

upływie bowiem terminu, każę was przez pachołków wyrzucić i do Sącza odprowadzić, zkąd szubpassem odstawieni będziecie do Lwowa!

— A to co? zkąd ta śmiałość? Hrabio czyliż się lżyć pozwolisz? Ah, źle mi, słabo! wódki kolońskiéj! octu!!

— Smoły tobie i siarki, nie wódki kolońskiéj (krzyknie pan January).

— Uspokój się, i nie przechodź granic przyzwoitości w wyrazach (rzeknie ksiądz dziekan).

— No, ja myślę i radzę wam moi państwo, (rzecze pan Cyryl) że gdy się z listu pokazało, iż jesteście oszusty, to nie czekajcie, aż wam się wezmą do skóry, ale sak und pak zrobiwszy, udajcie się w podróż. —

— Z jakiego się listu przekonano? (zapyta niby obrażony hrabia).

— No, z jakiego?... Wasze lepiéj wiesz z jakiego, boś go odebrał. — Jużci z tego, co tu mamy jego kopiją nieszczęściem zgubioną przez panią Leokadją, ale szczęściem znalezioną przez pannę Zofiją! No, niech mnie Wasze więcéj nie inkwiruje, bo ja nie lubię długo mówić!

— A komu to ośmielasz się pan mówić „wasze!“ (przerwał dotknięty hrabia). Ja żądam satysfakcyi!

— No, mój mości, tylko się nie kłóć, bo ja dyskussyi nie lubię, i jestem z natury flegmatyk, ale jak biję, to kości trzeszczą!

— Ah to rozbój! (krzyknie pani Leokadja).

— Zapewne, iż niéma tu co robić (odrzecze Ernest), ale ja ani grosza nie mam na podróż!

— Więc ja zastąpię (rzecze pan January) i oto tu składam sto reńskich, zanim przyjdą Waćpanu intraty z Bandurówki.

— Ah! jakże jeszcze barbarzyński jest na wsi obyczaj, (rzeknie Leokadja) grubiany, impertynenci; żadnego nie znają obejścia się z uczciwymi ludźmi! Cóżto za ton?! Wracajmy kochany Hrabio do miasta, gdzie nas świat lepiéj oceni. Lecz i ja jestem à court d'argent. — Sprowadzili mnie tutaj! sprzedałam meble za bezcen, i mam okropne straty, a któż mi je nagrodzi?

— Nie sprowadzaliśmy, ale abyś Pani miała o czém powrócić, to przyjmij 300 reńskich; razem więc cały tysiąc wyłudziłaś ze mnie — Nie żałuję, bom dość tanio odbył trudną szkołę.

Pani Leokadja wyszła do swego po-

koju, zapewne aby się wybierać na podróż, a hrabia tłomoczek tylko swój zapiął i już był gotowym. W pół godziny zajechał powóz, a ten sam Janek który woził list do Stanisława, wywiózł tą razą jego chybionego rywala z podstępną swatką.

IX.

Nauka poszła w las.

Chociaż po wyjeździe niepokojących gości, swobodniéj oddychano w domu państwa Januarów, to przecież w sercu rodziców zaległ moralny ciężar, który dręczył ich wspomnieniami doznanéj zdrady i grożącego córce niebezbieczeństwa. Postacie Leokadyi i Ernesta, przedstawiałyby się im jako straszące widma, a za każdém drzwi otworzeniem drgnęła pani Barbara i brwi zmarszczył pan January. — Rozpowiadano sobie pojedyncze w tym dramacie zdarzenia i ustępy, a błogosławiono Bogu, iż się to wszystko skończyło. Pani Barbara jednak zdawała się powątpiéwać, iżby rozwiązanie tak zawikłanéj sprawy już nastąpić miało, i przeczuwała, że nauka za zbyt tanio byłaby okupioną. — Radziła przeto ostrożność,

chociaż przewidzieć nie mogła, zkąd grom spadnie.... Czy powróci jeszcze pani Leokadya?... Czyli spotykać ją będą na ścieżkach żywota?... Czy ona w ten lub w inny sposób szkodzić im będzie? tego nie wiedziano; ale łatwo było robić takie przypuszczenia, znając jéj charakter mściwy i przewrotny. — Pan January mniéj te obawy podzielał, jednak trapiony był wewnętrznym niepokojem, który przypisywał silnym wrażeniom przed chwilą doznanym, a w tym stanie duszy prosił księdza dziekana i pana Cyryllego, aby przez parę dni jeszcze pozostali w Podgorném. —

Ksiądz dziekan, kapłan poważny, ale pełen życzliwości, miał pomiędzy wielą przymiotami duszy i tę zaletę, że kochał bliźnich, tak, jak ich Chrystus pan kochać nakazał, to jest w duchu prawdy, i nic nie zataił, coby ku poprawie lub zbudowaniu bliźniego posłużyć mogło. — Dla tego téż gdy pan January ciągle na złość i zdradę pani Leokadyi i Ernesta narzekał, odezwał się Ksiądz dziekan:

— Nie przeczę, iż cała sromota podobnego czynu spada na głównych jego sprawców, ale i wy Państwo Januarowie część winy sobie przypiszcie! — Ulegliście względ-

dom ludzkim i ziemskiéj rachubie, przyjmując z niepojętą łatwowiernością projekt podany przez nieznaną wam awanturnicę, i obiecując odrazu rękę waszéj jedynaczki nieznajomemu awanturnikowi. — Gdyby was Opatrzność nie była cudownie wyratowała, gdzieżby były dotąd rzeczy zaszły?... Bóg w tym smutnym dla was wypadku dał tylko przestrogę i wskazał, w jaką przepaść najcnotliwsi rodzice przez próżność i chciwość wtrąceni być mogą. — Korzystajcież z téj nauki, albowiem po bezskutecznéj przestrodze, idzie zwykle kara. —

— Ale zmiłujże się Księże Dziekanie (rzecze pan January), któryż ojciec byłby córki odmówił młodzieńcowi z tytułem hrabiego, z majątkiem pod Bukowiną i w Ukrainie, a z bezdzietnym milionowym stryjem? —

— Każdy ojciec roztropny (odpowie ksiądz dziekan) byłby powątpiewał, aby taki bogacz, zajeżdżał w Sandeckie, po córkę szlachcica. — Byłby się starał sprawdzić i dowiedzieć, a dowiedziawszy się, jeszczeby był panicza na próbę wystawił; bo ani tytuł, ani majątek nie są wyłącznémi warunkami szczęśliwego w małżeństwie pożycia. — Trzeba oprócz tego wzajemnego

pociągu dusz, i że tak powiem jednogatunkowości, pod względem wychowania, nawyknień i obyczajów. — Twoja córka wychowaną jest na wsi, w prostocie, prawdzie i cichości domowéj; nigdy jéj nie sposobiliście do miejskiéj wrzawy i fałszu, zkądże więc przyszło wam starać się o zięcia z innéj zupełnie sfery? —

— Ah, mój Księże Dziekanie, (rzecze pan January), to znowu trudnéj żądasz ofiary, abym córkę jedynaczkę, majętną, ładną i cnotliwą nie miał drożéj sprzedać. Wszystkie rodziny tą drogą się podnoszą, i do coraz wyższego znaczenia w kraju przychodzą. —

— Niestety! smutna-to i ostatnia droga, piąć się do znaczenia przez małżeńskie łoże. Dawniéj u nas dochodzono do wyższych stopni w społeczeństwie przez zasługę, pracę i poświęcenie! Dobra żona pojęta z wyższego rodu, wieńczyła tylko skroń bliznami już pooraną, była niejako nagrodą, ale nie szczeblem ku pozyskaniu u ludzi czci niezasłużonéj. Lecz dzisiaj idzie się po zaszczyty nie przez pole zasługi, ale przez pokój sypialny, i zdobywa się znaczenie intrygą miłosną, ale nie wartością. Trudno!! my tego obydwaj, Panie January, nie przemienimy,

bo to jest choroba wieku, która musi przejść jak każda epidemija; lecz od każdego z nas zależy, uchronić się od zarazy i przeciw niéj się zabezpieczyć. W mieście przychodzi to trudniéj, ale u nas na wsi każdy może się jéj ustrzedz, dawny przechowując obyczaj. Patrz, Szanowny Panie January, jakiego ta zaraza narobiła w duszach waszych i w domu waszym spustoszenia! jak was boleśnie dotkęła!!... a daj Boże, aby na tém był już koniec.

— Oh! aż miło posłuchać Księdza Dziekana, jak mówi: (dodał pan Cyryl) święte jego słowa!

— Ej, co tam! (rzecze pan January) tak mówisz mój Cyrylku, bo widzisz, że mi się nie udało; ale gdyby w istocie hrabia Ernest był tak bogatym, jak powiadał, a ożenił się z Zosią, tobyś mi był pewno zazdrościł i ręczę, że gdyby ci się dla Paulinki taki majętny hrabia trafił, tobyś go téż nie odrzucił, anibyś go Zosi nie chciał odstąpić! Lecz cóż za turkot pojazdu słyszę? Przebóg! Czy nie oni?!...

— „Kto się w opiekę odda Panu swemu“ (zaczyna pani Barbara).

— Poczekaj Pan! ja wyjdę i zobaczę! (rzecze ksiądz dziekan).

— Kto wie, czyliby mi już flegmy nie brakło, gdyby ci sami powrócili goście? (p. Cyryl rzecze). Parę razy mnie już dłoń świerzbiła, ale może nie byłoby przyzwoicie, gdybym im był kości połamał. Ja to zachowuję zwykle na chwilę ostateczną!

— Mój Cyrylku, dziękuję Ci za tę sąsiedzką usługę (odrzekł pan January), ale wiesz, żebym i ja tę sztukę potrafił, gdyby na to przyszło, i byłoby już przyszło, gdyby mnie był ksiądz dziekan swoją perorą nie zmitygował. Lecz cóż ksiądz tak długo siedzi?... Słyszę, iż rozmawia! Idźmy Cyrylku zobaczyć.

— Nie chodźcie, zmiłujcie się (rzecze pani Barbara), bo będzie jakie nieszczęście!

— Nie chodź Tatko! zaklinam Cię! (doda Zosia).

— Nie trwożcie się (zawoła wracający ksiądz dziekan), to próżny powóz z Sącza, który tę nieszczęsną parę odwoził. Chcieli go wziąść w rekwizycyą o jednę stacyą daléj, ale Janek rzeczy złożył na poczcie, a list tylko przywiózł od pani Leokadyi. Czy chcecie, abym go otworzył i przeczytał?...

— A oczywiście!... prosimy!... (rzecze pan January).

„Niegodni Krewni!
„Zerwaliście przez nieludzkie postępo„wanie związki pokrewieństwa i zdeptaliście „święte prawa gościnności, gdy wypędzeni „zostaliśmy pod noc z waszego domu, u„wierzywszy intrydze ukartowanéj przez wa„szą córkę i listowi, który jéj skomponował „zdradziecki amant, Stanisław, aby oddalić „szkodliwego mu rywala, hrabiego Ernesta! „Wkrótce nabierzecie przekonania o prawdzie „moich wyrazów, bo hrabia pośle wam „wszystkie prawne dokumenta, które dadzą „miarę jego godności i majątku. Obłudni „przyjaciele, których wasza córka przywo„łała, są w zmowie przeciwko wam, i ze „Stanisławem zawarli tajemną umowę o na„grodę, jaką wezmą, jeżeli interes jego oże„nienia do skutku doprowadzą. Pomimo „krzywd mi wyrządzonych, żałuję was, iż „nie umiecie poznać się na zdradzie i wpa„dacie w zręcznie zastawione sidła. Hrabia „Ernest ma dowody, iż Stanisław potaje„mnie córkę waszą widuje i te dowody „publicznie ogłosi, aby was ukarać za tak „niegodziwe obejście się z ludźmi, którzy „honor swój nad życie cenią. Po srogości „naszéj zemsty dowiécie się o wielkości o„brazy, któréj doznaliśmy od was. Czekam

„odpowiedzi waszéj we Lwowie, gdzie hra„bia udaje się po prawne dokumenta. Ztam„tąd napiszę warunki, pod jakiemi na dro„dze polubownéj rzecz załatwioną być może. „A teraz drżyjcie, bo Leokadja ma w ręku „honor waszéj córki i waszego domu.

„Leokadja."

Po przeczytaniu tego listu, grobowe przez chwilę nastało milczenie!... Pan January wodził błędny wzrok po pokoju, bojąc się spotkać ze spojrzeniem swych oskarżonych przyjaciół. Pani Barbara pierwsza przemówiła: „Cóżto za szatan kobieta?!" A Zosia, która bladła i nagle się mieniła, rozrzewniła się wkrótce płaczem serdecznym, i ratunek wszystkich przy sobie zgromadziła. Pan January ledwo zmysłów nie stracił. Choroba córki siły mu odbiera; pociechy nie chce przyjąć od przyjaciół, na których, acz niepewne, ale zawsze jakieś pada podejrzenie! Rwie włosy na głowie! wychodzi i powraca, płacze i zgrzyta zębami, ręce załamuje i znowu rozkłada, jakoby sam sobie czegoś chciał dowodzić. Wreszcie idzie za wychodzącym panem Cyrylem, który się w podróż zabiera i pyta:

— Dokąd?!...

— Dokąd? (rzecze pan Cyryl) Jadę go-

nić babę, choćby do piekła, i gdzie spotkam, morduję, bijąc ją do śmierci.

— Ale zmiłuj się!

— Niéma zmiłowania, tylko szukam sękacza, com postawił w kącie!

— Ale Panie Cyrylu, zaklinam Cię! (rzecze ksiądz dziekan). Pojedziemy razem!

— Dziękuję Jegomości! bo ja sam poradzę; chyba, że chcesz dać tym łajdakom ostatnią absolucyą, in articulo mortis.

— Panie Cyrylu! w Imię Boże Cię proszę; zaczekajże chwilkę, rzecz się przecież wyjaśni (doda ksiądz dziekan).

— Biedna Zosia prosi pana Cyryla (zawoła pani Barbara).

— Kiedy Zosia mnie woła, to się wstrzymam chwilkę, aby tego anioła pocieszyć, pożegnać, a potém pomścić.

— Ah Boże, Boże! Jakżem ja nieszczęśliwy (rzecze z rozpaczą pan January)!

— Tak! jesteś nieszczęśliwy, to prawda, boś chciwy, próżny i łatwowierny. Wstydź się twojéj słabości i wstydź się, że mężkiego obudzić w sobie nie umiesz ducha. Szukaj prawdy, badaj ją, i wedle prawdy w danym razie kroki twoje kieruj, bo w niéj tylko znajdziesz i pokój sumienia i zdolność rozpoznania szatańskich zasadzek. Czy masz

tamten list Leokadyi, pisany do hrabiego? Porównajże pismo, a przekonasz się, kto pisał kopiją do Ernesta, czy Leokadja, czy Stanisław?

— Prawda,... to będzie dowód (rzecze pan January).

— Teraz czy wierzysz sumieniowi i czystości duszy twojéj córki? I komuż wierzysz więcéj, czy kobiecie podstępnéj, przewrotnéj, zepsutéj, czy aniołowi niewinnemu i niezdolnemu dopuścić się kłamstwa, ani zdrady?...

— Wierzę córce (odpowie pan January), ale przecież wiem, że ona kocha Stanisława, a to mnie o śmierć przyprawi.

— Cóż z tego, iż go kocha?... ale go kocha czystą i poczciwą miłością.

— Nie chcę żadnéj miłości! i próżno mi o tém mówisz, bo nie wydam za gołego, ubogiego, bez majątku i znaczenia; nie wydam! Z hultajstwem się nie połączę.

— Nie wydawaj, to ci wolno, ale nie ubliżaj poczciwemu i szlachetnemu ubóstwu, bo karę Boga na się ściągasz. Onby sam może nie chciał i jabym mu odradzał, bo wierz mi Panie January, że chociaż Zosia jest godną Stanisława, to ty się stałeś niegodnym takiego zięcia.

— Godny, czy niegodny, to go nie chcę; i w skutek narady z panią Leokadją, pisałem do niego, aby się więcéj w naszym domu nie ważył pokazać.

— Pamiętaj Panie January! iż przyjdzie czas, w którym ty go będziesz prosił, a on tobą pogardzi, bo zwykle Bóg w ten sposób pychę i twardość serca upokarza. A teraz widząc, że nie mogę być już żadną dla waszego domu pociechą, żegnam cię Panie January i odjeżdżam, polecając was opiece Boskiéj.

— Ale zmiłuj się, Księże dziekanie, nie opuszczaj nas w tak ważnéj chwili!

— Opuszczę Cię Panie January i wszyscy Cię opuszczą, bo się oddalasz od tradycyjnego ojców obyczaju, i występując z szlacheckiego koła, pniesz się do sfery półpanków, niemających u nas oznaczonego dotąd stanowiska. Pozdejmuj téż ze ścian twego domu obrazy tych rycerzy w zbrojach, bo oni w nowym porządku twoich wyobrażeń próżno ci tu zawadzają. Co ci po przeszłości, która przypomina ból i trud twoich przodków, kiedy się przyszłość w majątek i tytuły posażna do ciebie uśmiecha! Zięcia wedle twojego wyboru nic boleć nie będzie, prócz odcisków z ciasnego obuwia i zepsutych zębów od aptecznego preparatu! Trud jego?... będą bezsenne nocy przy kartach strawione! — Jego zasługą?... będą trofea miłosne i poklask salonów! — Polem zapastnictwa?... posadzka! — Hercą?... taniec wirowy! — Nagrodą?... uśmiech zalotnicy!... Tak, Panie January; żyjemy w czasach postępu, więc nie żałuj trudu, ale pnij się do góry, my zaś zostaniem na dawnym poziomie pracy i poświęceń, prawdy i miłości, i ścieśnimy węzeł nasz rycerski. Idę teraz pożegnać Zosię, córkę moją w duchu! Zapewne nigdy już jéj więcéj nie zobaczę, niech ją Aniołowie Pańscy strzegą i wiodą po téj gołoledzi, na któréj ją próżność ojca postawiła.

— Księże!! (rzekł w pomieszaniu pan January) nie opuszczaj mnie, bo w sercu się trwożę, i duch mój w rozstroju waży się między niebem i piekłem. Obwiodłeś mnie po cmentarzu ojców, a oni ożyli pod twojém słowem, i są tu przy mnie. Patrz Księże! jak dziad mój w tym obrazie porusza oczyma! Czy ty to widzisz Dziekanie? Oto na mnie patrzy... a teraz na Ciebie!... teraz znów spojrzał w niebo!...

Wszelki duch chwali Pana Boga!! Księże! skoro masz władzę, powiedz, aby przemówił.

— Umarli mówią do nas w dziejach, a my im odpowiadamy stałością w wierze i poszanowaniem dawnych obyczajów. Punktem zaś wspólnego z nimi obcowania jest modlitwa. Przeto, jeżeli się chcesz z twym dziadem rozmówić, to się módl, a głos jego usłyszysz nie uchem cielesném, ale w sumieniu wewnętrznem.

— Zosia bardzo prosi do siebie Księdza Dziekana (odezwie się płaczliwie pani Barbara).

— Ksiądz dziekan odszedł, a pan January rzucił się na kolana, twarz w rękach zanurzył i jęczał tkliwą modlitwą. Jak się zaś modlił? to ten wie tylko, co w chwilach żalu, trwogi i rozpaczy z Bogiem rozmawiał!! Taka modlitwa nie posługuje się zwykłemi słowy, lecz święte Imię Jezus i Maryja staje się osią, około któréj duch ludzki wiruje, tuli się i korzy, a ustami dzwoni jakąś prośbę, która nie z głowy się snuje, lecz z głębi serca i duszy; i dla tego braknie do niéj wyrazów, bo jeszcze na ziemi zaledwie jąka człowiek modlitwę Aniołów!

Po takiéj pracy ducha i po łez powo-

dzi, leci gołąbek Boży z gałązką pokoju, i jakby zwiastun nowego z Chrystusem przymierza, cieszy, koi, nadzieją napawa, a równowagę uczucia z rozsądkiem przywraca. Człowiek się rozpatruje na tém polu walki, którą sam z sobą toczył przy pomocy Bożéj i widzi trupy złudzeń i pobite błędy, grzech zwyciężony i kłamstwo zdeptane, a na całéj przestrzeni wśród pobojowiska, jeden się ostał sztandar prawdy Bożéj, który niebiańskim otoczony blaskiem, świeci jego duszy i sercu i głowie, wskazując drogę szczęścia i zbawienia.

Taką walkę odbył i zwycięztwo nad sobą odniósł pan January! Wstał, przeżegnał się, a w piersi w znak skruchy uderzył; z pogodą zaś w sercu na twarzy się malującą, wszedł do pokoju Zosi, gdzie wszystkich w smutku pogrążonych zastał.

— Przychodzę podzielić się z wami pociechą i światłem, jakie otrzymałem z nieba, a razem przeprosić, jeżeli na was rzuciłem najmniejszy cień podejrzenia. W pierwszéj chwili poznałem z listu pani Leokadyi dalszy ciąg jéj intryg, ale przytoczone imię Stanisława obudziło w mém sercu utajone żale, iż niedorzeczne jego zamysły obaj popieracie. Modlitwa rozwiała ten żal, a szu-

kam znowu z całą ufnością w przyjaźni waszéj rady i ukojenia w tylu naszych smutkach.

— Ten, który cię pocieszył i oświecił (rzecze ksiądz dziekan), da ci najlepszą radę; ale zwykł On dawać ją wtenczas, gdy człowiek serce ku przyjęciu onéj oczyści z wszelkich uprzedzeń i ziemskiéj rachuby. Chceszli Panie January, aby ci Bóg radził w chwili, gdy z góry postanowiłeś iść za własną myślą, a nie za Boskiém natchnieniem? Nie! Bóg w czyste tylko naczynie serc ludzkich ducha swego wlewa; ty zaś dopiero jesteś upokorzonym, ale nie przygotowanym ku ślepemu woli Bożéj posłuszeństwu. — Pracuj przeto duchem, oczyszczaj wnętrze twoje, a Bóg najstósowniejszą obierze chwilę ku obdarzeniu cię łaską dobréj rady. — Co się zaś tyczy listu pani Leokadyi, zdaniemby mojém było zachować go jako ważny dokument, ale na niego nie odpisywać. Przyjaciel nasz pan Cyryl w pierwszéj chwili słusznego oburzenia, ale nierozważnego zapału, chciał ją ścigać; teraz sam przyznał niestósowność tego zamiaru. — Nigdy z szatanem ani jego bronią, ani na jego polu się nie walczy. — Szatan bowiem żadnéj siły się nie zlęknie prócz jednéj, tojest siły

krzyża! Nie wątpię zaś, iż szatan opętał tę kobietę i posłał ją tutaj, aby wam pokój i szczęście rozburzyła. Łatwo zaś przyszło duchowi złego odnieść nad wami zwycięztwo, boście mu ułatwili ku temu środki w próżności, chciwości i względach światowych. Dzisiaj, kiedyście temu gościowi z piekła wymówili gościnność, toć on się słusznie żżyma, bo zostały jeszcze w domu waszym wszystkie jego sprzęty, broń jego i przybory, tojest pycha i zawiść. O tę więc własność swoją upomina się on prawnie, i dopóty napastować was nie przestanie, dopóki nie wyprzątniecie domu waszego z téj szatańskiéj sukcessyi.

— Rozumiem, Księże Dziekanie (rzecze pan January), do czego WMość pod figurami mówisz, ale się to nie da tak wypróżnić, jak wino z kieliszka; na to trzeba czasu i namysłu, bo czasem niebezpiecznie iść za pierwszém uczuciem! Oj, nie jedna się złapała, co nierozważną uwiedziona miłością, poszła za ubogiego! I ztądto owo tak mądre polskie przysłowie: „Chuda miłość o głodzie.“ Jeżeli więc pannie wolno kochać, to rodzicom wolno jest obliczać. Panna kochankowi zagląda do serca, a ojciec do komory, czy téż tam jest jakie

ziarno dla tych ptaszków, co idą w parę. Gdybyś Ksiądz Dziekan miał dzieci, jak ich nie masz, bo jesteś księdzem, tobyś tak bezwzględnie téj rzeczy nie uważał. Oto spytajno się pana Cyrylego, czyliby Paulinkę wydał za ladakogo.

— Oczywiście (rzecze pan Cyryl), iż rodzice mają prawo wpływać na wybór córki, ale nie mają prawa sami za córkę robić wyboru. — Mają prawo doradzać lub odradzać, ale gdy córka na własną rękę swój wybór wziąść pragnie, to cóż biedni rodzice na to pomogą?... Powiedz tylko, jak przysłowie niesie: „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz" i kwita. — Ja naprzykład radbym także, aby moja Paulina poszła za tantnego; przyznaję, iż tego pragnę, bo jakoś łatwiéj w świecie z pieniędzmi jak bez pieniędzy: ale gdyby sobie upodobała ubogiego, to cóż robić? — Pobłogosławiłbym i niechby biedę klepali, skoro im to do smaku. —

— Tobyś może wydał za Stanisława? Powiedz, jakeś poczciwy?! (zapyta p. January).

— A wydałbym i jeszczebym Bogu podziękował, że przynajmniéj na poczciwego hołysza trafiła!

— A jabym zaś nie wydał, jak mi Bóg miły! (odpowie pan January).

— Nie wyrzekaj się niczego, (rzeknie pan Cyryl). Lepiéj zaufać Boskiemu przeznaczeniu, jak swemu uporowi. —

— Ja bo nawet zrozumieć tego nie mogę, jakimby się prawem mógł starać taki hołysz o moją córkę? (mówi pan January). Przecież każdy człowiek musi się umiéć ocenić i siły swoje obliczyć... Dajmy na to (co być nie może), iżbyśmy za niego wydali?... to gdzież żonę zawiezie? na plebanijkę? Czém po nią zajedzie?... furką?... Ah! toby téż całe Sandeckie myślało, żem oszalał na starość. Chłopiby nawet z chałup wychodzili, aby widzieć, jak pan Stanisław wiezie córkę pana Januarego!! No?... jest téż wtém jaki sens?... powiedzcie mi Panowie! Podług mnie, to takie powinno wyjść prawo o małżeństwie, że jeżeli panna ma sto tysięcy posagu, to kawaler najmniéj tyleż mieć powinien. — A gdy ja po najdłuższych latach zostawię do dwóchset tysięcy reńskich, to tyleż mam prawo pretendować od gziusa *), któryby się o córkę moją starał. —

— Ależ małżeństwo nie jest kupiecką współką (rzecze ksiądz dziekan), tylko jest

*) Konkurent, wyraz dawny, jeszcze w górach używany.

połączeniem dusz i ciał; jest ślubem sakramentalnym, nie zaś jarmarcznym targiem. Pan Bóg nie kazał nam kapłanom stółą worków wiązać, tylko ręce, aby one połączyły się ku wzajemnéj pracy i pomocy do celów zbawiennych. — Wreszcie gdyby pańska teorya była prawdziwą, toby się pokazało, żeś Panie January chciał hrabiego Ernesta oszukać, bo rachujno: klucz jakiś, który na dwa miliony sam nie widząc otaksowałeś — Bandurówka jakaś wartała z milion, stryi bezdzietny półtora miliona; więc razem na pięć millionów zakroiłeś, nie dając za córką zaledwie szóstą część tego kapitału. — Jeżeli ci więc wolno tworzyć taką rachubę na Krzemień i Bandurowo, to i ubogiemu może być wolno posunąć się o Podgorne. —

— Już o tém nie mówimy (rzecze pan January), bo to są dla mnie nader bolesne wspomnienia. — Jakoś to pan Bóg da może inaczéj, a na wszystko znajdzie się sposób! Zosia téż za młoda!... Zkąd jéj tam dzisiaj myślić o zamężciu? Za dwa albo trzy lata, rzeczy się wyjaśnią, nie jednego jeszcze poznamy, pokochamy i będzie wszystko dobrze! — Ja myślę moi drodzy sąsiedzi, wyjechać na wiosnę do Szczawnicy!... Nie

dla zdrowia, bo dzięki Bogu jesteśmy zdrowi, ale tak,... aby się trochę przewietrzyć, z tym lub owym spotkać, rozerwać, pogadać, a może i zabawić. —

— Zapewne (rzecze pan Cyryl), pomysł bardzo dobry. I ja o tém myślałem, ale interesa w tym roku mi nie pozwolą. —

— Co za interesa? (zapyta p. January). Czy masz długi płacić?... to ja ci pożyczę! Dam, wiele chcesz! a jedź z nami,... będziemy się razem trzymać Sandeczanie.

— Zobaczę... może... i jeśli mi do wypłaty braknie, to się udam do ciebie, a wtenczas razem wybrać się możemy, ale musimy i księdza dziekana wziąść z sobą... bez niego ani rusz!!

— Ja nie mogę (odpowie ksiądz dziekan), obowiązki kapłańskie, i powinność pasterstwa trzymają mnie na uwięzi. —

— To ksiądz wikary załatwi (rzecze pan Jauuary).

— Ksiądz wikary jest mi do pomocy, ale nie do zastępstwa. — Dałbym mu zły przykład, a i on kiedyś może być dziekanem. —

— Więc choćby na dni kilka mógłby Jegomość przyjechać, Mości Księże Dziekanie (doda pan Cyryl).

— Tak,... na dni kilka, to może.... i to obiecuję (odpowie Ksiądz Dziekan). — Ale teraz skoro jesteście spokojni i w żalu ukojeni, to was opuścić musimy, bo w domu mam ważne sprawy do załatwienia. —

— Ale do jutra przecież zostańcie sąsiedzi! (rzecze pan January), do jutra chociaż, jeśli nie na dłużéj. Może po tylu kłopotach, chociaż nam się téj nocy jakie szczęście przyśni. —

— No, cóż Księże Dziekanie? (zapyta pan Cyryl).

— Mniejsza o to, zostańmyż, skoro pan January słodkie sny sobie obiecuje!

— Ileż wdzięczności winniśmy panom, za ratunek pomoc i pociechę jaką w dom nasz wnieśliście (doda pani Barbara).

— I ja bardzo dziękuję! (rzecze Zosia).

— Widzicie! i ta makolągwa w gniaździe coś piszczy! (rzecze z miłym uśmiechem pan January). —

X.

Sen pana Januarego.

Już po wieczerzy! — Goście do przygotowanych komnat się rozeszli, a pan January długo jeszcze w szerz pokoju chodził: — myślił, rozmyślał — sam do siebie prawił, krząkał a czasem westchnął, aż w końcu przed rodzinnym obrazem najświętszéj Panny, zaczął odmawiać wieczorne modlitwy. — Ale co zacznie, to pokusy zemsty, żalu lub próżności myśl jego nawiedzą i skupienie ducha roztrącą. Za każdą taką napaścią, splunął pan January, przeżegnał się i w piersi uderzył; lecz co odpędzi jednę, to druga pokusa się tłoczy! — ani dać sobie rady!! Przeto trzy palce nuża w święconéj wodzie i znaczy nią na czole ustach i sercu znak krzyża świętego, a późniéj w koło siebie skrapia, aby téj graniey szatan nie

przekroczył!.. Pomogło w istocie! Już płynie głośna modlitwa jak woda, a w niéj akty strzeliste jakby duchotryski w górę się wznoszą! — Już i łza spłynęła po spieczoném licu, a żar wewnętrzny ochładza. Pan January znalazł pokój ducha, i gdy siebie i żonę i Zosię przeżegnał, udał się na spoczynek. — Zasnął, jak sprawiedliwy, i byłby spał do rana, bo tak zwykle sypiał gwiżdżąc i chrapiąc, gdyby nocna mara widmem straszydeł snu nie rozbijała... Lecz około północy, budzi się i woła:

— Czy śpisz Basiu?...

— Nie, zasnąć nie mogę! (rzecze pani Barbara).

— A mnie zmora dusi (mówi p. January).

— To ci się zdaje Janusiu! przeżegnaj się, a nie leż na lewym boku, bo mówią że to z tego!

— Ale gdzież tam! kiedy wyraźnie widziałem Leokadją i hrabiego, którzy mnie brali za gardło i odusić chcieli, lecz się przebudziłem, a tu na piersiach ciężar mi jakiś zaległ.

— To krew mój Janusiu tak broi! (rzecze pani Barbara). Po takich wzruszeniach to i nie dziw!! weź wody święconéj, przeżegnaj się, i zaśniesz. —

Usłuchał pan January, a krótki zmówiwszy pacierz, na prawy bok się przerzucił; westchnął, i zasnął. — Nie długo wszakże snu błogiego używał, bo wkrótce krzyczeć przeraźliwie zaczął: „Utonął Utonął!“ Pani Barbara ze snu tą razą przebudzona pyta:

— Cóż ci to Janusiu, że tak krzyczysz? Czy na jawie czy przez sen?

— Ah! (zawoła zmęczony widmem pan January), biedny chłopiec! utonął!! — Już go Dunajec niesie!... Oho! tylko głowę mu widać!! Już jest cały pod wodą! nieszczęście! biedna Zosia! wyczerpałem siły i nic nie pomogło.

— Ale cóż to jest Janusiu? cóż ci się śni takiego?

Pan January nic nie odpowiedział, bo zasnął na nowo, i spał bez przebudzenia, dopóki gospodarska nie przyszła godzina, w któréj się z całém przebudził stworzeniem. Ubrał się z cicha, aby snu żony nie przerywać i wkrótce wyszedł robić ogólny przegląd gospodarstwa. — Gdzie jednak zaszedł i chciał co zarządzić, to senna mara za nim w trop goniła. — Żegnał się ze sto razy, brał sobie na rozum, i mówił sam do siebie „Bóg wiara, sen mara,“ ale to trudno odpędzić ducha, którego się nie widzi, a

który szepcze do duszy, i maluje się wewnętrznemu oku a drażni się z sumieniem! Trzeba księdza obudzić rzecze pan January! On na to znajdzie sposób, może zna egzorcyzm na taką pokusę! — Poszedł więc do księdza dziekana, a zbudziwszy go, opowiadał mu sny swoje.

— „Najprzód, (mówił on) byłem w jakiémś mieście, i w obcym domu a siedziałem na mojéj szkatule,... (na téj mojéj, z jałowcowego drzewa i w mosiądz okutéj), kiedy przyszła Leokadja z Ernestem, i chciała mnie zepchnąć ze szkatuły, aby ją zabrać!... Wystaw sobie Ksiądz Dziekan jaki sen okropny! ale to nie koniec!! Więc ja dopiero bronię, i odpycham ich rękami i nogami, kiedy Ernest chwycił już szkatułę za antabę, a Leokadja trzyma mnie za gardło i dusi!!... Ja siedzę wciąż i szkatuły nie puszczam, ale odrazu w piersi uderzony, przewracam się, i widzę jak Ernest kolanem mi pierś tłoczy, a Leokadja ze szkatułą ucieka! Ja się ruszyć nie mogę, i jestem bezwładnym; krzyczeć chcę, ale głosu z piersi wydobyć mi trudno; chcę się bronić rękami, lecz ręce strętwiały i już jakbym ostatnie tchnienie miał oddawać, kiedy nadbiega... Kto? anibyś zgadł Jegomość, kto?

Oto Stanisław, walkę z niémi stacza, a ja znowu niby jestem w Podgornem, i widzę szkatułę na tém samém miejscu! tylko iż zawsze czuję ciężar na piersi, i zmęczenie z pasowania się takiego... Ale to nic, to dopiero początek! Otóż przebudziłem się i niewymawiając Panu Bogu, zmówiłem pacierz i zasnąłem!... Spię sobie, a tu mi się znowu śni, iż gdzieś jestem nad Dunajcem, czyli przy Dunajcu, w jakiejś dzikiéj okolicy, gdzie było ludzi pełno, tak znajomych jak i nieznajomych; jedni ubrani tak, a drudzy siak, a ja tylko między niémi nie ubrany, tylko tak, jak w łóżku. — Bardzo mnie to niepokoiło i wstydziłem się ludziom pokazać, a tu ani nie było pod ręką w co się ubrać, ani miejsca gdzie, ani czasu! Dunajec był wielki napływem wód deszczowych, a zdawał mi się bystrzejszym jak za zwyczaj! Patrzę a tu płynie tratwa na któréj było pełno ludzi! Między nimi poznałem znowu Stanisława, i tak sobie przez sen myślę: „czy cię tu licho znowu przyniosło!“ Aż w jednéj chwili, ginie mi z oczów Stanisław i tylko widzę jak głowa jego wygląda z nurtów rzeki! widzę że tonie, chciałbym go ratować, ale będąc nie ubranym nie mogę, i wreszcie anibym już zdążył

na miejsce nieszczęścia. — Co się potém stało nie wiem, bo mnie żona przebudziła, pytając co mi jest.

— Nie trzeba literalnie wierzyć w sny i brać one za rzeccywistość (rzecze ksiądz Dziekan), ale czasem Pan Bóg i w snach daje zbawienną przestrogę. — Dla tego, jeżeli nas sen do spełnienia dobrych dzieł pobudza, to należy i z téj pobudki korzystać. —

— Mnie sen Księże Dziekanie do niczego nie pobudził (rzecze pan January), tylko mnie straszy, i to widmo mnie ściga. — Cały jestem rozstrojony, rozbity w duchu. Może byłoby się dobrze wyspowiadać, albo co? — Jak sądzisz Księże Dziekanie? —

— Myślę, iż to jedyny sposób uzyskania pokoju duszy i wzmocnienia się przeciw pokusom.

— A więc dobrze, to każę zaprzęgnąć karyolkę i pojedziemy (rzecze p. January).

— Będę za chwilę na twoje usługi! (odpowie ksiądz dziekan). W pół godziny późniéj już obaj panowie jechali do parafialnego kościoła. — Ksiądz dziekan czytał brewiarz przez drogę a pan January zamyślony, sumienie własne przeglądał, krusząc się wewnętrznie.

— Zajechali!! Ksiądz dziekan spowiedzi wysłuchał, mszę świętą odprawił, a duszę przyjaciela ciałem i krwią pańską nakarmił i do żywota wiecznego przysposobił. — Potém zaś obaj panowie weselsi wrócili do domu na kawę, gdzie ich pan Cyryl (całéj sprawy nieświadom) przez wszystkie szyby w oknach wyglądał. —

Pani Barbara i Zosia dowiedziawszy się że panowie pojechali do kościoła, domyśliły się powodu, i Bogu dziękowały za to zbawienne dla ojca natchnienie. — Przy kawie już spokojnie pan January o męczącym go śnie opowiadał, ale Zosia mniéj spokojnie słuchała, i to blada, to znowu czerwona w widoczném była wzruszeniu i także wraz z matką prosiła księdza dziekana, aby w dzień następny spowiedź odbyć mogły, dla postawienia się wstanie łaski, ku uproszeniu Pana Boga, aby skutki w tym śnie grożące odwrócił. — Pan Cyryl śmiał się tylko bo mówił: „że w sny nie wierzy!“ —

XI.

Zapowiedź zemsty i warunki pokoju.

Dawny tryb życia wrócił w domu państwa Januarów, a mieszkanie, które zajmowała Leokadja, poświęcił przejeżdżający ojciec gwardyan z Wieliczki, i po tym egzorcyzmie znowu go dawnemu powrócono przeznaczeniu: bez obawy, aby straszyło już wspomnieniami przebytych smutnych kolei. Wszystko się uciszyło, a nawet Zosia była weselszą, i ojciec pocieszał się myślą, że czas studzić zaczyna jéj uczucia dla Stanisława: gdy list ze Lwowa zamącił znowu szczęście téj zacnéj rodziny. Pani Leokadja dotrzymała obietnicy i pisze w liście, który dla słusznych względów nie podaję w całości moim czytelnikom „iż honor Zosi jest „już we Lwowie puszczonym w zagadkę,

„i że pan Ernest słusznie obrażony, wyznał „przed nią i przed osobami wysokiego znaczenia, iż dlatego się z nią żenić nie mógł „i nie chciał, że w niéj niebezpieczne dla „męża dopatrzył skłonności. Pomimo tego „jednak pragnie ją z téj przepaści wyratować, pod dwoma wszakże warunkami: „Pierwszym byłoby oddanie mu ręki Zosi „bezwarunkowo i z przyznaniem całego jéj „posagu, odstąpieniem dóbr i kapitałów, od „którychby umówioną dożywotnie pensyą „rodzicom wypłacał.

„Drugi warunek łatwiejszy, a może dla „nich przystępniejszy, byłoby wypłacenie na„raz sumy pięciudziesiąt tysięcy reńskich. „Wtenczas zaś hrabia z ręki panny kwituje, „a całą rzecz, honor jéj obrażającą, zatai.“

Pan January, który zwykle łatwo się zapalał, zimno i obojętnie list ten odczytał, splunął i rzucił na stolik, mówiąc:

— Przed spowiedzią, byłbym wziął janczarkę i pistolety, któreby nie zawiodły „do rodzonego ojca,“ a siadłszy na brykę, jechałbym do Lwowa, aby tym łajdakom łeb kulą roztrzaskać; ale kiedy ksiądz dziekan mówi, że trzeba zemstę Panu Bogu zostawić, to niechże sobie Pan Bóg złoczyńców ukarze, a ja spokojnym zostanę do czasu,

i nie odpiszę, bo cóż tu odpisywać? Niéma co odpisywać!... tylko albo zabić, albo cierpieć. Zabić i Pan Bóg i spowiednik nie pozwala; warunków, które podają rozbójniki, przyjąć nie można, a więc potrzeba milczeć i cierpieć.

Do takiéj rezygnacyi przyszedł pozornie pan January, chociaż kto go znał bliżéj, widział, iż wewnątrz wrzał zemstą, i chiałby mieć dość długą rękę, aby z Podgornego wyciągnąć ją do Lwowa i ścisnąć za gardło panią Leokadją, lub hrabiego spekulującego na jego majątek. Pani Barbara atoli czuléj tę rzecz wzięła, i tonąc we łzach, wywoływała karę na oszczerców! Matce Pan Bóg wybaczy takie uniesienia, bo żadna lwica zajadléj nie mści się na łowczym za pobite dzieci, jak każda matka za obrażoną sławę swoich córek. Było tam więc i niebo i piekło wezwane do zemsty, były może i pioruny, choroby i kary; było może zanadto, ale wśród takiéj boleści, to się matka zapomni i traci pierwowzór téj najświętszéj Matki, która nas pod krzyżem cierpieć nauczyła. Zosia o treści tego listu wcale nie wiedziała i płakała na kredyt, i jak to mówią „za panią matką.“ Pan January list do kantorka włożył, a klucz do kieszeni schował, i smutny przez dni kilka chodził po podworcu, po stajniach i stodołach, włócząc kij za sobą, kiedy nowy mu list ze Lwowa oddają; ale tą razą już nie od pani Leokadyi, ale pisany nieznaną mu ręką. Byłto list od dawnego jego przyjaciela, komornika sądowego *) ze Lwowa, współucznia w Podolenieckich szkołach. — Treść tego listu była następująca:

„Szanowny Przyjacielu!

„Już lat dwadzieścia, jak do Ciebie nie „pisałem, ale czas nie ostudził we mnie da„wnych koleżeńskich uczuciów, ani przyja„źni, która nas tak ściśle łączyła. Dlatego „z boleścią dowiaduję się o rozsianéj przed „kilku dniami wieści, jakobyś, straciwszy „cały majątek, był w nędzy, i doznał jeszcze „upokorzenia ze strony jakiegoś Stanisława, „który córkę twą jedynaczkę uwiódł i pó„źniéj sromotnie porzucił. Co do pierwszego, „jeśli to jest prawda, to pozwól Kochany „January, abym Ci przyszedł w pomoc sum„ką, pierwsze przynajmniéj potrzeby zabez„pieczającą, ale co do drugiego, to tylko w „niebie i w Bogu szukaj pociechy, bo któż „z ludzi, rodziców takiém nieszczęściem stro-

*) Adwokata.

„skanych, pocieszyć może?! Nie mogę do „dziśdnia dojść źródła téj wiadomości, ale „miała ona wyjść z ust poważnych osób, „z Sandeckiego powracających. Chciejże „mnie, jako starego przyjaciela, o całéj téj „sprawie zawiadomić, a może jeszcze i w „twoich interesach dałoby się co sądownie „zrobić. Licz na moją życzliwość i bądź „pewnym, iż będę na twoje usługi. — Twój „życzliwy T....."

Pan January stanął w miejscu, jak wryty. Sam już o sobie zwątpił i pytał sam siebie, czy to prawda, co o nim we Lwowie mówią, czy téż fałsz? Gdyby jeszcze jeden list taki przyszedł, gotówby był uwierzyć, że przestał być dziedzicem Podgornego i kapitałów, które trzymał pod kluczem w jałowcowéj szkatułce.

— Poczciwy pan T... (rzecze on) dowód jego dobrego serca; ale mniejsza o wszystko, niechbym wyszedł na dziada i chleba prosił, tobym na to nie zważał. Lecz honor Zosi!... Boże! honor Zosi! mojego dziecka, tego niewinnego anioła!! A wszystkiego przyczyną jest ten łotr Stanisław! Szatan, który mi wszędzie wpoprzek drogi stoi, który miłość méj córki ku sobie rozgłosił, aby wszystkich odstręczyć, a nas dopóty nędzić

i prześladować, dopóki mnie nie zmusi do oddania mu córki i majątku, którego jest łakomym. Otóż, prędzéj mi włosy na dłoni wyrosną, niżeli on Zosię mieć będzie. Żadna protekcya ani księdza dziekana, ani pana Cyrylego nie pomogą! Znam się ja na farbowanych lisach!! I kto wie, czy nie miała racyi pisać pani Leokadja, iż ci panowie umówili się ze Stanisławem! Kto tam wie? Trzeba było może odpisać pani Leokadyi i więcéj dowiedzieć się szczegółów... Ależ kiedy widoczném jest z drugiéj strony, że ta występna baba wraz z tym hrabią oszustem na kieszeń tylko moją polują, bo przecież ich warunki są haniebne! — Nie! to oni rozgłosili tę wieść po Lwowie! Niéma co robić, tylko jechać, pomordować ich jak łotrów, a potém udać się po obronę do adwokata, czy tam komornika T...., którego mi Niebo nastręcza!... Tak!... ale, czy téż i to nie figiel? Pan T... był dobrym człowiekiem dawniéj; lecz dzisiaj Bóg wie co on zacz?... A jak mnie téż wplata w procesa, kłopoty, wyssie mój majątek?... Nie!... nie można! — Oh, Boże! niéma już komu ufać!... Nikomu nie wierzę i jestem najnieszczęśliwszy człowiek!!

W takim stanie rzeczy posunął się pan

January o parę kroków daléj, a oparłszy głowę o róg stajni, dumał boleśnie, kiedy konny posłaniec, szturmując do bramy i dostawszy się na podworze, list znowu oddaje.

— Zkąd jesteś? (zapyta posłańca pan January).

Posłaniec nic nie odpowiedział, tylko list oddał, zaciął konia, i jednym susem próg w bramie przeskoczywszy, galopem ruszył drogą do Sącza wiodącą. Pan January ze drżeniem list otwiera, pisma nie zna, daty ani podpisu nie widzi i czyta te wyrazy:

„Nie smuć się Panie January! Honor „twéj córki i twojego domu pomszczony! „Zbrodniarze ukarani, a Ty z twoją rodziną „używaj szczęścia i pokoju!“

— Otóż masz (rzecze pan January)! nowa jakaś intryga. Widocznie intryga, aby mnie tu w miejscu zatrzymać i od słusznéj zemsty odwrócić, a przynajmniéj na chwilę rozbroić. Nie głupim, abym takim listom wierzył! Ja już nie wierzę, chociaż list z datą i podpisem widzę, a tu na świstku pisze: „Nie smuć się!“ Niech pisze do takiego głupca, jakim jest zapewne sam, ale nie do mnie, co mam w takich rzeczach doświadczenie!! A potém, gdybyto było

w tém co poczciwego, toby posłaniec zsiadł z konia i powiedziałby, zkąd jest i od kogo? Ale on szkapę zaciął i w nogi!! Znajomato sztuka!! Lecz co tu robić? Natchnij mnie o Boże! do kogo się tu udać po radę i wsparcie?... Do dziekana?... Nie chcę, bo człowiek parcyalny! — Do Cyrylego?... To cóż mi za rada! — A potém.... i on jest w zmowie! -- Do kogóż więc?... Mój Boże! tyle ich było na kuligu, aby jeść, pić, tańcować, a dzisiaj niéma żadnego, gdy człowiek w nieszczęściu! Każdy z nich może będzie nas palcem wytykał, a moję biedną i niewinną Zosię o płochość pomawiał! Otóż to jest świat i ludzie! Rachujże tu na nich! Podobnoć najpewniejszy przyjaciel jest żona! a żona poczciwa! Niech przeto radzi; trzeba iść do niéj...

I poszedł pan January, trzymając dwa listy w ręku.

— Basiu! (rzecze on).

— Cóż powiesz mój mężu? Jakiś znów smutek czytam na twojéj twarzy!

— Oh, Basiu! wielki smutek i rozpacz śmiertelna!! Czytaj, porównaj, i bądź z tego mądra, bom ja już głowę stracił i zmysły postradał. Widzę się wpośród zdrajców, łotrów, rozbójników! Już nie wierzę niko-

mu, nie wierzę i sobie, tylko tobie troszkę; lecz mało i tobie, boś i ty uległa wpływowi twéj córki, i ty nie widzisz dość jasno zasadzek! Tu Stanisław na nas wyciągnął już szpony, i Zosię chce nwieść wbrew rodziców woli; tu znowu dziekan z Cyrylem faktorują przeciw nam temu hołyszowi, aby przytém i sobie nagrodę wykroić. Leokadja z Ernestem kazali mi okupić honor méj córki zastawną sumą. Tu znowu komornik, dawny mój znajomy, rzekomo się lituje, a radby mnie wyzuć z Podgornego. Aż wreszcie jakiś nieznajomy pisze, „że jesteśmy pomszczeni.“ A niéma ani na kim, ani w czém, przez kogo, gdzie, jakim sposobem? Słowem, kiedy rozważę nasze położenie, to wiesz Basiu, co mi na myśl przychodzi?... Oto sprzedać majątek i wynieść się w inną okolicę, albo téż do wielkiego miasta, np. do Krakowa! Tam człowieka i łatwiéj ocenią i zięć się prędzéj znajdzie, i będzie człowiek spokojny.

— Ah, to myśl desperacka, mój Janusiu! przecież ufajmy Bogu, iż się nad nami zlituje. Pozwólże, abym odczytała listy:... No, widzisz, i list pana T.... jest pełen szczerości, chociaż nam najsmutniejszą zwiastuje nowinę, iż ta występna kobieta razem

ze zbrodniczym wspólnikiem rozpoczęła dzieło zemsty! Wszystkiego należało się spodziewać po tych wcielonych szatanach. — Bóg wszakże mocniejszym jest od złości ludzkiéj, i da środki obronienia sławy naszéj córki. Na ten list zaraz odpisz najuprzejmiéj; a byłabym zdania, abyś całą prawdę otwarcie napisał, nie oszczędzając ani Leokadyi, ani Ernesta. List taki w ręku uczciwego człowieka ważnym stać się może dokumentem i środkiem obrony! Co do drugiego listu bez podpisu, to nie umiem ci radzić, i ani się domyślam, od kogo pochodzić może. Zostaw go i zachowaj. Lecz jeszcze jedno, mój mężu! Oto, że znowu widzę posądzasz dziekana i pana Cyrylego, i tych dwóch najlepszych przyjaciół oddalasz sobie serca i życzliwość. Czy się godzi, abyś ludzi tak godnych i od tylu lat domowi naszemu przyjaznych miał w podejrzeniu? Czyliż sam sobie przez to nie uwłaczasz? To się nie godzi mój mężu! wierzaj mi, że to grzech, którego kiedyś wstydzić się będziesz i pożałujesz!

— No, dość już, Basiu! dosyć! — Nie trzeszcz mi nad głową, bo ledwie mi nie pęknie z myśli i kłopotów. Do pana T... napiszę, jak radzisz, ale sądzę, że mi wy-

padnie dojechać do Lwowa, i raz już rzecz tę skończyć w sposób honorowy, tojest łeb babie i Ernestowi roztrzaskać.

— Mój Janusiu! i to nazywasz sprawą honorową, plamić się czynną zemstą nad kim? Nad kobietą, albo się mierzyć z młokosem, którego nie znasz obyczajów, i który może był już nie raz bitym. Ty, człowiek poważny wiekiem, zasługą, imieniem, masz wchodzić w awanturę, i potém kryminalnie odpowiadać za napaść? Zastanów się Janusiu, czyli ci się godzi? czy możesz?!

— No, moja Basiu! Jużeś powiedziała! Po cóż tak długo mówisz! Już wiem, już słyszałem! Ale z tym Stanisławem trzebaby ukończyć, bo mi ten człowiek ustawnie zawadza! Wszędzie go znają, wszędzie o nim słyszę; już o nim mówią we Lwowie. Oto pan T.... w liście o nim pisze, i wokoło niego intryga się wije, jak około osi.

— Cóż chcesz ukończyć mój mężu (rzecze pani Barbara)?... Jużeś ukończył. Nie bywa, a może i nie myśli więcéj; a ludziom przecież wszystkim nie zakażesz, aby o nim mówili?...

— Ah, moja Basiu! jam przyszedł po radę, a ty mi się sprzeciwiasz, i wszystko na opak stawiasz mym zamysłom. Już się

i ciebie zaprzestanę radzić, bo zamiast mnie twą siłą podeprzeć i wzmocnić, to mnie osłabiasz w mych postanowieniach i bronisz przeciwko mnie naszych nieprzyjaciół.

— Ale mój mężu! ja zemstę rozbrajam i żal twój koję, ale zarówno z tobą smutek czuję i podzielam.

— Już list napiszę, dziéj się wola Boża! Napiszę szczerze prawdę, a przecież towarzysz szkolny i przyjaciel, jako sam wyznaje, może nie zdradzi mego zaufania!

I jakoż wedle rady pani Barbary, długi list, a serdeczny, chociaż rozpaczliwy napisał pan January, żonie go odczytał, podpisał, krzyżem świętym przeżegnał i posłał na pocztę. — Jakoż po wysłaniu listu był spokojniejszym, najprzód iż się w sercu upewnił o bezstronności swego przyjaciela, a powtóre iż się raz ze swojéj boleści wyskarżył i pomścił na pani Leokadyi i panu Erneście! Lecz znowu zaczął się turbować, czy list dojdzie i kiedy? a razem czy na niego odbierze odpowiedź? Rachował dnie na palcach, liczył je w kalendarzu, pytał pani Barbary, i z tego orzekł: iż jeśli pan T... zaraz mu odpisze, to list zaledwie w dni dziewięć go dojdzie. — Oh! to wieki czekać, dla strapionego ojca!! Jakież katu-

sze przechodzić będzie, dręcząc się wewnętrznie już nie widmem, ale złem rzeczywistém, bo krzywdą, dobréj sławie córki wyrządzoną. Zostawmyż go jednak na chwilę w śród jego rozpaczy, a dowiedzmy się co się dzieje na plebanijce u pana Stanisława, który od czasu kuligu znikł nam z oczu, a przecież on téj całéj sprawy głównym jest bohatérem.

XII.

Mściciel.

Pan Stanisław spokojnie siedział na plebanii i kochał zawsze Zosię, chociaż bez wielkiéj nadziei pozyskania jéj ręki, szczególniéj po odebranym od pana Januarego liście. — Wszakże o ile po ludzku o szczęściu swém wątpił, o tyle ufał opatrzności i modlił się cichutko, jeżeli już nie o Zosię, to przynajmniéj za nią. — Dowiadywał się pilnie o wszelkie szczegóły, tyczące się świeżych a tyle dotkliwych wypadków, które zaszły w domu państwa Januarów, i nad tém tylko bolał, iż nie mógł nieść im pociechy i poświęcić się ich ratunkowi. — Uczucia jego były czyste, bo on inaczéj Zosię kochał, jak się to zwykle kocha. — On siebie niósł jéj w ofierze, a nie ją dla siebie poświęcał, ztąd téż pragnął jéj szczęś-

cia okupem własnego życia, zdrowia i pomyślności. -- Jednak przyrzekł sobie żadnego nie czynić kroku wbrew woli rodziców, bo nadto cenił i szanował powagę rodzicielską, aby ośmielał się ją nadwerężać, gdybyto nawet z ich rzeczywistém dobrem być miało. — Słyszał o hrabi Erneście, wiedział iż to łotr polujący na majątek rodziców a na niewinność córki! — Byłby go przez rzeki i góry za jednym rzutem przesadził, ale skoro mu ojciec zakazał w domu bywać, więc cierpiał, dręczył się, lecz się z miejsca nie ruszył. W tém, pewnego rana razem z dziennikiem odbiera list ze Lwowa. — Zdziwiony, prędko odziera pieczątkę, i czyta najprzód podpis: „Hrabia Ernest“ krew w nim, zakipiała! w jednéj ręce list trzyma a drugą w pięść ścisnął i wzrokiem pełnym ognia cały list przebiegał. — Brwi mu się marszczą, nogi drżą do chodu i pierś się wzdyma a serce kołacze, jakby go budzić chciało z długiego spoczynku i dzwoniło pobudkę do śmiertelnéj walki — „Nikczemniku!! zawoła z wściekłością Stanisław! To nie dość, iż jak żebrak przyjąłeś jałmużnę z rąk ojca, którego zrabować ci się nie udało! — Nie dość, iż wzrokiem bazyliszka plamiłeś anielskie

lica niewinnéj panienki, lecz śmiesz jeszcze jadowitym żądłem, kaleczyć jéj sławę, i oszczerstwem, które piekło w duszę twą wzionęło, pluskać potwarze na mego anioła? Umrzesz jak potwór, i całą posokę z żył twoich wytoczę, aby się z błotem uliczném zmięszała i razem z niém w piekło wsiąkła!“

Nie wie Stanisław, co ma z listem zrobić? bo nie chce się ręką dotykać papieru potwarzą splamionego, a przecież jest to niezbędny dokument, który z sobą w ułożoną podróż wziąść musi... Podróż?... ale zkądże fundusze na daleką drogę?... Zkąd?... Oto wszystko sprzedać i poświęcić, a bronić sławy kochanki postanowił, chociażby ona nigdy żoną jego nie była!

Młody sąsiad chciał kiedyś konie jego kupić, lecz małą dawał cenę,... teraz i za połowę sprzeda mu Stanisław, a potém całe życie piechotą może będzie chodził!... Ale co krócéj!... Jaś jego zegarek chciał kupić... — Prawda, iż to jest droga dla Stanisława pamiątka, lecz najdroższym dla niego skarbem jest honor kochanki; przeto krótki list napisawszy, poséła zegarek, odbiera pieniądze, spieszy do Sącza, i już wózkiem pocztowym toczy się ku Lwowu. Lecz tam nikogo nie zna, któż będzie za

sekundanta?... Przez kogo wyzwie potwora do walki?... Błądzi po miasta ulicach... patrzy się w twarze, lecz nie wié kogoby i w jaki sposób zaczepić? Wreszcie naprzeciwko idzie ku niemu wąsacz z krzyżem legii honorowéj i krzyżem wojskowéj zasługi. — Twarz jego i oznaki męztwu przyznane, wzbudziły w nim słuszne zaufanie; przeto Stanisław do niego się zbliża. i prosi o posłuchanie. — Szanowny wąsacz mile się uśmiechnął i Stanisława do siebie zaprosił, a tam z uwagą wysłuchał całéj sprawy i rzekł:

— Szkoda twojéj krwi młodzieńcze, bo nie wiesz widzę, z kim się pragniesz mierzyć. W pojedynku ślepy czasem los rozstrzyga i jeśli on cię zabije, to o jednego uczciwego człowieka będzie mniéj na świecie, a o jednego łotra, który cię przeżyje, więcéj. — Jeżeli ty go zabijesz to mu zrobisz łaskę, bo mu skrócisz dni wstydu, i hańby! Ernest, którego mylnie hrabią nazywacie, nie jest ani hrabią ani szlachcicem ani też Lwowianinem, lecz jest raczéj żydem, lub cyganem, bez kraju, nazwiska i rodu. Z professyi jest szulerem, i świat obiega, szukając w grach losowych niecnego zarobku. — Przed parą laty przybył do Lwowa. Zewnętrzne wykształcenie, zdradzające bliższe wśród ludzi otarcie, otworzylo mu wstęp do kilku domów; ale wkrótce przekonano się, iż ten mniemany hrabia Judzkiego państwa, szczęściu zręcznością pomagał. — Wypędzony z towarzystwa, lokajom zakładał banki, aż do chwili poznania się z pewną intrygantką imieniem Leokadją, która wątpliwéj pod względem uczciwości i obyczajów używała sławy. — Współkato była nierozerwana w sprawach szatańskich i u niéj Ernest potajemny dom gry otworzył. Lecz wkrótce nadjechał do Lwowa starszy w cechu szuler, i zręczniejszego ułożywszy lisa, resztkę pieniędzy zabrał Leokadyi i jéj wspólnikowi. — Wtenczas podobno ta występna kobieta udała się w Sandeckie, gdzie ją wkrótce jéj wspólnik pogonił w zamiarze żenienia się z bogatą szlachcianką. — Oto Pan masz całą historyą Ernesta i Leokadyi; po tym zaś wykładzie zrozumiesz, dla czego ci za świadka w pojedynku służyć nie mogę, i dla czego tobie również mierzenie się z takim łotrem odradzam. W każdym innym razie byłbym na twoje usługi, bo mi się wydajesz być człowiekiem honoru i rycerskiego ducha. —

— Dziękuję WcPanu Dobrodziejowi (rze-

cze Stanisław) za dane mi objaśnienia i łaskawą radę. Przyznaję iż WWcPan Dobrodziéj słusznie mi odmawiasz pośrednictwa w dziele zaprzysiężonéj temu łotrowi zemsty; ja przecież radbym mu w oczy spojrzyć, kulą mu w nie plunąć, i ziemię uwolnić od tak brzydkiéj poczwary!

— Słuchajże więc (rzecze major X.) Ja znam tu młodego a dziarskiego chłopca, syna mego dobrego znajomego pana T.... komornika. — Z nim cię więc zapoznam, a jeśli obaj młodsi zrobicie awanturę, to wam to prędzéj opinija świata przebaczy. Mnie staremu nijako byłoby w tę rzecz wchodzić i stawać z Ernestem w jakimbądź stósunku — każę prosić Edmunda, a przy mnie się ułożycie o dalsze obroty. —

Jakoż wkrótce nadszedł Edmund, młody i żwawy młodzieniec, a zaledwie ze Stanisławem parę słów wymienił, zaraz się zrozumieli, za rękę uścisnęli, i byli w pogotowiu do wspólnego dzieła. —

— Przykro mi, (rzecze Edmund) iż mamy sprawę z tak niegodnym człowiekiem, ale z drugiéj strony lepiéj iż taki człowiek zginie, jak żebyśmy mieli uczciwego zabić. A więc zejdziemy się w hotelu Georga o 11. godzinie a teraz idę zaraz wyzwać tego łotra! —

Stanisław, pożegnawszy uprzejmie majora, poszedł w miasto, pilnując i oczekując naznaczonéj godziny; i jakoż wkrótce po jedénastéj nadbiegł Edmund i oświadczył z żalem, iż nie mógł, wedle życzenia Stanisława, skłonić Ernesta do pojedynku na pistolety, ale zaledwie używszy całéj przewagi moralnéj nad jego sekundantem, przyjął pojedynek na ostre pałasze; godzinę oznaczono czwartą po obiedzie w mieszkaniu Edmunda. — Stanisław żałował, iż broń sieczna mniéj piecze jak palna, ale wreszcie wolał i to jak nic, i czule Edmundowi za podjęte trudy dziękował... Edmund, wierny tradycyjnym we Lwowie prawom gościnności *), zaprosił Stanisława na obiad, przy którym spełniono zdrowie jego kochanki, a po obiedzie, poszli razem do domu, i niegodnego przeciwnika cierpliwie oczekiwali.

Ernest był może kontent, iż przez pojedynek z uczciwym człowiekiem podłata w strzępki poszarpaną sławę; broni zaś na pałasze był pewnym, bo nią tak dzielnie władał jak kartami, gdy filował woltę. Przyszedł więc ze swoim świadkiem na termin

*) Autor téj powieści zaświadczyć to może, i z wdzięcznością doznaną gościnność wspomina.

pani Leokadyi. Edmund z czułą przyjaźnią oświadczał się dla Stanisława i często na siostrę swoją z uśmiechem spoglądał. — Stanisław powtarzał mu uczucia wdzięczności za oddaną usługę, ale umyślnie mówił mu o szczupłych swoich funduszach majątkowych, aby go nie uważano za możebnego dla córki państwa T... pretendenta. — Nazajutrz zaś wózkiem pocztowym wracał do domu, i gospodarował tak jak dawniéj w swéj ubogiéj dzierżawie. —

XIII.

Upór.

Pan January otrzymał list od swego przyjaciela, pana T..., który opisuje mu dzielność i poświęcenie się Stanisława, a razem daje mu szczegóły odbytego z Ernestem pojedynku. Cały prawie list zapełnionym był pochwałami dla tego młodzieńca, pełnego odwagi i szlachetności. Pan January zrozumiał dopiero, że i list bezimienny pochodził od Stanisława; zrozumiał, dla czego nie podpisał go, i posłańcowi sprawy téj objaśnić nie pozwolił. Uczucie to pełne delikatności oceniał, ale nie odważał się być wdzięcznym z obawy, iżby za tą wdzięcznością nie przyszło zbliżenie, a za zbliżeniem możność wydania swojéj córki za ubogiego szlachcica, dzierżawcę plebanii. O ile przeto uradowanym był, że pani Leoka-

dja pokutuje za zbrodnie swe w więzieniu, i że Ernest chodzi z obciętém uchem (co w polskim języku niepięknie się wyraża); o tyle starał się on wewnętrznie zmniejszać zasługę i ofiarę Stanisława, twierdząc, iż niewinność jego córki nie potrzebowała obrony, ani sława reparacyi, i że ten pojedynek jest tylko szlachecką burdą, walką dwóch młodych zapaleńców na demechy; słowem, iż Stanisław, nie mając nic do stracenia, łatwo się mógł poświęcić, aby sobie sławy odważnego młodzieńca przysporzyć.

— Lecz z drugiéj strony (mówi sobie pan January) ta gotowość ujęcia się za dom nasz, godną jest pochwały; w tém, to pokazał i sąsiedzką przyjaźń i obywatelską cnotę. Tak... godną jest pochwały; ale od pochwały do nagrody daleko, a od nagrody do otrzymania ręki mojéj córki jeszcze daléj!! Gdyby miał tytuł i niechby dwakroć sto tysięcy reńskich majątku! Niechby już miał tylko sto pięćdziesiąt tysięcy, to kto wie?... Wszakże Ernest miał mieć cztery miliony, a jak się pięknie prosił!! Ale tytułu żadnego; majątku ani grosza!... a cnoty?... Mój Boże, cnoty!.. o co łatwiéj, jak o to!! Cnota darmo przychodzi, i ani grosza dać za nią trzeba!! Bóg daje ją

gratis każdemu, co o nią prosi. A więc cóż cnota warta?... kto na nią co da?... co mi to za hypoteka... cnota?... to nie ziemia, ani nie kapitał! To jest jak kwiatek w ogrodzie, który pachnie i zaleca się oku, ale owoców nie wydaje! Otóż nie można! stanowczo nie można! i ani o tém myślić!... Kiedyś przy okazyi, gdy się zdarzy, podziękować, pokłonić się, to w istocie się należy,... ale na tém basta!! Może,... gdyby się przytrafiło być usłużnym, a wygodzić pewną sumką na dzierżawę, tojest pożyczyć pięćset do sześciuset reńskich, to jeszcze nie mówię, byłbym gotów i owszem, bo nie lubię być z ubogimi w długu wdzięczności. Ale onby gotów nie przyjąć, bo u niego faneberya w głowie, i to jest dumny chłopak!... a ciekawym, z czego?... z téj swojéj plebanijki i z téj nauki, co powziął w Krakowie? -- To przecież i mój profesor na wsi nie głupi i po łacinie mówi expedite, a jak mu poślę korzec ziemniaków, to kontent. Powiadam, iż to ubostwo strasznie w tym wieku zhardziało! Cobyto dopiero było, żeby taki Stanisław miał Podgorne, toby jak paw' stąpał z góry, a szafraniłby się i pysznił. A mój Boże! ja, co posiadam ziemie i kapitały, trzymam się pokor-

nie, i żandéj u mnie dumy, ani próżności niéma! Ja ubogim dziadkiem nie pogardzę, ale dam mu grajcar, albo mu powiem: „Niech cię Bóg opatrzy!" Do mnie zajeżdżają różni, i tacy i owacy, a któż się na mnie pożali, abym go źle przyjął, nie ugościł, nie nakarmił, nie napoił... I téj niegodziwéj Leokadyi dałem, nie wymawiając, tysiąc reńskich, a sto Ernestowi!... djabeł wie, po co?... ale dałem! A na klasztór czy kiedy żałuję?... i ojcom reformatom, albo i kapucynom czy co rok nie daję?... Ja sobie jestem spokojnym w sumieniu, i ani pychy, ani skąpstwa, ani chciwości sobie nie wyrzucam!... Lecz znowu obok tego honor mój trzymam, gdyż bez honoru cóż jest po człowieku? Mam córkę jedynaczkę, to ją mam dla pana, a nie dla hołysza! Proszęno widzieć, jak jest i dzisiaj między możnymi panami?... Czy który wyda córkę za szlachcica?... Przeciwnie!... wolą się jak żydzi między sobą żenić: brat z siostrą, ciotka z wujem; i podług mnie, słusznie! bo się tym sposobem miot panów i majątek przechowuje!... Prawda, iż dawniéj było im wygodniéj, bo pan ze szlachtą rodem skolligacony, miał w niéj podporę swego dostojeństwa, i około takiego

pana tysiąc szlachty stawało na śmierć lub życie! Ale cóż im to po tém?! Na śmierć już nie chcą, a na życie bez szlachty się obejdą, i żyją między sobą, jak gdyby w zakonie!... I według mnie to słusznie! bo po co się pospolitować? Szlachta stósunków nadużyć gotowa! I tak naprzykład: Stanisław był parę razy... no dobrze!... przyjąłem go uprzejmie... ale on zaraz po rękę córki sięga! Hołysz na plebanijce!... Nie, nie można! dalipan nie można! Grzecznie, pięknie, ale zdaleka od niższych! to jest reguła, to jest rozum; to jest, powiadam, najlepsza rachuba. Na to się raz zdecydowałem i przy tém zostaję. On tu będzie teraz myszkował, choć i pan Stanisław!! Oho, on zechce drogo sprzedać swoje poświęcenie. To będzie trafiał przez księdza dziekana, to przez Cyrylego! Ale ja na to nic! zupełnie będę obojętnie, jakby się to mnie wcale nie tyczyło! Jednéj się tylko mojéj żony boję, bo ona to tak jest za tym Stanisławem, że aż brzydko na kobietę rozsądną! Zamiast Zosi perswadować, i jako matka, rozsądnie odradzać, to obie płaczą, a jedna w drugiéj czułość podnieca. Pfuj! u stu bisurmanów, czegóżbym miał płakać? Wielkie rzeczy, że machnął pałasikiem i

ucho odciął. Ja gdybym był pojechał, jako zamierzałem, to ciach! ciach! krzyżową sztuką, i głowaby spadła! Ale za co to do Lwowa jeździło, to biedactwo? bo tam pizus wielki! Musiało to wydać intratę z plebanijki do ostatniego gronia!! Tego mi żal! to chciałbym odwdzięczyć, i albo parę źrobaków ze stadniny darować, albo szłapakiem mu się przysłużyć, i prosić księdza dziekana, żeby mu to jako delikatnie przedstawił, iż ja nie chcę jego szkody, broń Boże! No, on sobie tam tęgie partes zrobił, choć i we Lwowie; bo jak mi pan T.... pisze, to grzmi cały Lwów jego sławą! Toby tam powinien się ożenić, bo tam nikt nie wie o jego majątkowéj substancyi, więcby posażną ułowił pannę. Że mu téż to nikt tego nie poradził! Dobrzeby jako tę rzecz naprawić, a może do mego przyjaciela napisać, iżby mu pannę bogatą wynalazł, nastręczył, a tak będzie i kwita z wdzięczności, i już wyzbędziemy się go z naszéj okolicy; bo zawsze lepiéj mieć trochę o podal osoby, dla których się ma niby jakieś obowiązki. To projekt doskonały! i zaraz napiszę, tylko pro forma muszę się naradzić z moją żoną.

Tak sobie urządziwszy sumienie, poszedł pan January do pani Barbary, i rzekł:

— Wiesz Basiu, będę pisał do mego przyjaciela pana T..., bo jednakowoż czuję jakiś obowiązek zawdzięczenia Stanisławowi za jego poświęcenie!

— Ah! i wielki mamy obowiązek, mój Janusiu! (rzecze pani Barbara). Życie swoje za honor naszéj córki poświęcił! prawdziwie dozgonną mam dla niego wdzięczność!!

— Otóż właśnie, moja Basiu, chcę zająć się jego losem i przez bogate ożenienie postawić go na nogach.

— Ah! cóż ci przecież tę świętą myśl podało, mój kochany mężu! Co do mnie, to nic przeciwko temu nie mam (odpowie pani Barbara).

— Chcę przeto napisać do mego przyjaciela, pana T.... we Lwowie, aby tam wyszukał panny posażnéj, ładnéj albo brzydkiéj, to wszystko jedno, i żeby Stanisława wyswatał, a o konie do konkurów i rynsztunek, to fraszka, to się tam jako znajdzie. Co mówisz?

— Ale mój mężu! chyba nie znasz Stanisława (rzeknie zdziwiona pani Barbara). Jegoby to obraziło! Wszakże on swatów

twoich nie potrzebuje, bo samby się tu wyswatał i tak daleko nie miałby powodów jeździć; każdy z naszych sąsiadów chętnie dałby mu córkę!

— Ej, to brednie! Tak mówi pan Cyryl i wierzycie mu, a jakby przyszło co do czego, to ręczę, iżby odmówił! Znam ja ludzi! Oho, ho! stary ja wróbel, mnie już na plewy nie złapie. Otóż myślę, iż gdy we Lwowie przez ten lichy pojedynek zrobił sobie sławę łebskiego chłopca, to téż tam prędzéj i żony dostanie.

— Ale mój mężu (rzecze rozdrażniona pani Barbara), jakże możesz uwłaczać jego poświęceniu, i nie ocenić ofiary, dla nas poniesionéj, lekceważąc czyn jego, w którym swe życie narażał, nazywając lichym pojedynkiem?!

— No, cóż tak wielkiego?! Uciął mu ucho, to dobrze zrobił; ale byłby zrobił lepiéj, gdyby był obciął obadwa, albo zgolił cały łeb z karku razem z uszami. Jabym był na jego miejscu tak zrobił, a nie inaczéj. Pan Cyryl byłby to samo potrafił. Ale na młodego, to i tyle dosyć, i nie uwłaczam jego odwadze, bo jak pisze pan T..., to się tamten na serce temu zamierzał, a ten na głowę; tamten spudlował,

a Stanisław na bok się przegibnął i w tenczas po uchu zajechał, i musiał go tęgo ciupnąć, kiedy aż pałasz dobrał się obojczyka! Musiał ciąć z zamachem!!

— Ale mój Janusiu (rzecze pani Barbara), ty o tém mówisz z flegmą, a mnie aż dreszcze przechodzą!! Gdyby téż był zabił Stanisława, lub w serce ugodził?

— No, tobym go był żałował (odrzekł pan January), ale w takich razach, to moja Basiu, jak w karty grał! Nikt nie przewidzi, kto padnie. Bo choćby najlepszy fechtmistrz, to jak z oka spuści, a tamten dopatrzy, to tnie, albo kłuje, i po wszystkiemu!

— Mój Boże! Kiedy mnie nie chcesz zrozumieć (rzecze pani Barbara). Przecież inna nagroda należy się Stanisławowi, który się za dobrą sławę naszego domu poświęcił.

— Jużci przyznaj moja żono (odpowie pan January), że mu za ucho Ernesta ręki mojéj córki nie dam z Podgornem i kapitałami. Gdyby takim trybem można posażną dostać żonę, toby wszyscy hołysze uszy ludziom ucinali i sprzedawali je za cenę posagu! Prędzéj mu się za odwagę należy order, jak żona; ale ja orderów nie rozdaję, a córkę chowam dla kogo lepszego! — No,

już o tém nie mówmy, moja Basiu! bo to jest przeciwko wszelkiéj mojéj rachubie.

— I uczucie téż córki i życzenie matki wziąść pod jakiś rachunek należy (rzecze urażona pani Barbara).

— Tak, uczucie jest rzecz piękna, ale w rachunku, to jest jak zero przed liczbą (dodał pan January).

Pani Barbara ze łzami w oczach wróciła do swego pokoju, a pan January niekontent z przeciwieństwa, jakie napotkał w żonie, wyszedł gniewny i dopadł gęsi w ogrodzie, a jednę z nich bez pojedynku laską zabił, sierotę pasącą gęsi wychłostał, a gromił długo i hałaśliwie w stodole chłopów, karbowego i pisarza. Bo w istocie do szlachcica polskiego da się zastósować przysłowie o niedźwiedziu, „na którego, gdy gałązka spadnie, to mruczy, a jak całe drzewo, to nic nie mówi.“ Otóż i pan January pod ciężarem kłopotów, których mu przysparzała Leokadja, nic nie mówił, ale wynosił się pokornie z pokoju do pokoju, ustępując miejsca swojéj prześladowczyni; ale dzisiaj, kiedy pani Leokadja osadzona w areszcie, a Ernest bez ucha, to każda uwaga żony już go jątrzy, i pomrukując, chodzi, a mści się nad biedną gęsią, która trawkę w ogro-

dzie skubie! Z drugiéj strony przypuścić mi się godzi, że w panu Januarym ważniejsza odbywała się walka, tojest walka uczucia z rachubą i uporem. Pan January czuł, iż się niesłusznie opiera uczuciom swéj córki, życzeniom żony i radzie przyjaciół! Czuł, iż Stanisław zacnym jest młodzieńcem, godnym ręki jego córki. Czuł nawet, że i Zosia byłaby za nim szczęśliwą, i rodzice mieliby dobrego zięcia; ale już tak daleko zabrnął w swym uporze, iż wycofać się z honorem nie mógł, bez nadzwyczajnego i niespodziewanego wydarzenia.

— Gdyby to jaka sukcessya pewna lub nie pewna na niego spadła, (mówił sam do siebie) toby jeszcze była rzecz łatwiejsza, ale bez tego, to ani myśleć; przecież na plebaniją żony nie powiezie! Lecz musi on rzeczywiście Zosię kochać nad życie, kiedy za nią życie naraził! przecież mógł zginąć, bo i pan T... pisze, iż się szala zwycięztwa ważyła! — I że żadnéj z tego aie robi przechwałki ani praw sobie nowych nie rości, to prawdziwie szlachetne z jego strony, i to należy przyznać. — Już to dobry chłopiec ani słowa, tylko że hołysz, a to jest straszna wada!... Ale gdybym, zachowując dla nas Podgorne, kupił im wieś za 50,000

reńskich. Ah! byłżeby też wdzięczny! Jakżeby nas kochał, szanował i jakby żonę swą umiał cenić?!!... Ej, to głupstwo! to słabość! pfuj u stu bisurmanów żebym miał kobietom ulegać! I dla tego że sobie tego życzy Zosia i moja żona, to ja człowiek rozsądny, miałbym się temu poddawać?! Nie, nigdy. Trzeba być stałym i trzymać się jednego! Raz odmówiłem, napisałem, stało się! już tego odrobić nie mogę! — Lecz cóż się tu mamy kwasić, i wiecznie tę sprawę między nami przeżuwać? albož mnie to nie stać rozerwać się trochę, a z moją rodziną świata przewidzieć, ludzi poznać? trzeba wybrać się wcześniéj do Szczawnicy, i zaraz w przyszłym miesiącu wyjechać do kąpiel. —

Tę nieodwołaną decyzyą wziął pan January, i w rzeczy saméj tak gospodarstwo urządzał i prace rozłożył, że z początkiem maja stanęły na podworcu ładowne fury, kocz i karyolka, a całą tą karawaną, jakby do Jeruzalem, jechali państwo Januarowie z córką do Szczawnicy.

XIV.

Szczawnica.

Najęli państwo Januarowie w Szczawnicy dom porządny ze stajnią, tak, jak na zamożną szlachtę przystoi. Przed domem był ganek z ławkami, gdzie zwykle pan January siadywał, świeżego używając powietrza. Tam się każdemu uprzejmie kłaniał mniéj lub więcéj znajomemu, albo w przyszłości poznać się mającemu. Był grzeczny, uprzedzający, aby pokazać, że i na wsi nie tylko w mieście umie się być uprzejmym. Przy źródle pił, krząkał i spluwał, bo woda kwaśna, ani się do stokowéj w Podgórnem umyła. Ale kiedy piją drudzy, pił i on, bo pocóżby u licha do Szczawnicy przyjechał? Po co? aby się rozerwać, jak sam mówił; przejrzyć świata, i ludzi poznać; a potém kto wie? Nuż się kto Zosi trafi z tantnych

kawalerów?... Hrabicz jaki, a niechby w ostatnim razie i szlachcic, ale na dziedzictwie, toby się zobaczyło, i nie kwaśną wodą, aleby się go potraktowało winem, które upakowane w kufrze przyjechało. „Wola Boska, we wszystkiem! co Bóg da, to się zobaczy?" mawiał pan January; a tu się koło niego snują rożne młodzieńcy, młokosy, panicze i panowie! „Zawsze będzie jeden z nich," (myśli sobie) „nie ten, to drugi" (pomrukuje sam do siebie). „Ha! wola Boska"!! —

Tak było pierwszych dni, i już na prawdę zaczął robić znajomości, bo się rozeszła fama, iż szlachcic milionowy z jedynaczką przyjechał zięcia upatrywać. Więc mu się przedstawiają panowie i panicze, a matki paniczów pani Barbarze, a siostry paniczów Zosi. Wkrótce pan January, jakby król Szczawnicy i Neptun w kwaśnych wodach, rozdął oba boki, wyprawia i daje kawy, kolacye, obiady, a dworzan ma bez liku i gości bez liczby. — Idzie to jakoś dobrze, i pan na Podgornem nie żałuje i trudu i huku i puku, a pieniądze sieje jak piasek. Lecz po trzech tygodniach jakoś rzadziéj bywają goście! — Co za powód? Czy im kto uchybił? lub ich nie przyjęto

należycie?... Wszakże poziomek było ze śmietaną tyle, że zostawało; moreli z węgierskiéj strony pełne salaterki; czasem kurczęta pieczone; kawa przewyborna z maszyny przewracanéj, na modę Krakowską! Przykro to panu Januaremu, i począł się krzywić, a nawet trochę zadąsanym chodził. Jakoś odrazu z dostojeństwa spadł na dół jak weksel wątpliwy. Pisze więc list żałosny do pana Cyryllego, że mu tu tęskno bez prawdziwych i dawnych przyjaciół, z którymi cały wiek przeżył. Pisze, iż świat jak zawsze jest zmienny, niestały podobnie jak i los, który dziwne z ludźmi wyrabia igrzysko; jednych stawia wysoko a drugich za-nisko. Następnie przypomina obietnicę, i zaprasza państwa Cyryllów do Szczawnicy, obiecując mieszkanie wyszukać i wszystkie wygody przyrządzić. — Miesiąc upłynął, gości w Szczawnicy przybyło, lecz w domu pana Januarego pusto. — Zosia ornat swój spokojnie kończy, nikt jéj nie przeszkadza. — Pani Barbara siatkową wiąże chustkę na lato, bo nie ma co robić ani gości bawić. Pan January się nudzi, i już mało siaduje pod gankiem, lecz w pokoju Lwowską gazetę czyta. Coto jest?... przecież jakiś musi być tego powód?...

i jest rzeczywiście; ale o czém pan January nie wiedział, to się dowie czytelnik, gdy go wprowadzę w towarzystwo młodzieży, mieszkającéj w oberży na górze, tuż przy źródle. —

XV.

Kawalerowie nowożytni.

Na górze w oberży był pokój obszerny, który zajmował pan Atanazy, majętny młodzieniec, dobry towarzysz, ale dawny hulaka! Tam się do niego zgromadzała młodzież na karty, fajki i pogawędawkę. — Poznałbyś, że tam nie mieszka człowiek ściśle porządny, bo gdzie stąpisz to jakby w wstępną środę po samym popiele. Ale ten popiół fajczany nie przypomina, iż „prochem jesteś i w proch się obrócisz“ lecz mówi do ciebie: „Używaj, dopókiś młody“! Na stole widzisz plamy z rozlanego wina, pączu i herbaty, pod stołem poniterki w niełaskę rzucone, w kącie stós długich i krótkich cybuchów i fajki piankowe, węgierskie, oraz stambułki całe i już rozkręcone. — Daléj kanapy nogami zbłocone! kilka ca-

łych, a kilka połamanych stołków, ściany od dymu cygar i fajek przesiąkłe, brudne, zakopcone. — Przy piecu leży pies, wyżeł na stajennéj derze; — nad łóżkiem wisi strzelba, a na gwoździu o podal, torba, trąbka i manierka. Taki jest tedy warsztat młodych alchemików, a teraz poznajmy majstrów i czeladź przy pracy. —

Wchodzi pan Atanazy, a za nim panowie Soter, Sylwester, Telesfor, Hilary, Ildefons, Faustyn, Tryfon i Walery, Wiktoryn, Nemon i Otton, i tak gwarzyć poczną.

Pan Sylwester. Ja to zaraz zwąchałem, iż tam tyle niéma, bo z kądby się wzięło? Ma jednę wioskę o trzech folwarkach;... ale w Sandeckiém, uważajcie!! w Sandeckiém, gdzie tylko owies się rodzi i ziemniaki, jeśli je śnieg nie zasypie. — Wieleż warta taka wioska? Weźmy to pod analizę?

P. Hilary. Ja słyszałem coś o tém Podgornem, to ma być nie złe! Stary w tém pracował, zabudował, i browar postawił. — Coś mi się tak śni, żem o tém słyszał, i że ma być warte sto pięćdziesiąt tysięcy!

P. Tryfon. Ale do czego!! Śni ci się prawdziwie, bobyś na jawie tego nie powiedział; toby chyba w najlepszym gruncie

tyle wartać mogła wieś o trzech folwarkach.

P. Soter. Dajmy na to, że warta sto tysięcy reńskich, to cóż daléj? Mamunia i Tatka używają najlepszego zdrowia, wyglądają czerstwo jak leśne rydze, więc dopiero po ich najdłuższem życiu coś się weźmie.

P. Hilary. Nie, nie, moi Panowie! Stary ma kapitały!... niezawodnie ma.

P. Soter. Liczyłeś je?... Ja dopóty nie uwierzę, dopóki nie zważę na ręku, i nie zobaczę, czy prawdziwe złoto? Bo często panowie teściowie, brząkają złotem w sakiewce, a po ślubie pokazuje się, iż to były liczbony. — Oho! ostrożny ja ptaszek. Wystawcie sobie, iż raz zakochałem się na prawdę!... Śmiejecie się!! Cożto? Wy myślicie, że ja się nigdy nie kochałem, i żebym się nie umiał kochać?;..

Wszyscy. Ha! ha! ha! Soter się zakochał!! „No zakochałeś się“ gadaj daléj!

P. Soter. Ale daję wam słowo, żem się zakochał i to szalenie, w prześlicznéj Tereni! Powiadam wam, że panienka cudnéj urody, i cnót anielskich. — Blondynka, z czarną brwią! Pojmujecie? Blondynka biała z czarną brwią!!

P. Tryfon. No daléj, kochałeś się. i potém się odkochałeś!

P. Soter. Kiedy nie chcecie słuchać, to wam nie dopowiem!

Wszyscy. No, mów! mów Soterku! bo to ciekawe, jakeś się mógł kochać?

P. Soter. I byłbym się z nią ożenił, bo zdawało się, że będzie mieć posag, gdyż dom na wielką stopę był utrzymywany; ton najprzyzwoitszy! — Panna szalenie mnie kochała; śpiewaliśmy razem, a rodzice rozpływali się z radości na widok wzajemnego naszego do siebie pociągu. — Już się miałem deklarować, wtém przejeżdżam przez cyrkularne miasto, i tak, ni ztąd ni zowąd, za nim się konie napasły, rozgadałem się z żydem faktorem, który zna całą okolicę. Mówię o tym domu, a faktor się krzywi. To źle, myślę sobie,... daléj, od słowa do słowa rozpowiada mi, że państwo w złych są interesach. Że są długi hipoteczne i rękodajne; że jest jakiś ciężar dożywocia! Oho! rzekłem, na czas się dowiedziałem. — Zaprzęgaj i nawracaj! mówię, — Adieu Tereniu! moja bogini! mój aniele! będziesz mnie długo czekać, za-nim do ciebie powrócę.

P. Tryfon. Otoż, taka sama historya

byłaby i z panną Zofiją! Trzebaby pierwéj do Sącza dojechać i przez jakiego Mośka zbadać hipotekę.

P. Wiktoryn. Ale mylicie się panowie! stary ma gotówkę w szkatule! może nie wielkie rzeczy, ale kilkadziesiąt tysięcy, to ma. — Lecz mnie się panna nie podoba. Żadnego nie ma ułożenia, i taka wiejska nimfa, co to śpiewa: „Te brzóz kilka, ten bieg wody!“

P. Otton. Jabym się tém nie zrażał, byle miała pieniądze. Ale nie wącham tam wielkich rzeczy, i dla tego się odsunąłem.

P. Sylwester. To nic, ale ona wplątaną była w jakąś awanturę. Jakiś Ernest się w niéj kochał, znowu jakiś Stanisław wyzwał tego Ernesta! Coś tam było komicznego i tragicznego zarazem!

P. Faustyn. No, to musieli być ludzie nie z tego wieku, kiedy się o pannę strzelali! i jeszcze o kogo? o naiwną Zosię, co końcem grabki łowi poziomki w śmietanie, a tyle tylko ust otwiera, aby się jagoda zmieściła! Bo wiecie, że ona poziomki nazywa jagodami, a na porzéczki, to mówi romantycznie: podżyczki!

P. Walery. Zły jesteś Faustynie!

Biedne panniątko, pierwszy raz na świat z gniazdka wyjrzało!

P. Faustyn. Dla tego téż pisklę tak dziubek nieśmiało otwiera, bo to dopiero podlotek!...

P. Hilary. Lepsza taka, jak zbyt mądra, bo z takiéj jak z wosku wszystko wyrobisz. — Co do mnie, to bawić się wolę z mądremi, bałamucić wolę mądre; ale co na żonę, tobym zawsze wybrał takie niewinniątko, bo to ciche, posłuszne, przywiązane. —

P. Faustyn. Tak, ciche, potulne! dopóki temu ząbki nie odrosną. — Gdy bierzesz pannę mądrą i skończoną, to wiesz, co masz; ale tu żenisz się na los szczęścia, i często oszukać się możesz! Jak cię taka po ślubie okulbaczy, to trudniejsza z nią sprawa, bo ani przemówisz do rozumu, ani do serca!... Ale uważaliście, jak słodkie oczy robili państwo Januarowie do Atanazego? jak mu najdojrzalsze wybierali morele, a w kawie toby go byli skąpali, bo zawsze dają mu w téj złoconéj filiżance z Souvenirem.

P. Ildefons. Od samego początku uważałem tę preferencyą, i nie można się dziwić, bo szlachcic zwietrzył u Atanazego

kota, i łapkę podniósł jak pies Medor do kuropatwy.

P. Faustyn. Ale panna ma się jakoś odpornie i dość nas traktuje zimno — Mało mówi, bo też nie wiele ma co powiedzieć, gdyż się już kwestya o Podgorném wyczerpała.

P. Hilary. Nie to jest... nie! tylko przysiągłbym, że ona się kocha w jakim wiejskim adonisie, albo w kuzynku. — Bo wiecie, że nic niéma wygodniejszego, jak być kuzynkiem lub kuzynką; gdyż się całą miłość na skarb uczuciów familijnych składa, i już potém pływa serce bezpiecznie po miłosném morzu.

P. Soter. Wiecie, iż gdybym był pewnym, że się kocha, tobym zaraz zaczął ją bałamucić, bo passyą mam odsadzać rywalów i brać szturmem takie strzeżone i obronne szańce. — Już kilka razy czułych i tkliwych amantów odpaliłem jak kotków od mleka! a jak rozkocham pannę, to ją puszczę, i potém nie wie, za kim płakać? czy za pierwszym czy drugim kochankiem?

P. Sylwester. Powiem ci mój Soterku, że taka sielska Kloe, to bywa trudna, bo miłość bierze na seryo; gdy ci się przypnie do serca, to jak kleszcz się trzyma.

Jeden może Atanazy, coby jéj serce zdobył, bo ładny chłopiec; a że każdy wie, iż bogaty, więcby Mamunia i Tatka wpływali na jéj uczucia. No! Atanaziu! zabierz się do dzieła, jak nas kochasz; będziemy mieli z czego śmiać się w téj nudnéj Szczawnicy.

P. Atanazy. Mnieby żal było biednéj panny, jak was kocham. — Żenić się nie myślę, a na co dziewczynę zwodzić i pokój rodziny rujnować.

P. Soter. Komuto być moralistą?... proszę! Atanazy skruchę w sobie obudził, jak pięćset panien w życiu zbałamucił, sto uwiódł, a ze stu innemi jeszcze jest w stósunkach. Kto wie czy on na starość nie zostanie księdzem, aby odpokutować liczne grzechy młodości?

P. Atanazy. Nie mówcie o tém dwa razy, bo to być bardzo może. — Jestem już przesycony życiem, i wiek téż rozsądku się zbliża, mam lat dwadzieścia siedm!

P. Soter. Brawo! Atanaziu! Tylko tak daléj postępuj, a będziesz kanonizowanym. Tymczasem zaś mianujemy Cię proboszczem w naszéj parafii szubrawców! Czy zgoda, panowie?

Wszyscy. Zgoda, zgoda!! niech żyje ksiądz proboszcz szubrawców! Ale na in-

stallacyą, rzecze pan Soter, każ przynieść wina, abyśmy wypili zdowie nowo nawróconego, i nominata naszéj parafii!

P. Hilary. To ja się podaję przy Atanazym na wikarego.

P. Soter. A ja na dzwonnika, bo lubię dzwonić w butelkę. — Lecz któż będzie organistą?

P. Ildefons. Najprędzéj Walery, bo tęgo śpiewa, a tężéj jeszcze pije!

P. Soter. A reszta pozostała stanowić będzie poczet wiernych, czyli niewiernych. Doskonała myśl!! Oczywiście, iż ksiądz proboszcz sprawi nam stypę, bo cóżbyto był za pasterz, gdyby owieczek nie nakarmił?...

P. Nemon. A ja sobie zamawiam, aby mi ślub dawał, i to z Zosią, bo bądź co bądź, mnie ona się dość podoba!

Pan Soter. Masz tam teraz! Otóż upolowała przecież wiejska Nimfa jednego szubrawca. — I naprawdę kochasz się Nemusiu? Powiedz szczerze! bo tę historyą włożymy między „Tysiąc nocy i jedna.“

P. Nemon. Nie powiem, żebym się kochał... daleko od tego, alebym się z nią żenił.

P. Soter. Tak, to prędzéj rozumiem!

chociaż co tobie po tém? Masz majątek!! Któż się żeni, kiedy ma majątek?

P. Nemon. Ale mam długi na majątku.

P. Soter. Tak, to co innego! Więc się żeń, a my będziemy na twojém weselu drużbować!... No, to od dzisiaj zacznij konkurencyą! Nadskakuj mamuni, a tatce mów o twojéj czarnéj rędzinie, na któréj pszenica sypie po dwadzieścia pięć ziarn. Przy pannie zaś wzdychaj wciąż, bo wiejskie panny lubią wzdychanie.

P. Hilary. Próżno go nie namawiajcie, bo go odpalą; gdyż ręczę, iż ona się kocha. Ja jestem doświadczeński, i ledwo raz spojrzę, a poznam po licach, po obejściu się i po oczach. Jak mi tylko panna często ku oknu spogląda, choćby nikogo nie oczekiwała, to myślą wtenczas bieży do kochanka; kiedy haftując, milczy, a od czasu do czasu westchnie i znowu haftuje, to ciałem tylko jest przy robocie, ale duchem przy swym ulubionym; jak panna na komplement kwaśno się uśmiechnie i zamiast boczkiem spojrzyć na mówiącego, w dół oczy spuści, to znak, że nie chce niewierności popełnić duchowéj i chce się spotkać myślą ze swoim kochankiem. Wiele jeszcze

innych znaków-bym przytoczył, a głowę w zakład położył, że serce Zosi zajęte.

P. Nemon. Szkoda, bo ujdzie dziewczyna!

P. Soter. Czego masz żałować! Albożto braknie niewieściego rodu z posagami, wdziękami, talentami i cnotami. A wszystko to siedzi kamieniem. Wiecie, jaką mam myśl?... Oto, jak już parafiją szubrawców założymy, to zaproponujemy pannom, aby zawiązały nowy zakon Westalek; a na pannę ksienią, to niech sobie wezmą tę starą pannę Agatę, co wygląda jak głóg okwitły. Będzie tak doskonale, bo już żadna nie będzie mieć pretensyi, abyśmy się z którą z nich żenili. Posagi niechaj złożą na dobre uczynki, np. na utrzymanie szubrawców, a same niech strzegą świętego ognia.

P. Atanazy. Co za myśli szalone ma zawsze ten Soter, prawdziwy szubrawiec! No! skończyliście fajki? To przejdziemy się trochę, a późniéj, jak zwykle, zejdziem się na partyą.

P. Hilary. Ale, ale! zapomniałem wam powiedzieć, że na jutro zbiera się liczna karawana na wycieczkę do Czerwonego klasztoru. Myślę, że i mybyśmy się do niéj przyłączyć mogli? — Jak sądzicie?

P. Soter. Wotuję affirmative, bo lubię wszystkie tłumne spacery; będzie z czego zbierać wzorki, a może się też jaka przygoda podróżna dołączy, to jeszcze lepiéj, bo nic mnie tak nie bawi, jak podróżne przygody! Deszcz ulewny, który sylfidy zamienia w rzeczne nimfy; wiatr, który suknie rozdyma w balony; dziura w moście, na któréj oś u wózka pęka, w skutku czego tatunio musi iść piechotą, dźwigając przed sobą tłustą swoją tuszę, a przy sobie niemniéj opasłą żonkę. Jedźmy więc, zmiłujcie się, bo taka okazya nie prędko się trafi.

P. Atanazy. Mnie się nie chce, bo czuję przesyt tych zabaw tłumnych; wolałbym grać w karty!

P. Soter. Ale jedź Atanaziu! Jako proboszcz nasz, staniesz na czele procesyi.

P. Sylwester. Jedźmyż wszyscy, bo dobrze choć dzień jeden zabić.

Wszyscy. Zgoda, więc jedźmy! Trzeba konie zamówić, a oberżystę pociągnąć za uszy, aby nam nagotował na drogę wiktuały!

P. Atanazy. Wino biorę na siebie, reszta zaś tabula franka.

XVI.

Wycieczka do Czerwonego klasztoru.

Ranek był chłodnym, lecz niebo pogodne, a więc góralskie furki ciągną po przed domy. Ludzie się kręcą, pakują prowianty, siedzenia ścielą, wynoszą dywany, i każdy się spieszy, aby nie być ostatnim, i ruszyć razem z całą karawaną. Panny przez wszystkie wyglądają szyby; z niecierpliwości parasolki kręcą, bo już dawno ubrane, i już w kapeluszach, a tu się spóźnia i słońce już weszło! Ciekawe panny, czy i młodzież będzie, bo bez młodzieży jakaż mi zabawa? Aż w końcu widzą, że w myśliwskich strojach młodzież na kilku furkach ogólny pochód wyprzedza.

— No, prędzéjże Wincenty, Janie, Piotrze, Józefie (wołają panny na swoich loka-

jów); guzdrzecie się od dwóch godzin, a tu już wszyscy *) naprzód pojechali.

Już wkrótce będzie, bo wszyscy pod gankiem i tylko siadać, ale kogoś brakuje? Zapewne państwa Januarów! Takjest, oni nie jadą, bo się pogniewali; a wreszcie zajechał do nich sąsiad z Sandeckiego z księdzem dziekanem, więc nie będzie ani spodziewanych wzorków, ani przygryzków, ani miejskich tryumfów nad wiejskim poczciwym obyczajem. Wreszcie, po co mają jechać państwo Januarowie?... Zosia sobie nie życzy; rodzice zaś okolic górskich nie ciekawi, bo je codziennie mają przed oczami. — Pan January przed panem Cyrylim i przed księdzem dziekanem rozwodzi skargi, rozpowiadając, jak było w początkach, a jak jest teraz, i przysięga, iżby za żadnego fircyka nie wydał córki.

— Sto razy lepsze (mówi on) gospodarskie dziecko, chłopak swojski, od tych podrygałów, coto fumy we łbie pełno, a statku ani za grosz! Przekonałem się (rzecze), iż się świat popsuł, i że u nas jeszcze zachowało się trochę dawnego obyczaju, ale co w świecie, to niéma ani śladu.

*) Tojest młodzież.

Tak rozmawiał i gdérał pan January, gdy tymczasem ów świat, na który narzekał, jechał ku Dunajcowi, śmiał się, cieszył, furkami wymijał, aby co rychléj dojechać do rzeki, i na tratwie prędzéj się przeprawić. Gdy tratwa z okrąglaków do brzegu przybiła, wjeżdzają wózki próżne, a przy nich całe towarzystwo mieści się, jak może. Każdy chciał wjechać, przeto zaledwie statek pomieścił tłoczących się gości. Pomiędzy nimi był i nieznajomy, który do karawany wcale nie należał, ale przybył jednokonną podwodą z furmanem Rusinem. Podwoda była z sąsiednéj wioski Szlachtowéj, która przytyka granicami do Szczawnicy, ale obyczajem i obrządkiem religijnym jest różna, bo włościanie są Rusini i Greko-Unici. Wszyscy ciekawie patrzą na przybysza. Młody, przystojny, ale smutny i milczący. — Wreszcie się młodzież ukradkiem jego furmana pyta, ktoby był ten pan?

— To pan Stanisław (odpowie Rusin). Wszakże on u mnie mieszka więcéj, jak miesiąc. Bardzo dobry panicz, ale taki spokojny, że jakby go nie było. — On bardzo mądry, bo na książkach czyta i pisze, a czasem na wpół drogi wyjdzie ku Szczawnicy, i zaraz wraca.

— Czegóż on taki smutny?

— On zawsze taki (odpowie Rusin), ale on nie zły, tylko coś go tak na wnątrzu trapi. —

Rzekę miniono i ruszyły furki do Czerwonego klasztoru, a Stanisław, omylony w swych nadziejach, już dzieli los karawany, i daléj za nią się toczy. — Dojechano do celu podróży. Rozłożono ogniska, a tworzą się grona, które czasem się łączą tak, jak ptaszków stada przy wspólnéj ponęcie, lub téż się rozdzielają; bo młode panienki są téż jak ptaszki, które nie dosiedzą na jednéj gałązce, ale furkną i znowu są na inném drzewku. — Wszędzie panuje radość, wrzawa, chichotanie. Młodzież ożywia zabawę, i to się drażnią z pannami o kwiatek, to o kawałek tortu, to wreszcie resztę wina piją z kieliszka, aby myśli panien odgadnąć. Słowem, wesoło, zgodnie, przyzwoicie odbywa się zabawa. Jednak wśród towarzystwa niéma Stanisława; gdzieś zniknał!

— To człowiek jakiś tajemniczy (ozwie się jeden). To dziwak (rzeknie drugi). Głupiec (doda trzeci). Zaręczam, że zakochany (dopowie Hilary), dam głowę moją w zakład. —

— Jużeś głowę dawał (rzeknie p. Soter) wczoraj wieczór za Zosię, i dziś znowu za Stanisława; zkądże tyle głów weźmiesz?

— Ręczę Państwu (potwierdza Hilary), że jest w tém jakaś awantura miłosna. Niech nam Panie powiedzą.

— Cóż my możemy wiedzieć (odrzekły panny z misternym uśmiechem), ani go znamy, ani o nim wiemy.

— Przecież dojść tego potrzeba (mówi Soter), a która z Pań raczka upiecze, to sama wyzna rumieńcem, że coś tai w sercu!

Wszystkie panny razem raczka spiekły, a stąd znowu śmiech powstał i dowcipne żarty, lecz tajemnica nie była odkrytą. Tak się bawiono do czwartéj, a potém zaś, kiedy do domu wracano, znowu się Stanisław zjawił i z karawaną jechał do Dunajca, a stanął na brzegu tratwy. Rozmowa gwarna znowu się poczęła; szepty, jakby telegraf jakiejś tajemnicy, podają wieść od ucha do ucha, kiedy znagła przeraźliwym głosem, a raczéj głosem rozpaczy zawoła jadna pani: „Dziecię moje!“ i zemdlała! Około matki skupiają się ludzie, a inni okiem gonią falę, która dziewczynkę porwała i niesie. Nikt nie umie, czy nie śmie ratować. albo téż wszyscy potracili głowę.

Stanisław rzutem oka całą przestrzeń

zmierzył i bez namysłu rzuciwszy się w wodę, ściga dziecko, niesione nurtem bystréj rzeki, odszukuje go w głębinie i jeszcze żywe na brzeg uprowadza. Tratwa w tę stronę dopływa, zabiera skarb odzyskany; a kiedy matka, utuliwszy dziecię, chce się do nóg zbawcy rzucić, już go nie było; uniknął podzięki, i tylko widać w oddali, jak piechotą zmierza ku Szlachtowéj.

Ów Stanisław, o którym dopiero obiegały żarty, ów śmieszny hipokondryk, człowiek tajemniczy stał się przedmiotem czci i podziwu.

— Kto on jest? zkąd przybywa? co w tych stronach porabia? Każdy się pyta, zgaduje, domyśla; ale nikt nie wie, nie zna go, i tylko imię jego głośno z ust do ust przebiega.

Już powrócili podróżni z wycieczki, furki dawnym porządkiem po domach gości rozwożą. Ale wieść ma skrzydła, przeto ledwo zajechano, a już wie cała Szczawnica, iż utonęło jakieś dziecię w chwili, kiedy znalazł się młodzieniec, który się rzucił do rzeki, biedne dziecię wyratował, a sam zniknął, albo zapewne utonął.

Tak mówiono o tém wszędzie i po domach i w oberży, a szczawnickie gospodynie, wieści uchwyciwszy wątek, wysnuły całą legiendę tak o zatonięciu dziecka, jak i o smutnym zgonie Stanisława.

Więc też gaździna domu państwa Januarów za obowiązek sobie poczytała przynieść swym państwu nowinę, którą miała z pierwszéj ręki, bo od jednego z furmanów. Opowiada więc, jak było:

— Żebyto Państwo wiedziało, co za ogromne stało się nieszczęście, to aż drżę cała ze strachu!

— No, cóż takiego (zapyta p. January)?

— Oto z przeproszeniem Wielmożnych Państwa i Księdza Dziekana, jako duchownéj osoby, opowiem, jak było: Państwo dziś rano pojechało do Czerwonego klasztoru, gdzie też pojechała i pani K..., co jest z Warszawy, z córeczką. Więc nazad jak się przez Dunajec przeprawiali, tak dziecko nachyliło się ku wodzie i wpadło niewinniątko na śmierć, bo tam jest woda bardzo rwiąca. Wtém był tam panicz taki, co siedzi tu zaraz w Szlachtowéj, jakby o ćwierć mili, i widząc takowe nieszczęście, nie wiele myśląc, buch w wodę za owém dzieckiem. Więc płynie, płynie, a już dziecka nie widać, a matka strasznie lamentuje i mdleje. Tak dopiero z tego wszystkiego,

gdy ten panicz dopłynął do tego niby miejsca, gdzie utonęła już naprawdę panienka, więc nurka puścił pod wodę, i uchwycił za sukienkę owe dziecko na sam czas, bo jeszcze żyło, i odniósł go na brzeg, a sam chciał się do tratwy dostać, ale trafił na wir, co jest przy takim jazie, i utonął. — Matka po dziecko na brzeg podpłynęła i otrzeźwili panienkę, a zaraz tu z nią przyjechali do doktora; furman zaś ze Szlachtowéj, który tego panicza woził, próżnym wózkiem dopierutko około domu przejechał.

— I jakże się ten panicz nazywał, który utonął? Czy jeden z tych panów co stoją w oberży? (zapyta pan January).

— Ale nie! (odpowie gosposia) bo on nie tu mieszkał, tylko od czterech tygodni najął sobie mieszkanie w Szlachtowéj u chłopa, czyli u gospodarza, a na imie mu było Stanisław!

— Stanisław? (krzyknęła przeraźliwie Zosia padając bez zmysłów).

— Zosiu! Zosieczko! krzykną rodzice, podnosząc swą córkę i niosąc ją na łóżko! Zosiu, woła na nią ksiądz dziekan. Panienko! oj, moja droga panienko, krzyczy strwożona gospodyni! Kto może, trzeźwi; wołają doktora, trą, rozcierają wreszcie amo-

niakiem życie chcą wskrzesić, ale zęby ścięła, a sine wargi, i ciało zimne samego trwożą doktora. — Lecz po chwili puls powraca, a oczy wielkie, otwarte, słupem stanęły. — Życie było, lecz dusza była już z życiem w rozstroju! Próżno na nią matka woła, przyzywa głosem rozpaczy, i próżno pan January ryczy płaczem przeraźliwym. Próżno ksiądz dziekan modlitwę odmawia, a pan Cyryl naciera jéj skronie. Zosia nie widzi, nie słyszy, nikogo nie poznaje, lecz w górę patrzy, a uśmiech śmiertelny, przebiega jéj po ustach, jak ostatnia iskierka tlejąca w perzynie. — Chce coś mówić,... nie może, chce się zerwać,... lecz siły ją zdradzają, i wkrótce oczy zamyka, jakby w skonaniu, a wszyscy koło niéj zajęci, to płaczą to krzyczą, i znowu rozcierają, dopóki się życia nie dobudzą. — Wnet i gorączka piekąca przychodzi, a blada sinośé zmienia się w sinność purpurową! Zrywa się! chce uciekać, i w malignie krzyczy:

— Stanisławie! nie chodź, bo utoniesz! wróć się! Ah, ja nie cierpię Ernesta i nie kocham, tylko ciebie!... Stanisławie! gdzież jest listek z owéj róży, coś ją uszczknął w mym ogródku?... Takto szanujesz pamiątkę? Ja mam blaszkę z twéj sukmanki,

coś ją zgubił. Oh, uciekaj, bo tam woda! fala szybko falę goni; co za głębia, rwiący nurt! — Tyś aniołem jest już w niebie!... Ojcze! ratuj go! on tonie!! Puśćcie mnie, ja za nim pójdę!... Ale taka ciemna noc, a cmentarz taki szeroki, cały murem obwiedziony... Cóż? zgubiłeś listek róży?... Matka dobra! ona chce mego szczęścia. — Ojcze! nie gniewaj się, bo mnie tak w piersi palą twoje wyrzuty! Tyś go znienawidził, ale może.... Ja chcę iść za nim! ja go wstrzymam nad przepaścią, albo.... Ah! wpadł! Oh, takie zimno na dnie wody! Ja drżę cała! mróz mnie ścina, i taki wiatr wokoło szumi! liść opada, płynie z wodą, a ja rybka wśród głębiny, już nie Zosia na téj ziemi... Zdrowaś Maryo!.. O jakie piękne oblicze mojéj matki w niebie. — Już pójdę! nie chcę tu zostać, bo ja jestem w tym pokoju, gdzie występna Leokadja i obrzydły Ernest; — a mój miły, mój Staś! siedzi przy mnie i patrzy! Cóż patrzysz? czy mnie pytasz? — Ah, nie! On utonął!!

I znowu długie milczenie przerwało pomieszane słowa. Gorączka pomału opuszczać Zosię zaczęła; doktor czynił nadzieję, lecz polecił, aby pomału przekonywano ją o fałszywéj wieści, ale od razu ani smu-

tnych, ani zbyt pocieszających nie udzielano jéj wiadomości. Wkrótce Zosia odzyskała przytomność i we łzach się rozpłynęła, ale nikt nie kładł jéj łzom tamy, ani przeszkody. Gdy zaś stan choréj pozwolił, rzekł doktor, iż odwiedził Stanisława, ale jest jeszcze bardzo chorym, lecz zdaje się, iż żyć będzie.

— Co mówisz o Stanisławie? doktorze! (zapyta z dzikiém spojrzeniem Zosia). O którym mówisz? czy o tym, co utonął?

— Takjest (rzecze obojętnie doktor), o tym, którego rybacy w sieć złowiwszy, od śmierci wyratowali.

— Jakto, więc żyje? (rzecze Zosia w zachwycie).

— Żyje, ale jest chorym (odpowie doktor).

— Zwodzicie mnie, ludzie niemiłosierni! (i znowu upadła na łoże, rozpłakawszy się rzewnie).

— Ręczę honorem, iż żyje (odpowie doktor).

— Ale żyje, Zosieczko! żyje! (doda matka).

— Żyje niezawodnie (potwierdził p. January).

— Toś może nie kontent Tatko? (i kryjąc twarz w poduszkę, płakać poczęła).

— Ah moje dziecię, jakże mnie srogo posądzasz! Tylko wyzdrowiejecie, to się wszystko ułoży?

Dobrze mówił pan Soter, iż kiedy „wiejska Kloe“ kocha, to do czystéj miłości nie łączy ani rachuby, ani pychy, ani wyuczonéj zdrady; lecz daje serce za serce, i stałość za wierność. — Niéma tam ani fałszu, ani względów, ani śmiesznéj na świat oględności, jak się to w mieście przytrafia! Tak zaś kochała Zosia, a ze Stanisława utworzywszy sobie ideał, na jaki stać było jéj wyobraźnią, nic po za nim nie widziała. Pan January przekonał się, iż jest w tém wola Boska, a wreszcie dłuższym oporem podkopałby życie swéj jedynaczki. Również pochlebiało mu, iż imię Stanisława staje się głośném przez dzieła ofiary i walecznych poświęceń. — Zaczął tedy rozważać i namyślać się, a sam rzekł do siebie:

— Wypróbowałem i tę młodzież, która tu mieszka w oberży, i cóż to warto?... karty, wino, fajki i co więcéj!! I potém nibyto coś bywać zaczęli, a prędzéj jeszcze zerwali i widocznie nami gardzą. Ten jeden Atanazy przyzwoity, ale mówiono, iż się żenić nie chce... Soter, to trzpiot — Nemon jeszcze jak Nemon, ale i ten z daleka tylko

na Zosię spoglądał... Stanisław hołysz,... to prawda, ale przynajmniéj zuch, i Zosia go kocha, a i to trzeba wziąść pod rachubę.. Lecz na plebanijkę córki nie wydam, i gdyby do tego przyszło, abym wydał za Stanisława, to zaraz wieś kupię w sąsiedztwie, i niech tam siedzą. — Tak trzeba będzie zrobić!... Ale jak się tu teraz prosić, kiedy się zerwało?... Wstyd i pewne upokorzenie!... Lepiéj to może czasowi zostawić, i niech on prosi?... Ale to kozioł, on prosić nie będzie, a Zosia zmarnieje! Ah! ta Leokadja! po co mi było list pisać, aby nie bywał? cóż tak nagliło?... Należało go zawsze trzymać na odwodzie!... Oh! że téżto człowiek, choć mądry, to głupstwo zrobi. — Ha, niéma sposobu!... tylko trzeba to jakoś przez księdza dziekana urządzić delikatnie, i bez obrazy mojego honoru!! Niby: iż się dowiedziałem o szlachetnym czynie, i uniesiony takim sentymentem, więc się buduję życia poświęceniem, ku ratowaniu dziewczynki. Że więc nie przesądzając jaka wola Boża, pozwalam jako dawniéj, tak teraz i zawsze do domu mego uczęszczać!! Lecz to powinien ksiądz dziekan powiedzieć z powagą i z flegmą, i podać mu te słowa moje jako łaskę i fa-

wor. Co zaś do reszty, to poźniéj się zobaczy, i skutecznie obmyśli, gdyby do tego przyszło... Trzebać raz zgryść ten orzech, bo chodzi o Zosię!... Już trzy razy zemdlała dziewczyna;... niechże czwarty raz zemdleje, to po niéj!... Jezus Marya! aż mnie dreszcz przechodzi!... Już czekać nie będę, ale kiedy chce koniecznie, niech idzie za niego, byle żyła!! I będzie szczęśliwa, bo zuch chłopak, przystojny, kocha ją, czegóż trzeba?... Wieś im kupię, wyprawę dam piękną, i basta! Ah byle żyła, moja Zosieńka! moja jedynaczka!!

Poszedł pan January po księdza dziekana, i wziąwszy go pod rękę, długo z nim poprzed domem chodził i rozmawiał. Prosił go oczywiście, aby pojechał do Szlachtowéj, Stanisława odszukał, i wymiarkował, co myśli. Wszakże, gdyby z rozmowy widział, że Stanisław dla Zosi jest stałym, niechby zrobił mu nadzieję otrzymania jéj ręki, z warunkiem, iżby w posagu przyjął wieś, jaką rodzice kupią, i do niéj żonę swą zawiózł.

Ksiądz dziekan posłannictwo to przyjął na siebie, prosił tylko, aby mu zostawiono wolność w wyborze środków i ułożeniu téj sprawy, a w pół godziny stanął już w Szlachtowéj, w mieszkaniu Stanisława.

XVII.

Warunki.

Po serdeczném przywitaniu się z księdzem dziekanem, zapytał go Stanisław, czemuby przypisać miał szczęście posiadania księdza dziekana pod swoją ubogą strzechą?

— Łatwo się domyślisz, panie Stanisławie, iż najprzód przychodzę uczcić w tobie bohatéra przedwczorajszéj sprawy. — To poświęcenie się chrześcijańskie godne jest wszelkiéj chwały, a tém bardziéj ocenić go powinien kapłan, który z powołania przodkować ma wiernym na drodze ofiary.

— To nie była tak wielka ofiara (odpowie Stanisław). Rzecz owszem naturalna! Dziecko tonęło, musiał go ktoś ratować, a że ja byłem z brzegu, więc na mnie padła ta szczęśliwa kolej. — Każdy na mojém miejscu byłby to samo uczynił.

— Również (dodał ksiądz dziekan) nie mniéj podziwu jest godną gotowość ujęcia się za honor domu państwa Januarów, chociaż przyznam, iż jako kapłan pojedynków chwalić nie mogę. Chwalę więc uczucie, które spowodowało walkę, ale sam czyn uważam za sposób pogański wetowania krzywd swoich.

— Innego dotąd sposobu świat nie uprawnił (rzecze pan Stanisław), więc tego użyć musiałem; lecz dzięki Bogu, nie zabiłem przeciwnika, chociaż wyznam, iż miałem ten zamiar i na to godziłem.

— To grzech, mój panie Stanisławie! to źle, i w tém cię nie poznaję! (odpowie ksiądz dziekan).

— Lecz chodziło o Zosię, o jéj honor! Czy taka święta pobudka grzechu nie maże?

— Nie! (doda ksiądz dziekan) bo do najpiękniejszego nawet celu nie wolno nam dochodzić środkami przez prawo Boże zakazanemi. — Ale w téj kwestyi sumienia na inném miejscu będzie rozprawa; a teraz zapytam się o twoje zdrowie, bo w Szczawnicy nierozważnie rozgłoszono wieść, że utonałeś. — Wieść ta boleśnie dotknęła cały dom państwa Januarów. —

— Zosię, może, (odpowie Stanisław) ale co rodziców, to pewno życie moje nie obchodzi.

— Mylisz się Stanisławie (rzeknie ksiądz dziekan), bo pan January nawet rzewnie cię opłakiwał, i doktor go dopiero uspokoił, zaręczając, iż żyjesz.

— Doktor?... (przerwie Stanisław) a czy tam kto chory?

— Zosia nam mocno zasłabła w skutek wzruszenia, (odpowie zimno ksiądz dziekan).

— Jakto?... Zosia moja droga?! księże dziekanie, mów! na miłość Boga! cóż jéj jest?

Teraz jest nieco zdrowszą, bo wie, iż żyjesz!

— Ah! cóż, że żyję!!... wolałbym sto śmierci ponieść, jak żyć bez niéj, a przecież jestem odtrąconym dla tego, żem jest ubogi! Mam list pana Januarego, który mi zakazuje nogą za próg jego przestąpić. Winienem być posłusznym rodzicielskiéj władzy, a w tém nawet posłuszeństwie dać Zosi największy dowód mego poświęcenia. — Nająłem w pobliskiéj wsi mieszkanie, aby być bliżéj nich i nieść im w potrzebie ratunek, ale dotąd w Szczawnicy nie byłem, iżby nie mieszać pokoju rodziców. Wczoraj miałem nadzieję, że ją przynajmniéj w tłumie zdaleka zobaczę, ale mi pan Bóg zawód ten sowicie nagrodził sposobnością oddania stroskanéj matce usługi.

— Nietylko tém ci nagrodził, Stanisławie! ale i nadzieją pozyskania ręki Zosi. Ojciec rad cię będzie widział w swoim domu; matka ci jest przychylną, a Zosia wzajemną. Gdy przeto zdrowie Zosi pozwoli, to przybądź do Szczawnicy, a zdaje mi sie, iż rzeczy się ułożą.

— Ale Księże Dziekanie, powiedz, czy mówisz jako upoważniony, lub z własnego natchnienia?

— Ojciec mnie tu posyła (odpowie ksiądz dziekan) aby list przez niegodziwą Leokadją na nim wymożony odwołać... Zdaje się, iż połączeniu się twojemu z Zosią nic już nie stanie na przeszkodzie, prócz drobnych warunków, o których mówić nie warto.

— Jakież one są? powiedz Księże Dziekanie, i jeśli potrzeba ofiar, poświęceń, jeżeli zdrowia i krwi mojéj, to jest na usługi.

— Ale nie! (odpowie ksiądz dziekan). Rzecz jest dużo łatwiejsza, chodzi o dogodzenie ojcowskiéj próżności.

Pan January, chce wam zaraz wieś kupić w sąsiedztwie i wymaga, abyście się tam odrazu przenieśli.

Stanisław schylił głowę, długo się namyślał, a potém rzekł:

— Nie,... tego nie zrobię, i nawet dla

szczęścia połączenia się z Zosią! Czuję, iż mnie nie stać na to poświęcenie! Chodzi mi o zasadę i o tryumf prawdy, ktorą kocham nad życie, a więcéj powiem, że przekładam prawdę nad Zosię samą!! Mój dom, jest uboga plebanijka, którą dzierżawię, ale sobie tę klatkę własną ugrodziłem pracą. Jeżelim wart szacunku rodziców i miłości Zosi, „to nie z roli ani z soli, tylko z tego co mnie boli.“ Poniosłem chętnie ofiary, zniósłem upokorzenia, tysiące innych ofiar ponieść jestem gotów, ale prawdy nawet dla Zosi nie poświęcę! Czyliż w człowieku nic niéma być godniejszego od majątku?... Czyliż wiecznie ziemia i złoto przeważać zasługę i wartość ducha człowieczego będą?... Klatka, do któréj żonę moją zapraszam, jest z wiejskiego pręcia, a nie ze złotego drutu. — Jeżeli na niéj jakiś czas poprzestanie, to łatwiéj ją będzie później na ozdobniejszy przybytek zamienić; lecz jeśli nią pogardzi, to w niéj zostanę samotny, ale zachowam całą godność upornéj mojéj niepodległości.

— Ale Zosia najchętniéj na wszystko się zgadza (rzecze ksiądz dziekan) tylko chodzi o dogodzenie życzeniom ojca.

— Właśnie téż dla tego (przerwie Sta-

nisław) chodzi o złamanie fałszu, który się już za nadto w kraju naszym rozwielmożył.

— Jestżeto ostatnie twoje słowo? (zapyta ksiądz dziekan).

— Ostatnie moje słowo i jedyny warunek (odpowie Stanisław).

— Nie mogę, jak pochwalać takie uczucie (rzecze ksiądz dziekan) i starać się będę zwyciężyć ojca w uporze. Ale w każdym wypadku, gdy to rzecz poźniejsza, przeto bywać u państwa Januarów możesz, skoro cię zapraszają, a Zosi przyniesiesz zdrowie i pociechę! Jedź więc ze mną! doktor już pozwala chorój widzieć cię, bo ona wie, że tu jesteś.

— Nie, Księże Dziekanie! ja przyjadę później, abyś miał czas wytłumaczyć ojcu, że kocham Zosię nad życie, rodziców poważam i jestem im wdzięcznym; ale nie chcę, aby mnie przyjęli za zięcia, jakoby ostatecznością do tego zmuszeni i niemal z biedy! Stawiam się z każdym na równi, bo chociaż nie kładę na szali majątku, to kładę pracę i zdolność do pracy. Ztąd też dla honoru ich domu, dla honoru Zosi i mego własnego stawiam twardsze warunki, którychbym może dawniéj był nie położył, idąc po prostu za pędem uczucia. Lecz dzisiaj,

gdy to przeszło na pole rachuby, to i ja z moją godnością obliczać się muszę.

Ksiądz dziekan zasmucony, myślił, medytował, westchnął i rzekł:

— Masz słuszność, Stanisławie, lecz moja rola staje się trudniejszą. Żegnam cię przeto do rychłego w Szczawnicy zobaczenia.

Stanisław wyszedł, księdza dziekana pożegnał, i także odbywał wewnętrzną walkę miłości z godnością.

XVIII.

Zgodne uczucia.

Podczas, kiedy ksiądz dziekan był w Szlachtowéj i ze Stanisławem trudną miał rozprawę, pan January mówił z córką; a stawiając dane przyzwolenie na wysokości heroicznego aktu, dowodził, jak musi być dobrym ojcem i kochać swoją córkę, kiedy na taki związek, przeciwny wszelkiéj jego rachubie zezwala. Zosia, całując ręce ojca i matki, dziękowała za tę ofiarę, jednak twierdziła, że jeśli ten związek uszczęśliwić może Stanisława, to również wniesie szczęście w dom rodzicielski, bo mu przysporzy nie zięcia, lecz syna, pełnego cnót i zacności. Zdawałoby się nawet z wielu odpowiedzi Zosi, iż ona raczéj ma sobie za szczęście i zaszczyt mieć takiego męża, a nie uważa, iżby na Stanisława świetność

jakaś z tego związku spływała. To uważanie rzeczy obraziło ojca, ana wet dotknęło matkę, i Zosia kilka dość cierpkich usłyszała wymówek. Ale że była jeszcze chorą, więc ją oszczędzano, i ojciec rzekł:

— Moja Zosiu, jeżeli do tego przyjdzie, to wam kupię wieś w sąsiedztwie i tambyście blisko nas mieszkali; ten warunek położyłem nawet Stanisławowi przez księdza dziekana. Jużci na plebanijkę cię nie wydam. Cóżby téż ludzie nawet mówili!

— Mój Ojcze (odpowie Zosia), co tam ludziom do tego? Nikt się nie żeni dla ludzi, tylko dla siebie i dla pociechy rodziców! Owszem najchętniéj osiędę na plebanii, gdzie biedny Stanisław tak mozolnie pracował i z nędzą walczył! Szacowniejszą jest dla mnie ta jego biedna chatka od najpiękniejszych pałaców!

— Ale ja na to zezwolić nie mogę (rzecze pan January) dla saméj nawet godności rodu.

— Mój Tatko! kiedy ksiądz dziekan mówił, iż godność jest w człowieku, a nie w tém, co go otacza.

— Co tam ksiądz dziekan (rzecze ojciec). On tu inaczéj powie, gdy wróci. Stanisław wszystkie warunki przyjmie, a tém bardziéj

taki, aby się przenieść z plebanii do wsi dziedzicznéj. Tego mu téż tylko potrzeba!

— Ale mój Tatko! (rzecze Zosia). My mu takich warunków kłaść nie możemy, które urągają niemal jego ubóstwu. Zaręczam Ci Ojcze, iżby się o to całe moje szczęście rozbiło.

— Co gadasz zawsze o twojém szczęściu, jakbyś los jakiś robiła?! Tu niéma losu, tylko smutna ostateczność, na którą przystajemy, biorąc pod rachunek waszą zobopólną miłość.

— Albożto mój Ojcze nie jest los rzadki już dzisiaj, mieć męża, który kocha i którego się tak wysoko ceni, jak ja cenię Stanisława?

— To wszystko jest przesada, i to stan gorączkowy! Uspokój się i zostaw rodzicom załatwienie warunków. Ty zaś zachowaj się w tém biernie. Zapewne Stanisław z księdzem dziekanem przyjedzie, bo oczywiście zechce zaraz korzystać z pozwolenia.

Kiedy tak rodzice z córką rozmawiają, zajeżdża ksiądz dziekan, ale sam! Państwu Januarom zgasła mina, a w oczkach Zosi dwie łezki zabłysły.

— Jakto? sam?... (zapyta pomieszany pan January).

— Może chory? (przerwie przelękniona Zosia).

— Nie, zdrów zupełnie (odpowie ksiądz dziekan), ale nie mógł się ze mną zebrać, i tylko pocieszony wiadomością o polepszoném zdrowiu Zosi, i wdzięczny za łaskawe usposobienia dla niego rodziców, resztę zostawia czasowi i rozsądnéj rachubie.

— Jakto rachubie? Kupuję mu wieś, i czegóż może żądać więcéj? (pyta urażony pan January).

— On i tego nie żąda, bo powiada, że jest kontent z plebanii, i że mu tam bardzo dobrze (odrzekł ksiądz dziekan).

— A nie mówiłam Tatce? (przerwie ze łzami Zosia).

— To jest zuchwalstwo! (zawoła z gniewem pan January).

— Nie, to jest godność (odpowie ksiądz dziekan).

— Co mi za godność na plebanii? (rzeknie pan January).

— Godność nie jest w ścianach, tylko w nas samych, czyli w duszy (odrzekł ksiądz dziekan). I daleko więcéj godności jest być na plebanijce, ale u siebie, niżeli na łasce w cudzych pałacach. Panu Erne-

stowi to przystawało, ale Stanisław wyższe ma uczucia i szlachetniejsze rzeczy pojęcie.

— Ale jakże mam dziecko moje poniewierać po dzierżawach i plebanijach? (mówi rozżalony pan January).

— To trudno, Szanowni Państwo! Nie jedno upokorzenie od Was połknął poczciwy Stanisław! Przekładaliście nad niego łotra i szulera. Wypowiedzieliście mu dom wasz, odepchnęliście go ze wzgardą. On przeto dzisiaj ma prawo kłaść Wam jedyny i bardzo mały warunek, od którego wszakże stanowczo nie odstąpi. Może po miesiącu, albo po parę miesiącach pobytu na plebanii, to się przeniesie, gdzie mu przeznaczycie.

— A więc nie kocha Zosi, kiedy kładzie warunki (rzeknie z impetem pan January)!

— Właśnie dla tego, iż ją kocha nad życie, chce się przez szlachetność duszy stać godnym jéj ręki.

— Pierwszy raz słyszę (rzecze pan January), aby szlachetność duszy na têm polegała, iżby mieszkać na plebanii, i żonę mieścić w ubogiéj i niewygodnéj izbie. — To tylko pycha w ubóstwie i upór, którym się poddawać nie myślę.

— Zmiłuj się Ojcze (odezwie się Zosia)!

Nie wymagaj od Stanisława ofiary z jego godności. Wszakto na miesiąc, lub parę miesięcy. Ja będę co dzień do Podgornego przyjeżdżać.

— Ale coby na to świat powiedział? (rzecze pan January).

— Powie świat (odrzecze ksiądz dziekan), iż Pan January mądry, i że dla szczęścia córki umiał błahe zwyciężyć względy; powie świat, iż pan January zacny i godny obywatel, bo uwieńczył cnotę i poświęcenie, a przeniósł je nad fortunę. I Bóg błogosławić będzie państwu Januarom i ich potomstwu, a my ich szacować i kochać będziemy, i powtarzać: „Niech żyje Pan January! u którego uczucie wyższe od rachuby!!"

Pan January myślił, łzy mu pociekły po licach, spojrzał na Zosię i na panią Barbarę; oczy wzniósł w niebo, rękę wyciągnął do księdza dziekana i rzekł: „Niech się dzieje wola Boska!" Zosia rzuciła się do nóg ojca i matki, łzami je zrosiła. Ksiądz dziekan się rozrzewnił; a rozczulony, chociaż niby żartem, rzekł:

— Jeszcze jeden warunek.... że ja ślub dawać będę.

Zosia, ucałowawszy ręce księdza dziekana, drżała od płaczu i wzruszenia. — Wszyscy téż płakali, a uścisków wzajemnych było bez miary. — Stało się! już słowo padło!

XIX.

Szepty.

Już gospodyni domu od chwili choroby Zosi zrozumiała, że ten panicz, co dziecko wyratował, nie jest pannie Zofii obojętnym. Oczywiście, skoro zemdlała za usłyszeniem imienia Stanisława, to musi go kochać. — Mówiła więc sąsiadkom w sekrecie, iż się wielka zrobiła historya, bo panienka zemdlała i że ledwie się jéj dotrzeźwili. Dzisiaj znowu obnosi pocieszającą nowinę, iż ksiądz dziekan jeździł do pana Stanisława, a ztąd łatwy wniosek, że się młodzi pobiorą. — Rada była temu pani gospodyni, bo Zosię lubiła. Ale gdy się pociechą z drugiémi podzieliła, przeto wieść biegała od jednego do drugiego domu, a z ust do ust idąc, jak po siarczanéj nitce, doszła do wiadomości wszystkich:

1mo. Że pan January, wynagradzając poświęcenie się pana Stanisława w ratunku dziecka (które ani znał, ani widział), daje mu córkę swoją za żonę. —

2do. Że ślub będzie dawał ksiądz dziekan, za pozwoleniem miejscowego proboszcza. —

3tio. Że będzie sute wesele, na które zostaną zaproszeni goście bawiący w Szczawnicy. —

4to. A najważniejsze, iż pan January daje za córką wieś, plebaniją i dwakroć sto tysięcy reńskich, a jeszcze coś ma dokupić. — Tę ostatnią wiadomość zaręczyć miała pokojówka, która była właśnie w pokoju, gdy pan o kupnie wsi mówił.

Nadspodziewane zdarzenie zajęło Szczawnicką publiczność. — Ten temu opowiada, a jedna drugiéj powierza tajemnicę.

— Czyto być może, aby Zosia szła za mąż? — Przecież moja córka od niéj ładniejsza, a wreszcie co do wychowania jakaż ogromna różnica? —

— Zapewne, że to szczególne; tém bardziéj, iż nikt się tego nie spodziewał, bo nawet żaden z naszych młodych panów się do niéj nie zbliżył.

— Ale pan Soter zaręczał, iż majątek

pana Januarego wcale nie jest wielki! Zwyczajnie mała wioska w Sandeckiém.

— Dlatego ja jeszcze temu zupełnie nie wierzę i przysięgnę, iż nic z tego nie będzie. — Taki odważny i piękny młodzieniec, który czyn tak heroiczny spełnił, byłby między naszemi córkami znalazł godniejszą siebie żonę.

— I potém co za połączenie? a v e c u n n o m o b s c u r.

— Zosia nawet słowa po francuzku nie mówi, i może ledwie parę słów rozumie.....

— A jak się ona ubiera?... Wszakże już przed trzema laty takie noszono suknie i kapelusze.

— A jak tańcuje?... Nie prawdaż? — wszystko na p a s Mazurka, a w figurach Kontredansa zawsze się myli.

— Albo pani Barbara? cóżto za matrona! aucune tenue, elle ne sait pas même tenir salon!

— I pan January? Jaki pocieszny z tém swojém traktowaniem! On musi kazać w ogromnym kotle kawę warzyć!

— Dla tego téż być nie może, aby Zosia miała iść za mąż! Stanisław się nie ożeni, i trzeba sobie spacer wymyślić do

Szlachtowéj, aby go koniecznie między nas wciągnąć!

— On może poeta? bo mówią, że pisze.

— Co tam poeta! — może romantyk, i pisze powieści?

— Może jest artystą? gra, śpiewa, maluje? — Ah! ja przepadam za artystami! Oni tak mają delikatne uczucia! Oni tak kochać umieją! Mon unique rève, ce sont les artistes!

Kiedy tak panie szepcą, to głośniéj panowie w oberży o téj sprawie mówią:

Pan Hilary. A widzicie, żem zgadł, iż była w tém wszystkiém miłosna kozera. Ja jestem majster w rozpoznawaniu sentymentów.

P. Soter. Ale co Nemon, to spuścił nos na kwintę, bo miał się o Zosię starać, a tu klamka zapadła. Trzeba było skakać w Dunajec, a złowiłbyś był razem z topielcem żonę! „Wiedział święty Marcin, dla czego dał sobie płaszcza uciąć,“ i Stanisław wiedział, dla czego sobie zimną kąpiel sprawił. —

P. Atanazy. Nie uwłaczajcie poświęceniu, bo się w istocie dzielnie popisał młodzieniec, a tém szlachetniéj, iż nie czekał na podziękę i tryumfy.

P. Tryfon. Ale mówią, iż ten pan January daje w istocie duży za córką posag! Twierdzą, że do miliona!

P. Nemon. Djabełże o tém wiedział! Dla czegóż tego przez dzienniki nie ogłosił? Szkoda! prawdziwie szkoda! bo gdybym się był o nią od początku starał, tobym ją był dostał.

P. Soter. To weź Józię! Wszak do niéj paliłeś cholewki u Czerwonego klasztoru, i ona na ciebie mile spoglądała.

P. Nemon. Ja się tylko w niéj tak dla żartu kochałem, a ona myśli, że do prawdy! Gdzież tam? Nie daliby nam ślubu, bo zachodzi bliskie między nami powinowactwo.

P. Soter. A jakie?

P. Nemon. Ja nie mam prawie nic, bo mam długi, a ona (jak mówią) wcale nic!

P. Soter. Oh, to pokrewieństwo w pierwszym stopniu; na to i w Rzymie niéma dyspensy.

P. Ildefons. To weź Melaniją!

P. Nemon. I téj nie chcę, bo ma rozum, a ja mam także pretensyą do rozumu, więcbyśmy się o ten towar pobili.

P. Ildefons. Więc się nie ożenisz?

P. Nemon. Wątpię.

P. Soter. Dobrze masz! bo prawdziwy szubrawiec pur sang zawsze się kocha, zawsze bałamuci, a nigdy się nie żeni! Niechże cię uściskam Nemuniu, jakby mego rodzonego braciszka!

P. Ildefons. Patrzcie! patrzcież prędzéj! tutaj! przez to okno! Jedzie ów pan Stanisław tą samą furką!

Wszyscy. Gdzie?! gdzie?!

P. Ildefons. Ale tutaj! drogą! — tu około domu, na lewo. — To on, poznałem go!! Zobaczmy, gdzie on jedzie?

P. Soter. Wziąłeś mi mój kapelusz, Nemonie!

P. Nemon. To weź mój, jest na stole.

P. Hilary. Spieszmy się, bo to ciekawe!...

P. Ildefons. Skręca na prawo w ulicę!

P. Nemon. Oho! zajeżdża przed dom państwa Januarów!... Wysiadł!... A więc to prawda, co mówiono.... stało się!... Szkoda panny! ale niech mu Bóg szczęści, bo jakiś zuch chłopiec!

XX.

Uczucie zwycięża rachubę.

Nie powozem zaprzężonym czterema końmi z kozła, ale furką jednokonną zawiózł Rusin konkurenta po pannę posażną, na któréj nietylko nadzieje rodzicielskie spoczywały, ale i próżność ich, ów nieoddzielny wszystkich rodziców przymiot. Ksiądz dziekan wyszedł do niego i parę słów cichaczem przemówił, a potém do pokoju państwa Januarów wprowadził. W pierwszéj chwili wszyscy się pomieszali i zbledněli, a Stanisław tak był wzruszony widokiem Zosi zaledwie wstającéj po ciężkiéj chorobie, że słowa przemówić nie mógł. Jednakże zebrał myśli, i podziękowawszy państwu Januarom za pozwolenie bywania w ich domu, a pana Januarego uścisnąwszy, w ramię, a panią Barbarę w rękę pocało-

wawszy, spieszył powitać Zosię; a to nie było trudno, bo razem miłość, współczucie i wdzięczność wybiegły mu z serca, i przez oczy się cisną. Wziął ją za rękę i pyta:

— Pani jeszcze cierpiąca?...

— O nie! już zdrowa; ale mówią, iż byłam w niebezpiecznym stanie.

— I to ja, niegodny, tylu wzruszeń byłem powodem.

— Bo mówiono, że Pan utonął! (i łzami się zalała).

— No! nie rozczulajcie się moi państwo (rzecze pan January) ale kiedy się tak bardzo kochacie, to przystąpmy do rzeczy:

— Nie taję, że byłem przeciwnym a raczéj życzyłem sobie czego innego, co się tyczy postanowienia méj córki! Obok przymiotów serca w moim zięciu, szukałem téż majątku, bo każdy ojciec ma obowiązek nie tracić z oka i tego względu nader ważnego w praktyce życia. Pod względem serca i uczuć szlachetnych wszystko za tobą, Panie Stanisławie, przemawia — Cenię cię, szacuję, a nawet z wielu twoich czynów stałeś się uwielbienia godnym. — Co do majątku, Bóg ci go na teraz odmówił, ale ci go może przysporzy w przyszłości, na drodze pracy i rządności. A więc szala mojéj de-

cyzyi przeważyła się za wewnętrzną twoją wartością, i dla tego na związek twój z naszą córką, tak ja, jako i moja żona zezwalamy, i pragniemy wam pobłogosławić.

Oboje narzeczeni rzucili się na kolana podczas błogosławieństwa rodzicielskiego, a potém, nogi rodzicom oblewając łzami i okrywając całusami, z rozrzewnieniem dziękowali. — Po téj zaś rozczulającéj scenie rzekł pan January:

— No, mój Stanisławie! Mówił mi ksiądz dziekan, iż nie chcesz w téj chwili przyjąć mojéj ofiary w nabyciu dla was wioski, ale wolisz z żoną mieszkać na plebanii! I ten warunek, jaki mi dajesz przyjmuję, acz mi jest bolesnym; wszakże oddając ci córkę, ów skarb nasz najdroższy, daję ci ją bez restrykcyi, a więc niech i tak będzie, jak sobie życzysz.

— (Stanisław odpowiedział:) Szanowny Ojcze! (bo pozwól mi, abym Cię od téj chwili tak śmiał nazywać). Położyłem ja wprawdzie ten warunek, dopóki byłem panem mojéj woli; ale dzisiaj, jako przyszły wasz zięć, a raczéj syn wasz, zastósuję się do wszystkich rodzicielskich życzeń waszych i gdyby Ci ten warunek miał być bolesnym, to go chętnie cofam, bo pragnę bezwarun-

kowo przysparzać wam pociechy, a nie stawać się powodem smutku. Pierwéj wszystkie ofiary byłbym podniósł dla saméj Zosi, a teraz już każdą u nóg was trojga składam.

(Chwała Bogu! raz przecież uczucie wzięło górę nad rachubą!) *)

*) (Przypisek autora). Niestety! tylko w powieści!

KONIEC.

SPIS POWIEŚCI,

znajdujących się

w księgarni i wydawnictwie

dzieł katolickich naukowych i rolniczych

W KRAKOWIE.

	zlp.	gr.
Amazonka, szkic z życia światowego w zamkach Francyi, przerobiony przez T. Tripplina w 12ce Warszawa 1857.	8	—
Anioł i czart, powiastka przez J. Chęcińskiego w 8ce, Warszawa 1856. .	5	—
Bajronista, powieść współczesna przez Z. Kaczkowskiego w 3 tomach w 12ce, Wilno 1857.	30	—
Bibliotcka podróży i malowniczo-historycznych opisów, wydana przez A. Zawadzkiego — Serya I. Nowe światy przez Niboyet — Serya II. Podróż do Spitzberga, przez L. D'Aunet — Serya III. Japonia współczesna przez Fraittinet w 12ce, Wilno 1857. — 58.	19	10

Blondyan, czyli zamek opuszczony, przez Kurzewskiego w 8ce, Kraków 1834. — 15
Bracia ślubni, powieść z czasów augustowskich, przez Z. Kaczkowskiego 3 t. w 8ce, Petersburg 1854. . . . . 26 20
Bukiet literacki, czyli mnich żołnierz, przez L. Wszędobylskiego w 8ce, Warszawa 1851. . . . . 13 16
Chata za wsią, przez Kraszewskiego 3 t. w 8ce, Petersburg 1854. . . . . 20 —
Choroby wieku, przez Kraszewskiego 2 t. w 12ce, Wilno 1857. . . . . . . 12 —
Cień smutku, powieść przez W. Olędzkiego w 8ce, Warszawa 1857. . . . . . 8 —
Czarna krówka, legenda W. Pola w 12ce, Bochnia 1857. . . . . 2 —
Cztéry powieści, w 8ce, Poznań 1848. . . 3 —
Dom mojéj babki, przez Walerego Wielogłowskiego . . . . 12 —
Dred, powieść z nad bagien Amerykańskich przez Stove 3 t. w 8ce, Kraków 1857. . . . . 15 —
Dusze odrodzone, przez Mery w 8ce, Sanok 1856. . . . . 1 —
Dwaj bracia artyści, zarys życia towarzyskiego XIX. wieku w 18ce, Poznań 1856. . . . . 9 —
Dwie konwersacye z przeszłości, przez Chodzkę w 12ce, Wilno 1857. . . . . 9 —
Dziwadła, powieść współczesna przez J. Kraszewskiego 2 t. w 8ce, Petersburg 1853. . . . . 13 10
Dzwonek, pismo młodemu wiekowi poświęcone 4 t. w8ce, Lwów 1850. . . 8 —

zlp. gr.

Galerya konkurentów i konkurentek, przez A. Niewiarowskiego w 12ce, Wilno 1857. 5 —
Garść pszenna i cieśla, dwie gawędy ludowe przez W. Syrokomlę w 16ce, Warszawa 1857. . . . . 2 —
Gawędy i rymy ulotne W. Syrokomli w 16ce Wilno 1856. . . . . 9 —
Guido i dumki przez H. Jabłońskiego w 16ce, Wilno 1857. . . . . 3 —
Han-Akmet, powieść kaukazka i *Janczar,* obrazek wschodni z Lermontowa przez E. S. Mecherzyńskiego w 16ce, Warszawa 1857. . . . . 4 —
Historya mężów przez P. de Kock i *Historya żon* z najpewniejszych źródeł 2 tomy w 18ce, Kraków 1842. . . . . . 8 —
Jasna góra Częstochowska, gawęda przez K. Kucza w 8ce, Warszawa 1857. . . 15 —
Interesa familijne, powieść Kraszewskiego w 4 t. w 8ce, Petersburg 1853. . . 26 20
Kirgiz, powieść przez G. Zielińskiego w 16ce, Warszawa 1857. . . . . . 2 —
Krewni, powieść Korzeniowskiego w 4 t. w 12ce, Wilno 33 10
Lunatycy czyli przepowiedziane nieszczęścia, przez Tripplina 2 t. w 12ce, Wilno 1857. . . . . 12 —
Madej i kupiec Waligóra, Wyrwidąb, Boruta, 4 starożytne powieści, zebrał J. Wąsik teolog w 12ce, Bochnia 1856 — 10
Matka i macocha, obrazek J. Miłkowskiego w 16ce, Warszawa 1857. . . . . 8 —
Michał Odrowąż, powieść historyczna z czasu oswobodzenia Wiednia przez Ja-

zł.p.gr.

Jana III., napisał Roman Latkowski 2 t. w 16ce, Warszawa 1857. . . 13 10

Moje lata młode w podróży, w 8ce, Warszawa 1852. . . . . 10 —

Mozaika kontraktowa, pamiętnik z r. 1851. przez A. Grozę w 16, Wilno 1857. 4 —

Nadbużne obrazy i powiastki L. Kunickiego 3 t. w 16ce, Warszawa 1857. . . 16 —

Najnowsza podróż po Danii, Norwegii i Szwecyi przez Tripplina 2 t. w 12ce, Wilno 1857. . . . . 16 —

Niemcy i Szwajcarya, przez W. Budzyńskiego 2. w 12ce, Wilno 1856. . . 6 20

Nieszczęścia najszczęśliwszego męża, przez A. Fredro w 12ce, Kraków 1841. . . 3 —

Nocleg hetmanów, przez Syrokomlę w 12ce, Wilno 1841. . . . . 8 —

Nowe pamiętniki Lamartina, przekład Kraszewskiego w 8ce, Wilno 1851. . . 8 —

Nowe powiastki i gawędy przez autora Szwedzi w Polsce, w 12ce, Petersburg 1852. . . . . 10 —

Nowy Gladyator, powieść oryginalnie napisana przez W. Mrozkowską w 16ce, Warszawa 1857. . . . . 6 20

Obrazy z życia i podróży w 8ce, Wrocław 1846. . . . . 6 —

Oda, powieść z czasów Bolesława Chrobrego w 8ce, Wrocław 1852. . . . 1 —

Ognisty lew, powieść Czerkieska przez K. Brzozowskiego w 8ce, Lwów 1857. 2 —

Ostatni z Nieczujów, powieść Z. Kaczkowskiego 2 tomy w 8ce, Petersburg 1855. . . . . 16 20

zł.p.gr.

Pamiętniki Bartl. Michałowskiego od r. 786. do 1815. przez Rzewuskiego 5 tomów w 12ce, Warszawa 1857. . . . . 40 —

Pamiętniki z życia Ewy Felińskiéj, 3 tomy w 12ce, Wilno 1856. . . . . 33 10

Pamiętniki lekarza polskiego, przez Tripplina 4 t. w 12ce, Warszawa 1857. . . 33 10

Pamiętniki J. Duklana Ochockiego z pozostałych rękopismów przepisane i wydane przez Kraszewskiego 4 t. w 12ce, Wilno 1857. . . . . 40 —

Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie, historya szlachecka z r. 1811. i 1812. przez A. Mickiewicza z portretem autora 2 t. w 12ce . . . . 20 —

Pan Wojciech, wzór pracy i oszczędności, wydanie 4te 2 tomy w jednym w 12ce Warszawa 1857. . . . . 8 —

Pierścionki babuni, czyli bieg życia kobiety, w 5ciu oddziałach 4 t. w 12ce, Warszawa 1852. . . . . 24 —

Pisma wierszem i prozą, przez autorkę „W Imię Boże“ w 12ce Wilno 1857. 6 20

Podarunek cioci, czyli powieści dla dorastających dzieci w 12ce, Warszawa 1847. . . . . 8 —

Podróż do miasteczka, powieść przez J. Kraszewskiego z dodaniem kilku pomniejszych w 12ce, Warszawa 1858. . 6 —

Podróże Gulivera w nieznajome kraje Swifta z 450 drzeworytami 2 t. w 8ce, Lipsk 1851. . . . . 16 —

Powieści Mieczysława R.: Chorąży — Chart wataski, w 12ce, Lwów 1854. . . 1 10

zlp. gr.

Powieść o końcu życia Piłata Pontskiego w 8ce Brodnica 1849. . . . . — 12

Powieści starego sługi dla swoich kolegów w 12ce Lwów 1849. jeden poszyt . — 12

Powieści i opowiadania J. Korzeniowskiego. Scena na balu — Pojedynek — Jedynaczka i dwaj słudzy, 2 t. w 12ce Wilno 1855. . . . . 20 —

Przygody Zosi, powieść przez L. Ossolińską w 8ce, Kraków 1856. . . . . 3 —

Próżniak, powieść przez J. Dzierzkowskiego w 8ce, Lwów 1857. . . . 7 —

Przekłady i studya W. Przybylskiego w 8ce, Wilno 1857. . . . . 9 —

Przypadki Robinsona przez J. Kampe w 12ce Warszawa 1848. . . . . 4 —

Rady patroniuszowe czyli historye i przykłady Don Żuana Manuela, opowiadane Lukanorowi 2 t. w 12ce, Poznań 1847. . . . . 5 —

Różne różności czyli prawdziwe historye z opowiadania Janka z Bielca, napisał i wydał J. K. Gregorowicz 2 t. w 12ce, Warszawa 1856. . . . . . 10 —

Sowizdrzał i awantury jego w 12ce, Brodnica 1849. . . . . 2 —

Sielanki krakowskie Wincentego Reklewskiego w 16ce, Kraków 1850. . . . 1 10

Stefania, powieść dzisiejsza przez Bozannę w 8ce, Wilno 1853. . . . . 2 —

Sukcessya i praca, powieść przez Śmigielską 2 t. w 8ce, Petersburg 1854. . 12 —

Szlachcic chodaczkowy, powieść przez Waler. Łodzińskiego w 8ce, Lwów 1857. . . 5 15